

Rosja.
Moscoviada

Spis treści

Moskau, fremd und geheimni	3
Luczszyj gorod w mirie	6
Wielkie żarcie	10
Dien Razdjenja	14
Democracy is coming.....	17
Nekromantik	19
Jenot w metrze	29
Sen rosyjskiego patrioty	35
Wspomnienia z domu narodzin	41
Reakcje jenotów na orędzie noworoczne	46
Siedem mgnień zimy – epizod pierwszy	50
Ja, Jenot	56
Siedem mgnień zimy – odsłona druga	59
Ostateczny krach systemu Federacji	70
Noc Długich Szpadli	73
Jaki kraj, taki Mad Max	77
Dzień Obrońcy Ojczyzny	79
Dzień Kobiet	84
Klient nasz pan!	87
Kto bogatemu zabroni.....	91
Koty i ludzie	96
Spasiba diedu za pobiedu.....	101
Dzień szarańczy	109
Tydzień (a nawet dwa) z życia Jenota	110
Metro 2016	123
Nieważne, kto głosuje, ważne, kto liczy głosy	127
Przywitanie jesieni w monastyrze	136
Na lewo tank, na prawo tank	145
Nowy rok będzie wspaniały!	160
Chodzić do pracy to dla nas święto!	171
Jenotnoe Shampanskoye	176
Smętarz dla poetów, wypas dla wariatów	186
Down in Jungleland	201

Moskau, fremd und geheimni

[7.10.2015]

*Uwaga, grupa! Kierunek – Wschód! Tam musi być jakaś cywilizacja.
(Seksmisja)*

Gdybym za każde pytanie „dlaczego Moskwa?” dostawał rubla, to od ostatnich dni czerwca do końcówki sierpnia spokojnie uzbierałbym sumę, która zawstydziłaby pensje czołowych polityków Federacji Rosyjskiej. O ile przez jakiś czas myślałem, że mam wyjątkowe szczęście do ludzi zadających mi pytanie dotyczące tego wyboru, o tyle potem odkryłem, że nie, że dla wielu z moich współpracowników podobne pytania są tak powszechne, jak i dla mnie.

Cały wstęp do obecnej sytuacji narodził się w okolicach połowy czerwca. Był związany z wieloma czynnikami, choćby z rozmową z Wietnamem. Wyżej wymieniony proces rekrutacyjny prowadził dość młody człowiek z USA. Duża część naszej pogawędki upłynęła na tym, że próbował opanować tajniki użytkowania komunikatora Skype. Gdy to się udało, okazało się, że nie ma pojęcia, co mamy w CV, właściwie to nie wie, o co chce nas zapytać (ostatecznie „zrób sobie sam rozmowę kwalifikacyjną!” wyszło z tego, czyli my opowiadaliśmy mu, co nam przychodziło do głowy – jakie grupy wiekowe uczyliśmy, jakie poziomy, itp.). Po rozmowie spojrzeliśmy na siebie z przerażeniem: „To jest dyrektor szkoły? To miałby być nasz przełożony? Nie, odpada”.

Inna szkoła: kraj UE, marzenie większości nauczycieli, doszliśmy do trzeciego etapu rozmowy kwalifikacyjnej (umówcie się trzy razy przy siedmiogodzinnej różnicy czasu). Na koniec poprosiliśmy, żeby nas poinformowano mailem o ostatecznej decyzji. Oczywiście, że tak. Oczywiście, że nie poinformowali.

Następny przypadek: Sztambuł, wydaje się ciekawie i do życia, i z perspektywy pieniędzy. Ci zapomnieli przyjść na rozmowę kwalifikacyjną, ale może na następną się uda. Nie, nie uda, nie planujemy następnej. Jeżeli tak wygląda początek współpracy, to co będzie potem?

I gdzieś po tym Wietnamie, który chronologicznie był na końcu, coś we mnie pękło. Postanowiłem spróbować zwrócić się do jednej z bardzo dużych szkół języka wroga. A nawet wielu wrogów. Miejsca te mają plusy i minusy, czasem bywają nazywane McDonaldami nauki, ale oferują coś znacznie ważniejszego: przejrzyste reguły gry. Wiza będzie pracownicza, bo szkoła nie będzie się wydurniała, żeby oszczędzić paręset złotych. Wynagrodzenie będzie na czas. Mają regularną strukturę zatrudnienia, oferują szkolenia, standaryzowane kursy, wyposażone sale, w których sadzą rozsądnych rozmiarów grupy. Patrząc na ich ogłoszenie, wyszło mi, że spełniam kryteria. Wysłałem, wiele sobie nie obiecując. Jednak odpowiedź nadeszła i to całkiem szybko. Potem kolejna, kolejna i miałem rozmowę.

Na rozmowę musiałem jechać do restauracji w centrum miasta, wynająć sobie tam pokój i siedzieć koło bulgoczącego akwarium z rybkami. Ta rozmowa była królową wszystkich rozmów kwalifikacyjnych, jakie miałem w życiu: pytanie-odpowiedź, pytanie-odpowiedź. Żadnych bredni. Co wiesz o takiej części zdania? A jakbyś tego uczył grupę ośmiolatków? Dobrze, a grupę dziesięciolatków takiego czegoś? OK, a co wiesz o życiu tutaj? Czy wiesz to? Tamto? Świetnie.

Pytania. Odpowiedzi. Jakieś 57 minut ciągłej rozmowy, żadnych przestojów, żadnych zawiesznień głosu, żadnych „yyy, aaa, eee”, żadnych „a opowiedz mi o sobie i gdzie chcesz być za pięć lat”. Gdy wracaliśmy do domu, powiedziałem Aligatorowi, że nawet jak roboty nie dostanę, to była to jedna z najbardziej wyzywających intelektualnie rzeczy, jakie mi się przytrafiły w ciągu ostatnich paru lat.

Parę godzin później przyszedł email. Email ten zawierał linijkę „your application has been successful”. Byłem pod sufitem, a spać poszedłem koło 4. Miałem jeszcze umówioną inną rozmowę. Tam się czułem tak pewnie, że dostałem kolejną pracę. Ze względu na bardziej międzynarodowy charakter pierwszej posady, długo się nie zastanawiałem.

Początkiem bycia poważnym był kontrakt z załącznikami. Była to taka ilość papierów, że gdybym wszystko wydrukował, to cena celulozy na giełdach poszłaby do góry. Mam w zwyczaju czytać, co podpisuję, więc przez chwilę miałem co robić. Jakoś nigdy nie sądziłem, że z uśmiechem na twarzy będę czytał procedury urlopowe, rozpiski wszelakie – czy to struktury wynagrodzenia, czy wolnego. W czerwcu dostałem wykaz dni wolnych na kolejny ROK! Po chińskim horrorze, w którym nigdy nie było wiadomo, czy święto narodowe będzie przed, w trakcie, czy też po nim, nagle podano mi wolne na ROK do przodu. Powitalna broszura liczyła sobie kilkadziesiąt stron i po jej lekturze naprawdę trudno było sobie wyobrazić, że można zadawać jeszcze jakieś pytania. Obłąd, ale bardzo przyjemny obłąd po nurzaniu się w chaosie.

Wakacje miałem zasadniczo wolne, poza tym, że musiałem wyrobić wizę rosyjską. Z jednej strony, nie było ciężko: przysłano mi dokumenty, umówiłem się przez internet, poszedłem do biura wizowego przy konsulacie rosyjskim w Krakowie, złożyłem papiery. Zaświadczenie o niekaralności, o braku HIV, formularze, zdjęcia.

– *Ubezpieczenie!*

– *Mam gwarantowane od momentu wjechania na teren Rosji.*

– *Nieważne. Trzeba kupić.*

– *A jakie to ma być ubezpieczenie?* – pytałem trochę zdolowany szykującą się wycieczką do jakiegoś PZU, gdzie nie będą wiedzieli albo będą zamknięci.

– *Tak się akurat składa, że ja je sprzedaję.*

Wstydu nie macie... W zamian macie moje jakieś pięćset złotych. Z takich ciekawostek: opłaty za wizy do Rosji wynoszą 100 dolarów, ale w walucie lokalnej. Do tego „ubezpieczenie” to coś w okolicach 150 PLN. Patrzcie, jakich ciekawych czasów dożyliśmy, ambasada rosyjska podaje ceny w dolarach. Postanowiłem nie dopłacać za tryb ekspresowy, a po drodze było święto, więc zajęło to w sumie pod dziesięć dni. Czas w tym odcinku mych przygód miałem, ale domyślam się, że wiele osób nie ma go w aż takim nadmiarze. Z drugiej strony, tłumów tam nie było, przy okienku spędziłem w sumie może naście minut, aplikując i mniej niż minutę, odbierając.

Gdzieś tam kupiłem bilet lotniczy, który to najwygodniejszy nie był, ale gorsze też już miewałem. Jeszcze w zeszłym roku mogłem cieszyć się bezpośrednim lotem Kraków-Moskwa, ale w roku 2015 pozostało po nim tylko rzewne wspomnienie. Niekoniecznie chciałem przekonać się, jak bardzo obłąkani są białoruscy celnicy, a pewnych informacji o transferze w Mińsku nie mogłem nigdzie znaleźć – ustaliłem, że „chyba na pewno” nie trzeba wizy żadnej

– czy to tranzytowej, czy pełnej, ale nikt nie wiedział na 100% (wliczając w to białoruskie linie lotnicze Belavia, które to obsługiwały część tego lotu). Pytanie, czy aby nie wbijają pieczętek – gdy ma się paszport na wykończeniu to ma to pewne znaczenie – pozostaje do dzisiaj bez odpowiedzi (może ktoś się transferował w Mińsku i coś o tym wie?). Mogłem albo mieć solidną przesiadkę w np. Sztokholmie, albo jechać do Warszawy, albo lecieć na zachód i dopiero do Moskwy. Padło więc na Wrocław i Kopenhagę liniami SAS. W bardzo wczesnych godzinach porannych ucałowałem Aligatora i wsiadłem do samolotu lecącego z wrocławskiego lotniska Starachowice. No nie powiem, że linia SAS mnie zabiła jakością jedzenia i obsługi, ten efekt osiągnęli cenami w Kopenhadze (w sumie nie dziwota), ale szczęśliwie Moskwa nie jest aż tak bardzo daleko. Procentowo to czekanie w kolejkach na imigracji solidnie dołożyło się do czasu podróży. W końcu jednak jeszcze przed 14 udało mi się wjechać do stolicy światowego proletariatu.

Jednym z licznych dokumentów, które otrzymałem po podpisaniu kontraktu był formularz do zamawiania samochodu mającego odebrać mnie z lotniska. Oczywiście był o czasie, więc rozmawiając sobie dość miło – początkowo po angielsku, a potem po rosyjsku – z osobą, która mnie odebrała, przyjechaliśmy do mojej nowej siedziby. Trzecie piętro, czyli drugie, licząc po polsku. Widziałem przerażenie w oczach wprowadzającej: czy ja zaraz nie ucieknę? Było ono zrozumiałe: mieszkanie pamięta czasy poprzedniego systemu, myślę, że nawet Leonida Breżniewa. Radzieckie budownictwo okazało się rozsądnie solidne, ale jeżeli chodzi o kwestie estetyczne, to już można mieć parę uwag. Ja jednak zachowałem je dla siebie, powiedziałem, że jest świetnie i rzuciłem bety, gdzie wydawały się w miarę pasować. Sowieckie budynki mają pewne właściwości – intrygujący układ pokoi, mroczne klatki schodowe, łazienka rozmiarów pudełka do butów. Mieszkalem w różnych warunkach, łącznie w sumie w dziewięciu różnych miejscach, więc wiele mnie nie jest w stanie pokonać.

Najważniejsze jednak było: dywan na ścianie. Od razu wiedziałem, że jestem w Rosji. Wizyta w pobliskim sklepie pozwoliła odkryć, że mimo embarga Rosjanie jeszcze nie doszli do etapu jedzenia kamieni ze śniegiem. Rubel obecnie szoruje brzuchem o dno, a jeżeli tendencja się utrzyma, to wkrótce może okazać się, że druk tej waluty wpływa na jej inflację, czyli że cena papieru, na którym machają takie miasta jak Archangielsk (nominał 500 rubli), przewyższa numerki z nim skorelowane. Na szczęście w nadchodzących tygodniach miałem odkryć, że są i tańsze miejsca do robienia zakupów. Jak również to, że nie będę miał wiele czasu na cieszenie się kobiercem zdobiącym moją ścianę.

Luczszyj gorod w mirie

[10.10.2015]

Mój pierwszy weekend w Moskwie związany był z urodzinami miasta. Moskwa obchodziła 856. urodziny. Władza się postarała. Całe miasto – w tym wiele prywatnych biznesów – miało takie znaczki:



Naszła mnie refleksja, co bym sobie myślał jako obywatel, któremu nie tak dawno wartość pieniędzy w kieszeni poszła niemal przez połowę, gdybym oglądał ten bizantyjski festiwal jako podatnik. De facto nim jestem, no ale za tę imprezę nie poszło z mojej kieszeni (ale już za następną pójdzie). Ulica Twerska została zamknięta, postawiono na niej nostalgiczne wystawy.



Tu można mieć dwa punkty widzenia, np. taki: fajnie, że się z tego śmieją. Tyle że genialne pomysły kolektywizacji kosztowały parę osób życie

Właściwie z całej tej wystawy nie dało się poznać żadnego nazwiska pisarza lub współczesnego filmowca, kino skończyło się na Wiertowie i Eisensteinie. Było za to pełno rzeczy militarnych. Jest to jedna ze spraw, w których Polska z Rosją i paroma innymi republikami „bywszego Sajuza” się nie zrozumie: dla Gruzinów, jak i dla Rosjan druga wojna światowa jest sprawą najważniejszą na świecie. W mojej gruzińskiej wiosce nie było nawet sklepu, ale pomnik bohaterów II wojny światowej był. Kiedyś się wpakowaliśmy z Aligatorem w totalne zadupie, upał, do sklepu chyba ze dwa kilometry, ale tablice pamięci ze zdjęciami ofiar były. Nie mówię, że dla Polaków wojna jest jakimś zapomnianym wydarzeniem, ale tu jest o przynajmniej piętro wyżej. Oczywiście nie serwuje się pełnej historii, nie dowiemy się zbyt wiele o NKWD, powstaniu warszawskim, a i 17 września nie do końca jest najbardziej omawianym tematem. Tak więc w czasie święta miasta było trochę wojskowego żelaza, ale komentarza żadnego.

Poszliśmy w drużynie nauczycielskiej na Łubiankę, gdzie odbywały się koncerty. Miasto o oficjalnej populacji jedenastu milionów, nieoficjalnej o wiele większej. Darmowa impreza plenerowa. Gdy już przeszliśmy przez kontrolę bezpieczeństwa, udało nam się zająć miejsca jakieś 700 metrów od sceny (pi razy oko). O 21 miał grać Aerosmith. Nas uszczęśliwił brytyjski artysta John Newman. Nie był to hit, chociaż nie bolało jakoś strasznie. W pewnym momencie coś przemawiał, a stojący koło mnie zawodnik zaczął krzyczeć „GADAJ PO RUSKU! W ROSJI JESTEŚ!!!”.

Stanęliśmy sobie koło wielkiego telebimu, ale niestety ktoś coś schrzanił i dźwięk z obrazem rozjeżdżał się o dobre kilka sekund, efekt był fatalny. Gdy artysta skończył, pojawiła się dość zajebista animacja o Moskwie. Piątego dnia mieszkania w tym mieście poczułem dużą radość. Animacja przedstawiała całą historię miasta w jakieś 30 sekund – z naciskiem na to, że ich bili (Tatarzy, Niemcy), a oni dali radę. Żywa muzyka w podkładzie, szybki montaż, naprawdę dobrze zrobione.

Święto miasta było okazją do promowania gastronomii lokalnej i krajów zaprzyjaźnionych. Tu załapały się Serbia (kolejka do pleskavicy miała chyba ze sto osób) i Czechy, chyba mignęła mi też Macedonia. My poszliśmy w rosyjskie jadło, placki z różnymi nadzieniami. Każdy wziął nieco inny, ja wegetariański, ktoś z mięsem, ktoś na słodko. 150 rubli, no nie bardzo tanio, ale i mogło być drożej. Zaczynamy jeść.

– *Jadalem lepsze...*

– *Ja nie wiem, czy jadlam gorszy...*

Każdy był niedobry. Tak więc wykupujecie sobie miejsce kilkadziesiąt metrów od Placu Czerwonego na największym evencie jebitnie drogiego miasta. Taką okazję do prezentowania swego lokalu wykorzystujecie tak, że podajecie placek, który odgrzewacie w mikrofalówce na oczach klienta i który jest tak suchy i bez smaku, że chciałoby się poprosić o przepis, bo gdybym chciał, to bym nie upiekł czegoś takiego. Tak samo bez smaku był mój ze szpinakiem, koleżanki z mięsem mielonym i kolegi z wiśniami. Sztuka.

Po brytyjskim artyście wystąpiła dość wiekowa grupa lokalna Park Gorkiego. Zaczęli z niezłym pierdolnięciem, ale gdy zobaczyli publikę (morze ludzi, część z parasolami, większość tępo stojąca, wiele osób z dziećmi na ramionach), to im nieco energia siadła. Wiele się nie działo, ludzie nie zaczęli skakać i drzeć na sobie szat. Nie pomogło to, że mówili po rosyjsku... I z racji tego, że byliśmy hektary od sceny, chwilami kropiło i było ogólnie nieprzyjemnie, uznałem,

że nie będę czekał do 21 na Aerosmith.

Parę dni później rozmawiałem z Rosjaninem. Wyśmiał mnie niemal. Spodobał mi się tekst: „Widać, że dopiero przyjechałeś. Każdy mieszkaniec Moskwy ucieka w taki dzień jak najdalej od miasta, najlepiej na daczę. Na takie imprezy przyjeżdżają wszystkie okoliczne wioski”.

Okolice Placu Czerwonego nie były jedynymi, gdzie się coś działo. W całym mieście rozstawiono sceny, imprezy trwały dwa dni. Gdy następnego dnia jechałem na zakupy, oczy me ujrzały dość depresyjny widok – malutką scenę z występującą dziewczynką i audytorium na kilkanaście osób. Coś tam słyszałem w metrze, że jakaś scena w którymś z parków była dużo lepsza od tej centralnej. Ja jednak chyba na przyszłość będę się trzymał tego pomysłu z wyjazdem na daczę.

Taką czapkę można było dostać gratis. Lud w nich ochoczo chodził, a potem wyrzucał – kosze były ich pełne. Była też wersja żeńska. Śmiać mi się nieco chciało, gdy zobaczyłem pokaźnych rozmiarów grupę Hindusów w tych nakryciach głowy.



*Powyżej: Mizerny redaktor naczelny
w rytualnym nakryciu głowy*

[18.10.2015]

*Życie w Rosji powinno być złe, nędzne,
wtedy dusza się uwzniośla, uświadamia sobie, że nie należy do tego świata...
Im więcej brudu i krwi, tym więcej przestrzeni dla siebie ma dusza.*
Swietłana Aleksijewicz, *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka*

Wierząc polskim doniesieniom prasowym, z powodu embarga na jabłka z naszej ojczyzny, Rosjanie jedzą już tylko śnieg i kamienie, a i tak nie wystarcza dla wszystkich. Korzystając z darów wolnego czasu, oddałem się konsumpcjonizmowi w wersji podstawowej, czyli paru wyprawom na zakupy dalej niż pięć minut od domu. Ostatecznym obiektem kultu, świątynią konsumpcji i dekadencji są dla wielu hipermarkety Aszan (czyli Auchan). Najbardziej luksusowa sieć marketów to Azbuka Wkusa („Alfabet Smaku”), ale to mniej więcej Alma do kwadratu. Parę razy się tam zaplątałem i jakoś nigdy tłumów nie było. Za to w dość tanim markecie Zebra na samotność nie można narzekać, a przynajmniej nie przed godziną 23.

Wyprawy do Aszan i paru innych sklepów pozwoliły stwierdzić, że dostępne jest wszystko, chociaż niekoniecznie w jednym miejscu. Oczywiście to, co sobie kupimy, jest bardzo zależne od tego, jak wiele chcemy na to wydać. Dość szybko odbiera się lekcję o tym, że istnieje powód, który sprawia, że nie importuje się zbyt wielu rosyjskich produktów na Zachód. O ile w sklepach w stylu Auchan (nie zapominajmy, Aszan) lub Billa da się znaleźć rzeczy, które nie są bardzo drogie, a dość dobre, o tyle już sklepy bardziej rosyjskie potrafią pokonać dostępnymi towarami. Nie pomaga to, że ceny bywają śmieszne.

Pewnego dnia znalazłem serek topiony (chyba ten wymiar kary miał 200g) za 6 rubli! Kupiłem eksperymentalnie, z głupiej ciekawości. Ten tryumf lokalnego przemysłu mleczarskiego nie dawał się rozsmarować, rozpadał się na grudki, zaś smaku miał śladowe ilości. Typowy produkt, który kupuje się dwa razy: pierwszy i ostatni.

Podobnie szybko nauczyłem się, że lepiej kupić droższe jabłka i pomidory. Makaron za 10 rubli, toż to jakieś 60 groszy! Jakże to może być? Z czego to może być? Kupiłem taki za 35, przylepił się do garnka i sam do siebie, ale od dzikiej biedy dało się zjeść. Dopiero taki za 70 rubli okazał się być w porządku.

Wiele produktów to te rosyjskie, które próbują udawać zachodnie, zwłaszcza włoskie makarony, sery, w tym nawet szwajcarskie. Innym tematem jest oszukiwanie na wadze: karton wyglądający na litr ma tak naprawdę 970 ml. Do tego dochodzi to, że tych 970ml nie przelewa się pod korkiem. Już się pogodziłeś, że litr to 970 ml (a może i 930), zapłaciłeś, idziesz do domu, a tam okazuje się, że jeszcze kolejne mililitry, to powietrze.

No i jak się nie zirytować? Jak mieć pozytywny stosunek do świata, skoro nawet na kartonie mleka muszą nas wychędożyć? Zapewne ku chwale wielkiego mocarstwa! To oczywiście wspaniałe, że mieszka się w takim pięknym i potężnym kraju, ale gdzie można się zgłosić, żeby dolewali nam kefir bardziej pod litr niż 900ml?

Swoistym kuriozum jest opisanie produktów, pewnego dnia trafiłem na pomarańcze z Białorusi. Zgaduję, że Białoruś je kupiła, a potem Rosja od nich, bo jakiego globalnego ocieplenia by nie było, to jednak gajów pomarańczowych pod Grodnem nie widziałem. Cena wskazywała na to, że byli tam po drodze pośrednicy. Wizyta w Aszan pozwala na doksztalcenie się z geografii świata, na metkach są flagi różnych krajów. Jak często człowiek widzi flagę Iranu? Mimo tych zabiegów, to właśnie sekcja warzywa i owoce w pobliskich marketach jest bardzo smutna. Banany z Ekwadoru, bywa pomelo, winogrona z Turcji i Mołdawii. Jabłka rosyjskie, tańsze są bardzo takie sobie, droższe zjadliwe, ale daleko do znanych osiągnięć polskiego sadownictwa. Tanie są dynie (zwłaszcza odmiany „Kołchoźnica” i „Torpeda”, znamy kraj pochodzenia...), kiedyś zwane jedzeniem dla biednych. Arbuzy też bardzo przystępne, sprzedawane w całości. Współlokator mówi, że w zimie będzie totalnie przegwizdane i będziemy ziemniaki zagryzać rzepą albo płacić tyle za mandarynki, że taniej wyjdzie polecieć do miejsca, gdzie je sadzą, nażreć się tam i wrócić.

Na pociechę jest sekcja nabiał: twarogów, kefirów, maślanek, serów białych i żółtych są tony (tylko sprawdzajcie wagę). Z serami żółtymi szczęście jeździ na dość pstrym koniu (za 90 lepszy niż za 195 się trafił), często mają dość niską ilość tłuszczu, co mnie nie przeszkadza, bo takie lubię, ale dla wielu ludzi to raczej dowcip. Szczęśliwie jest bardzo dużo wpływów kaukaskich w kwestii pieczywa, da się bez wielkiego bólu dostać różne odmiany lawasza.

Ciekawym obrazkiem bywają promocje. Jeszcze nie widziałem, żeby jakiś przeceniony produkt utrzymał się ponad dobę, a myślę, że często nie leży nawet kilku godzin. Rzucają jakiś serek, rybkę lub mięsiwo i nagle okazuje się, że dokładnie tego wszyscy szukali i chcą to mieć. Jeżeli serki Hochland są po 80-100, to będą spokojnie leżały. Jeżeli jednak nagle np. śmietankowy zjedzie na 50, to okaże się, że wszyscy chcieli śmietankowy i w parę godzin go nie będzie, pozostałe będą dalej nieniepokojone spoczywały na pułapie stu. Jeżeli dołożą więcej śmietankowego, ale już po 80-100, a przecenią grzybowy, wówczas naród zapala dziką miłością do grzybowego. Jak widać, że jest jakiś młyn przy półce, to pewnie coś tańszego się pojawiło. Prowadzi to do nawet korzystnych sytuacji, da się znaleźć produkty podchodzące pod luksusowe taniej niż w UE. Problem, że nigdy nie wiadomo, co też przecenią – w jednym z odwiedzanych przeze mnie sklepów w ciągu tygodnia mogłem kupić dość fikuśne gniazda makaronów (80 ze 140), herbatę angielską (120 z 210) i konserwy wołowe (nie pomnę). Nie żywię się jedynie promocjami, szczęśliwie mogę sobie kupić nawet jesiotra pierwszej świeżości, ale odnoszę wrażenie, że ludność lokalna, zwłaszcza ta emerytowana, nie ma takiego szczęścia. Te zjawiska są nam nieco znane z realiów polskich, ale jednak rzutu na serek topiony sobie nie przypominam.

Mawiają, że Moskwa to nie Rosja – tu jest bogaciej, i lepiej. Chciałbym się więc dowiedzieć, o jakie to produkty trwa walka w okolicach Nowosybirsk. Gicz jenocią? Sobole łapki? Wiewiórczy ogon?

Cieszy jednak, że władza dba o zaopatrzenie najważniejszego stoiska, czyli monopolowego. Na co nie przeliczymy wódki, to wyjdzie nam, że można jej sobie spokojnie kupić dość dużo – kiść winogron jest w cenie połówki. No dynie i ziemniaki nieco mniej. Może więc ludność lokalna nie ma na ananasa, ale na wódkę i papierosy raczej im wystarczy, niezależnie od tego, jakie embargo się trafi. Kreml może spokojnie spozierać z wyższości swych

wieźyczek z gwiazdami w wiadomym kolorze. Przy tym jak to wygląda, ludzie chyba nawet nie denerwują się o ten serek topiony i kefir w wymiarze 930ml, chociaż w tych wypadkach poczucie bycia wychędożonym jest fizycznie odczuwalne.

Wódkę póki co leją uczciwie. Gradus chyba też odmierzany jest po bożemu, przynajmniej obraz śmierci i zniszczenia widywany pod sklepem na to wskazuje. Wspomniałem, że tłumy są do 23 – po tej magicznej godzinie nie sprzedaje się alkoholu. To był jeden z moich największych szoków poznawczych, aż napiszę jeszcze raz: po godzinie 23 nie można kupić alkoholu, a na pewno nie w dużych sklepach z paniami na kasach. Podobno napoje wysokowe da się wtedy nabyć w rozlicznych budach, ale tanio nie będzie. Mój współlokator mówił, że całodobówki po 23 to wspaniałe miejsca na zakupy. Przetestowałem, miał rację, o 23:20 byłem praktycznie sam, kasjerki mogły sobie zagrać w szachy albo nawet brzdąkać na bałajce. Normalnie zatłoczony sklep średniopowierzchniowy, od 7 do 23 kobiety nie wyrabiają z przekładaniem towarów, a po magicznej godzinie nastaje inny świat. To więc nie po rzepe, ziemniaki i cebulę były te stada?!

Jednak niech ręka boska broni zabłąkać się tam w okolicach 22:30, walka jak o Stalingrad. I to nie tylko w piątki i soboty, a każdego dnia. Pełen przekrój społeczny, wilki sukcesu kupujące whisky, emeryci produkty z promocji. Póki było ciepło, pod sklepem trwała permanentna libacja. Wiele widziałem i sam osiągnąłem niemało w temacie, ale przy nich to przedszkole. Pewnego dnia facet rozdający ulotki lombardu w pobliżu metra był krańcowo pijany i dość solidnie się zataczał. W końcu była wtedy już jakaś 17.

Piąteczek tutaj to wyższa szkoła jazdy, już koło 16 grasują tabuny ludzi z piwami i drineczkami. Rozumiem z tego, że nadal można pić alkohol o mocy do 10% w miejscach publicznych, zresztą policji w mej okolicy wiele nie widuję. Pewnego wieczoru widziałem patrol, obok nich siedł solidnie narąbany pacjent i popijał portwein. Nie niepokoił go. Do pierwszych opadów śniegu pod sklepem trwała nieustająca walka z trzeźwością, zazwyczaj zwycięska.

Pewnej niedzieli w okolicach godziny 18:30 siedział tam totalnie pijany, wręcz nieprzytomny młodzian. Dwie panny (miały góra 20 lat) próbowały go cucić, mówiły mu, że nie może tak siedzieć i żeby szedł do domu. Odpowiadał, że nigdzie nie pójdzie i że będzie tak siedział (to, że mówił to zbyt wiele powiedziane, raczej bełkoto-mamrotał – *listening comprehension* niezłe by z tego było). Zrobiłem zakupy, wyszedłem ze sklepu i co me oczy ujrzwały? Chłopak siedział już na płotku, a nie na stopniach, dziewczynki grały na gitarze i śpiewały, a dwóch bezdomnych próbowało napoić go piwem Żygulowskim i wytłumaczyć denatowi, że mu się od tego poprawi. Jak stosunek z tygrysem („Jak to jest odbyć lot samolotem linii Aeroflot? To tak jak odbyć stosunek z tygrysem: trochu śmieszne, trochu straszne”).

Nie wiem, czy w Rosji da się cokolwiek załatwić w poniedziałek, w niedzielne popołudnia piją tabuny, może nieco mniejsze niż w piątek, ale wielu hołduje zasadzie, że natura nie znosi próżni, więc ją zapelniają. Pewnej soboty o godzinie 19 na placu zabaw przed moim mieszkaniem miały miejsce TRZY niezależne libacje. Zrozumiałem, że tablica zabraniająca picia i palenia tamże to luźna, niezobowiązująca sugestia. Jak czasem spojrzę w kosze na śmieci, to libacja ta nie była przypadkiem odosobnionym.

Wszystkim tym raczej spontanicznym spotkaniom przyświeca leninowski internacjonalizm. Tadźcy chleją równo z Kaukazcami, Rosjanie z Ukraińcami, zdarzyło mi się słyszeć chiński. Oczywiście dominują Rosjanie, z pasją, jakby chcieli upewnić się, że opowieści o ich pijaństwie nie były przesadzone.

Zaznaczę, że mieszkam w dzielnicy wojskowych emerytów, trudno mi sobie wyobrazić, co się dzieje we wschodniej Moskwie, która ma opinię niebezpiecznej i patologicznej. Leżą pod samochodami, przebijają śrubokrętami podwozie i piją płyn z chłodnic?

Chwała w tym wszystkim, że agresji żadnej póki co nie widziałem, co najwyżej sępią fajki i kasę, chociaż nie są bardzo męczący. Ogólnie tu prośb o papierosy się nie odmawia, paczka Chesterfieldów kosztuje 77 rubli, są oczywiście i tańsze produkty. Gdy pewnego dnia skończyły mi się papierosy i nie miałem gdzie kupić (kioski nie sprzedają, Rosja próbuje oduczyć naród palenia), to w ciągu kilku godzin na pięć prośb dostałem pięć petów (w tym mentolowego). Wzruszony tą dobrocią serca, sam też nikomu nie odmawiam. Życie stało się wygodniejsze, zwłaszcza dla tych pod sklepem.

I jeszcze na koniec tego tematu: o poranku w metrze nie będziecie długo szukać kogoś, od kogo czuć, że kilka godzin wcześniej był królem świata, a teraz właśnie bardzo tego żałuje. Kraj działa bardziej od 9-10 niż 7-8, więc jeżeli nie ma się absolutnej potrzeby, to lepiej nie wybierać się na wielkie wyprawy o tej godzinie, bo tłok na głównych stacjach przeraża.

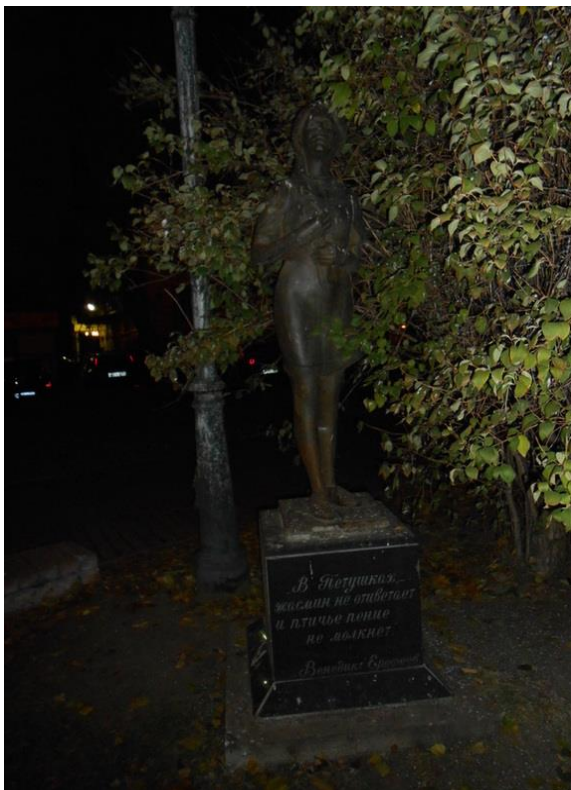
Dla mnie rzeczywistość nie jest aż tak różowa. Moje możliwości poszalania sobie są dość ograniczone. Pracodawca jest w tym biznesie od jakiegoś czasu, mój kontrakt zawiera trochę zapisów, co się stanie, jak się powyglupiam i przyjdę na pycie. Niestety nie są to zapisy o tym, że dadzą mi za to premię. Nikogo nie obchodzi, co będę sobie robił w czasie wolnym, ale przyjscie na zajęcia z syndromem dnia poprzedniego nie wchodzi w rachubę, a raczej jest związane z pewnymi sankcjami, które nie wpłynęłyby korzystnie na mój budżet czy karierę. Dzięki temu moje zakupy koncentrują się bardziej na dziale nabiału niż monopolowym.

[25.10.2015]

Plan miałem prosty: jechać na stację Novoslobodskaya. Tam iść do sklepu, który według swojej strony internetowej miał mieć fajne jeansy. Potem przejść na stację Mendeleyevskaya, w okolicach której jest Plac Walki, a przy nim pomnik Jerofiejewa. W tobołku miałem piwo Żygulowskie, żeby należycie uczcić urodziny jednego z ulubionych pisarzy. Z jeansami poszło tak, że okazało się, że w necie to jedna sprawa, a na miejscu nieco inna. Taka trzy razy droższa...

Przeszedłem na stację Mendeleyevskaya. Zacząłem rozpytywać, gdzie tu może być ten Plac Walki. Niestety wskazówki znalazłem po angielsku, więc oferowałem autorskie tłumaczenie, które sprawiało, że ludzie bezradnie rozkładali ręce. W końcu usłyszał mnie jeden przechodzień i zaoferował, że mnie zaprowadzi. Super, dziękuję.

Idziemy, rozmawiamy. Szybko pada pytanie: skąd jestem? Po odpowiedzi zalega cisza. Robi mi się nerwowo, bo okolica może nie jest totalnie dzika, ale ciemniejsze odcinki drogi bywają. Po chwili rozmówcy wraca pasja do rozmowy, ustalamy, że Moskwa jest wspaniałym miastem, że pracuję w nim i że szukam pomnika jednego z mych ulubionych pisarzy. Rozmówca mówi, że mieszka tu, kojarzy jakieś figurki, ale nie wie, czy to te. Mówię, że jak dwie ludzkich rozmiarów, to to te. Widziałem ponad trzynaście lat temu, w miarę pamiętam, jak to wygląda.



Żeńska część pomnika...



... i część męska

Rozmówca nagle zachwycony, że znam rosyjską literaturę, pyta, czy wiem, że tu się niedaleko urodził Dostojewski. Tłumaczy mi, jak iść, żeby nie wracać na tę samą stację, a po drodze przejść koło domu Fiodora Michajłowicza. W pewnym momencie chwyta mnie za ramię. Ja na to tężeję i sobie myślę „to teraz będzie szydło w gardło”. Myliłem się, chciał mi pokazać tablicę upamiętniającą walki, które miały tam miejsce w 1917 roku i zaowocowały nazwą placu. Kawalek dalej jest! Jerofiejew! Interlokutor ogląda się ze mną, sprzedaje mu tytuł wiadomego dzieła, żegnamy się.

Kolejne kilka minut patrzyłem sobie na Jerofiejewa. Parenaście metrów dalej chłapa młodzież w dresach. Zastanawiałem się, czy celebrują urodziny pisarza, czy po prostu piją. Wyglądało raczej na to drugie. Próbowałem zrobić zdjęcie, które by się do czegoś nadawało, sukcesów nie zanotowałem. Porażka goniła porażkę, jak nie rozmazane, to ciemne. A bywało, że i ciemne, i rozmazane. Po następnym próbie poddałem się. Wyjąłem Żygulowskie, otworzyłem i eksplodowało mi w twarz.

– *Dzień dobry, nazywam się Swietłana.*

– *Mi-----khaaaaaaaaa-iiiiiiiiiił* – odpowiedziałem, próbując ratować Żygulowskie, które właśnie obmywało mi ręce i policzki.

– *Nazywam się Swietłana i jestem alkoholicką.*

Jakoś się uśmiechnąłem.

– *Nie ma się z czego śmiać.*

Kolejne kilkadziesiąt minut spędziłem na rozmowie ze Swietlaną. O literaturze. Popijałem przy tym Żygulowskie dla Jerofiejewa, ona miała drina z wiśni. Powiedziała, że ciekawi ludzie przychodzą pod ten pomnik i dlatego tu bywa. Że nie tylko, że owszem, że wiele osób chce się po prostu schlać, ale bywają ludzie, którzy mają jakieś ciekawe historie. Gdy zobaczyła, że próbuję robić zdjęcia z kosza na śmieci, uznała, że podpadam pod kategorię ciekawostki. Powiedziałem:

– *Jestem tutaj, bo są jego urodziny.*

– *Masz urodziny???*

– *JEROFIEJEW MA! Ja mam 10 maja. Dalej być nie mogło.*

– *Czemu chcesz tu dzisiaj być? Co takiego dobrego zrobił Jerofiejew?*

– *Napisał jedną z moich ulubionych książek.*

– *Co komu ta książka dała?*

– *Lubię ją. Wiele osób ją lubi.*

– *Ta książka to depresja. Czemu chcesz żyć depresją?*

– *Interesuje mnie.*

– *Nie wystarczy ci smutku w życiu? Czemu chcesz poświęcać czytanie na takie rzeczy?*

Przez kolejne kilkadziesiąt minut odmrażałem sobie tylną część ciała i rozmawiałem ze Swietlaną. Omówiliśmy kilkunastu pisarzy, głównie rosyjskich i radzieckich. Zrobiłem sobie nawet listę rzeczy do doczytania. Swietłana optowała za tym, żeby poszukiwać zabawy i radości w życiu. Z filmów najlepiej oglądać coś w stylu *Trzech idiotów*, bo to chociaż na chwilę pozwoli zapomnieć o tym, jak życie naprawdę wygląda. Ja byłem za depresją i że nie ma się co okłamywać w sprawie ludzkiej natury i realiów życia. Dobrze dwadzieścia minut omawialiśmy Dostojewskiego. Swietłana narzekała, że ludzie patrzą na Rosję przez pryzmat jego dzieł, widzą

Rosjan jako smutnych i mrocznych, a ona taka nie jest i nie chce być. Bardziej pasuje jej Tołstoj, a *Wojnę i pokój* uważa za kluczową książkę do zrozumienia realiów rosyjskich. Szalamow jest lepszy od Solżenicyna, bo Solżenicyn przesadził z depresją w opisie gułagów. No nie było tam dobrze, ale tak zbierać same złe rzeczy to bez sensu. Gdy potem dowiedziałem się, że mieszkała do siódmego roku życia w NRD, bo jej ojciec tam pracował, zrozumiałem, skąd się mógł wziąć ten punkt widzenia. W jakimś momencie tych pogawędek spojrzałem na pomnik Jerofiejewa. Ma dusza zeznała:

– *Widzisz, co żeś zrobił? To przez Ciebie tu jestem i prowadzę ten dialog.*

Koło 19:30 rozstaliśmy się. Zadzwoił mąż Świety i okazało się, że ma iść do domu. Przepraszyła, że idzie, ale następnego dnia musiała iść do pracy. Biorąc pod uwagę, w jakim stanie odchodziła, mam nadzieję, że ma mało odpowiedzialne zajęcia.

Wspomniałem wskazówki sprzed około dwóch godzin. Poszedłem na stację Dostoyevskaya. Wychodząc z Placu Walki, odwróciłem się i zobaczyłem kontur pomnika. Potem pomyślałem sobie, że jak cudowna nie byłaby pisanina Jerofiejewa, to nigdy nie przebije przyjemności rozmowy o niej z drugim człowiekiem. Poszedłem szukać domu Dostojewskiego.

Los nazначył mnie znamieniem Polaka, tak mi mówi okładka paszportu. Bałem się nieco, jadąc tu. Relacje między naszymi krajami nie są cudowne, a właściwie to nigdy nie były. Po dwóch miesiącach życia w Moskwie mogę zeznać, że nie spotkała mnie żadna nieprzyjemność związana z moim krajem pochodzenia. Rosjanie póki co plasują się bardzo wysoko na liście spotykanych przeze mnie narodowości. Właściwie każdy ma jakąś ciekawą opowieść, wystarczy usiąść i rozmawiać. Znajomość literatury narodowej powala, tu chyba każdy zna dorobek największych pisarzy, nierzadko też bardziej niezależnych. Chwilami trochę problemem jest to, że moi rozmówcy zakładają, że jestem absolutnie biegły w ich języku. Nie jestem, przycinam się, brakuje mi słów, czasem muszę prosić o powtórzenie. Nie spotkałem jednak ani grama nienawiści. Bardziej zdumienie, że ktoś z własnej woli żyje w Rosji i czemu nie w UE skoro może tam? Padają czasem pytania, czemu Polska nie lubi Rosji, ale częściej ludzie wiedzą dlaczego. Być może nie zacząnę biegać z flagą po miejscach, gdzie piją łysi chłopcy, ale średnio raz na dwa tygodnie trafiam kogoś, kto sprawia, że chce się wychodzić do ludzi. Jest też smutniejsza strona zagadnienia: ilość pracy sprawia, że nie bardzo mam kiedy. Umykają więc dziesiątki pogawędek, które mógłbym odbyć, gdybym nie wychodził z roboty nierzadko | po 21.

[25.10.2015]

Nadszedł dzień wyborów, postanowiłem spełnić patriotyczny obowiązek. Kilka tygodni temu zarejestrowałem się, by móc głosować w Moskwie. Tydzień temu zabrano mi paszport na potrzeby przedłużenia wizy. Przyjeżdża się na trzymiesięcznej, w tym czasie pracodawca może nas sobie potestować (dwa razy w przypadku mego miejsca zatrudnienia), a potem wystąpić o wizę na resztę czasu. Rosję mało obchodzi, czy jesteśmy z USA, UK lub skądś indziej, jak ktoś nas chce, to może sobie nas zatrudnić i nam płacić. Mimo skromnej sumy doświadczeń związanych z Rosją, widzę dość wyraźnie, że ichniejsze urzędy nie są najbardziej dynamicznymi na świecie. Procedura trwa trzy tygodnie. W zamian wydano mi papier poświadczający, że mają mój dokument, do tego ksera paszportu i wizy, łącznie pięć stron dokumentów. Tak się składa, że w największym kraju świata przeważająca większość obywateli chce mieszkać w Moskwie lub Petersburgu. Wymagana do tego jest rejestracja, a policja co jakiś czas zatrzymuje ludzi i sprawdza, czy takową posiadają. Nie powiem, że szukają bardzo dokładnie, nie sądzę, że ludzie pracujący przy rozładunku pod sklepem (80 rubli za godzinę) mają komplet dokumentów, niemniej prawo głosi, że masz zawsze mieć ze sobą paszport. Od mieszkających tu dłużej usłyszałem, że średnio raz na rok jest się sprawdzanym. Od początku nie wróżyłem sobie sukcesu, ale postanowiłem spróbować. Ustaliłem adres ambasady Polski, nawet nie bardzo daleko ode mnie, pojechałem. Pogoda nie była przesadnie zachęcająca, taka natura października w tych realiach klimatycznych.



Ambasada jest ulokowana tuż obok zoo, więc przy okazji można podziwiać lisy przez ogrodzenie. Gmach ambasady jest gigantyczny, nie wiedziałem, że pochodzę z tak bogatego kraju, który wywala sobie w mieście tak drogim jak Moskwa placówkę na hektary. Może im taka potrzebna, chociaż nie bardzo przychodzi mi do głowy po co.

Najpierw sprawdził mnie rosyjski policjant. Potem pracownik ambasady. W moim sercu zaczęła kiełkować nadzieja, obaj mundurowi nie mieli żadnego problemu z tym, że mam kserówki dokumentów. Dotarłem do komisji numer 144. No i koniec. Przepisy głoszą, że musisz posiadać dokument, który uprawnia do wjazdu do kraju. W Unii wystarczy dowód lub prawo jazdy, w Rosji musisz mieć paszport. Zaświadczenie o tym, że twój paszport spoczywa w jakimś urzędzie nie wystarczy, bo nie pozwala na zweryfikowanie tożsamości.

W najdzikszych fantazjach nie mogę sobie wyobrazić tego, że ktoś chciałby się pod kogoś podszywać, żeby iść na wybory. Wielu ludziom nie chce się nawet iść zagłosować za siebie. Nawet gdyby parę osób tak kombinowało, to nie miałyby to znaczącego wpływu na ostateczny rezultat. Podobnie jak ja nie zagłosował pan, który się nie zarejestrował. Tak, jego wina, bo do 22 października należy się zarejestrować. Tyle że nie jest to takie oczywiste dla każdego, a jakoś informacjami na ten temat człowieka nie zarzucają. Prawdopodobieństwo tego, że chciałby on zagłosować rano w Moskwie, potem wskoczyć w samolot i jeszcze raz w jakimś rodzinnym Radomiu, są nikłe.

Rozumiem, że pracownicy ambasady muszą podporządkować się przepisom, ale może komuś udałoby się przejrzeć je i poddać pewnemu uaktualnieniu? Poza granicami Polski mieszkają miliony obywateli. Można się spierać, czy powinni mieć prawo do głosowania, skoro nie płacą podatków, ale póki co takiej debaty nie było. Nie widziałem też zbyt wielu rozmów o tym, że może w końcu udałoby się wprowadzić głosowanie internetowe. Mimo swoich mankamentów pozwoliłoby ono np. nie jeździć pół Moskwy po to, żeby nie zagłosować.

[2.11.2015]

Moskwa to duże miasto, w którym mieszka parę osób. Zapewne z tego powodu The Prodigy zdecydowało się zagrać tutaj dwa koncerty. Pierwszy 9, drugi 10 października. Bardzo, bardzo długo się zastanawiałem, czy chcę się przejść. Za był zespół i to, że ich ostatnia płyta ma lisa w logotypie, a poza tym jest niezła. Przeciw było to, że bilet kosztował 3500 rubli, czyli jakieś 210 PLN. The Prodigy było swego czasu za darmo na Przystanku Woodstock. Jeszcze zanim to miało miejsce, widziałem ich w roku 2007 za trochę ponad połowę moskiewskiej ceny. Dlatego przez dobre parę pierwszych dni października białem się z myślami, czy mi się chce i czy warto. Ostatecznie uznałem, że zobaczę recenzje po piątku. Nie zabijały. Kawalki na YT też nie. Set raczej krótki i banalny. 10 października stwierdziłem, że nie. Że plusy nie przysyłają minusów i jeżeli gra się niecałe 90 minut, to nie można liczyć na moje wsparcie.

Czy są jakieś alternatywne sposoby spędzania wolnego czasu? Oczywiście! W końcu najlepsze miasto świata! Połączone siły Związku Radzieckiego i Federacji Rosyjskiej podarowały ludzkości... Cmentarz Nowodziewiczy



Podarowały też trochę chaosu wokół cmentarza...

Jest to cmentarz państwowy dla zasłużonych. Definicja: propanstwowi, a przynajmniej nie „anty-”. Nie znajdziemy na nim grobu Politekowskiej. Niemców też jakoś gdzieś indziej spoczął.

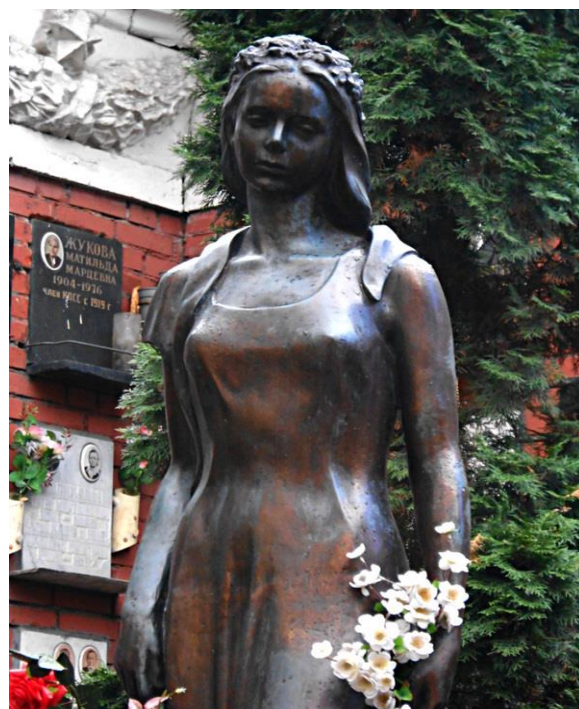
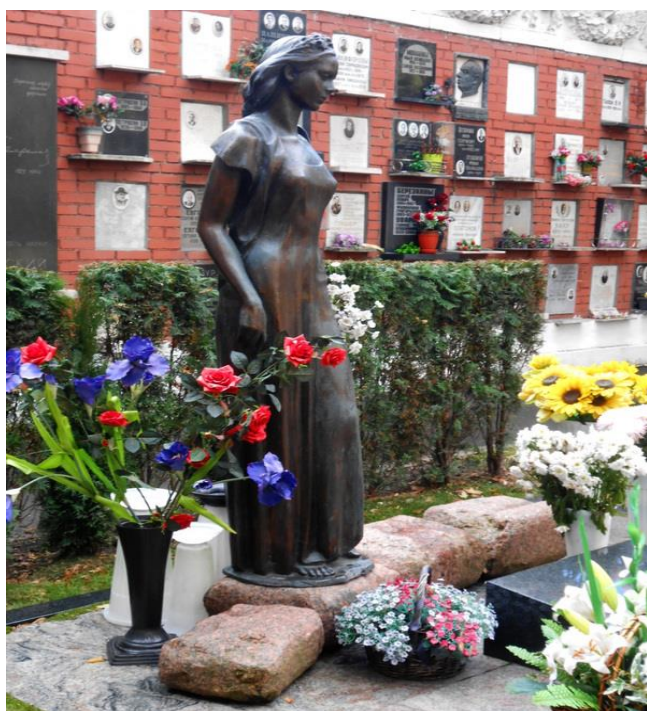


*Z rzeczy najważniejszych: pochowano tam...
(czas na werble i oczekiwanie w napięciu)...*



... BULHAKOWA!!!

Kiedy już oddamy pisarzowi odpowiedni hołd (np. nie spalimy rękopisów, wypijemy kieliszek spirytusu, nakarmimy czarnego kota ananasem i polecimy na świni), możemy obejrzeć inne mogiły. Raisa Gorbaczowa ma najlepszy grób. Rozmachu nie zabrakło, jest marmur, jest rzeźba z brązu, są plastikowe wazony ze sztucznymi kwiatami.



Z kolei wyznawcy Chruszczowa robili, co mogli, ale nawet na rzeźbie nagrobnej jego lico usprawiedliwia istnienie dowcipu o tym, że można pomylić go z prosiakiem.



Plastikowych wazonów wystarczy dla wszystkich!

Jest Czechow, Eisenstein podobno też, Prokofiew także się załapał. Jest jedna mapa przy wejściu, sprzedają też inne, ale akurat obsługi nie było. Chodzi się więc i pyta obsługę lub innych turystów, wszyscy szukają plus minus tych samych nazwisk. Jednak najstraszniejsza rzecz spotkała dość znanego alkoholika, a dokładniej Borysa Jelcyna. Oto jego miejsce spoczynku.

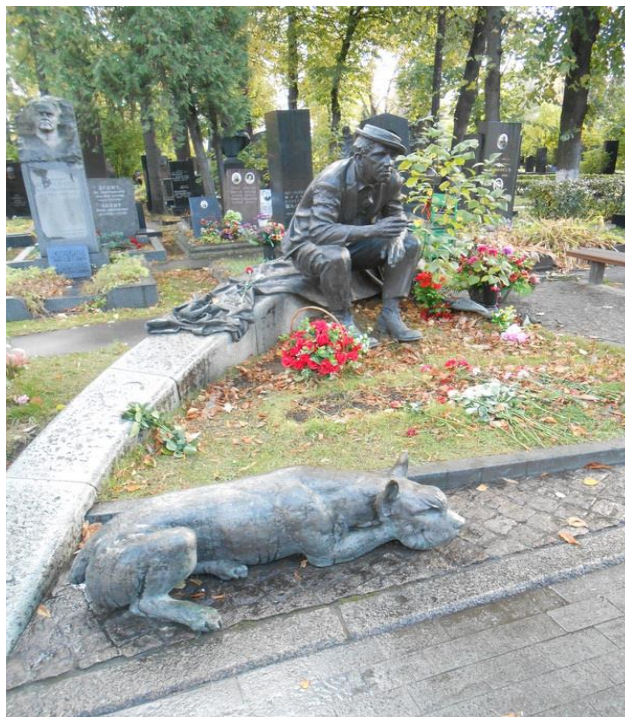


Sen szalonego patrioty



Inspiracja dziełami Gaudiego?

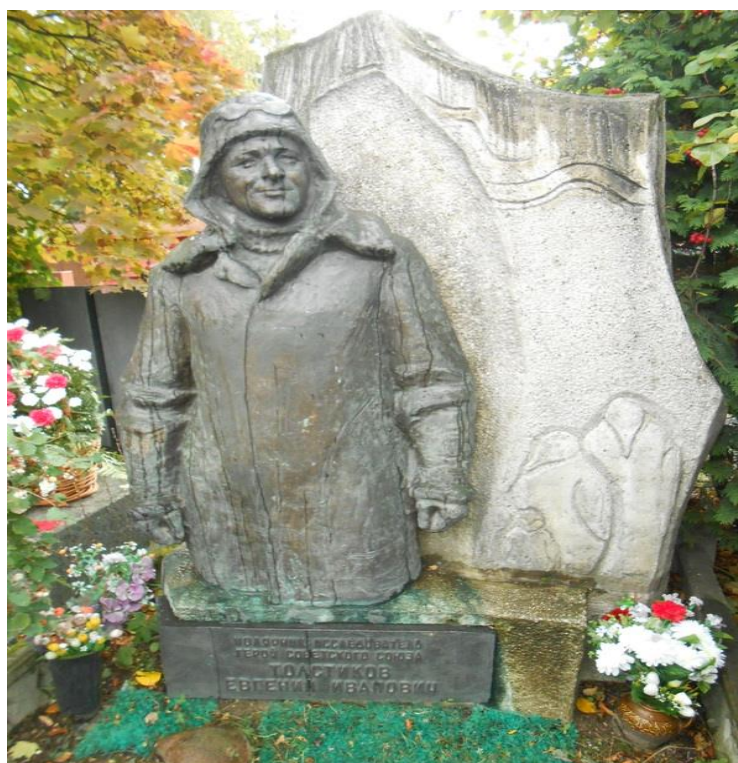
Gdybym siedział, pił i myślał, jak komuś zrobić krzywdę, to bym się nawet nie zbliżył do tego poziomu patriotyzmu. Cmentarz pełen jest też innych atrakcji, które przedstawiam dalej.



Hachiko, edycja rosyjska?



Ten widocznie naprawdę lubił palić...



Polarnik w stosownym odzieniu i z parką pingwinów



Trawnik...



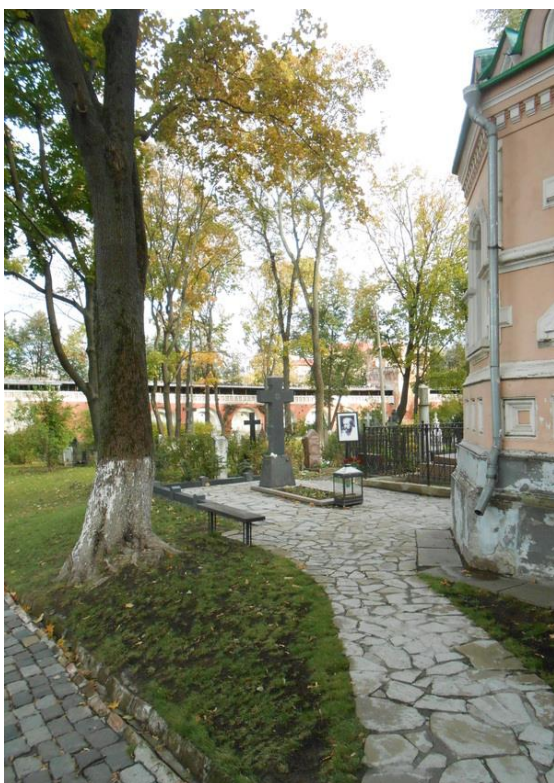
I w końcu Czechow!

Chodzi się po tym super fajnie. O, ten! O, tamten! Po dwóch godzinach takiej zabawy pomyślałem sobie, że przecież mój wódz też leży w tym mieście. Miał nawet to szczęście, że sam sobie wybrał miejsce wiecznego spoczynku.



Monastyr Doński

Przejechałem na stację Leninskij Prospekt. Wylazłem, począłem pytać. Pokierowali. Najpierw trafiłem na cmentarz ogólny. Grabarz poinformował mnie, że to nie tu. Paręset metrów dalej spytałem jakiejś bardzo konserwatywnie wyglądającej pani, czy gdzieś tu może nie leży Solżenicyn. Pani chwyciła mnie za ramię, przytuliła się i zaczęła prowadzić. Nie do końca czułem się komfortowo z tą naroślą, więc podziękowałem jej na kilkadziesiąt metrów przed celem. Szczęśliwie, poszła sobie. A ja stanąłem przed grobem Aleksandra Solżenicyna.



Jest szczęściem móc odwiedzać miejsca związane ze swoimi ulubionymi pisarzami. Świetne miejsce sobie wybrał, jest cicho, spokojnie, ładnie, refleksyjnie, do tego nie ma stad

ludzi. No i nie położą mu raczej obok Putina czy innego Ziuganowa. Sam monastyr Doński też jest dość ładny i przyjemny, ale zdecydowanie polecam udać się na tyły.



[11.11.2015]

Słyszałem niegdyś, że każdy w Moskwie ma swoją ulubioną stację metra. Oczywiście jest, że po jakimś miesiącu zapragnąłem mieć swoją. Początkowo szukałem trochę na siłę, ale żadna mnie nie powalała do takiego stopnia, żebym uznał: „ooo, warto tu kogoś zabrać, tu jest fajnie, to moje”. Najczęściej przeze mnie używana – Oktyabrskoye Pole – jest do bólu szablonowa. Inna, z której często korzystam – Polezhayevskaya – różni się umiarkowanie. Wzbudzają wprawdzie jakieś emocje: „o, wróciłem do domu, o zajechałem do roboty” ale są to uczucia raczej powtarzalne i przyziemne. Są nawet rankingi, w tych wysoko lokują się przystanki Mayakovskaya, Kiyevskaya, Komsomolskaya. Problemem tych stacji jest natężenie ludzi, zawsze jest tam wielka walka o wejście, przejście, wyjście, trudno się zatrzymać, zadumać i stwierdzić „ooo, to jest piękne, to super zrobili”. Wracalem parę razy w późnych godzinach nocnych, wtedy jest lepiej, ale to jednak cząstkowa suma moich doświadczeń wobec tego, ile razy stałem tam w ludzkim korku. Po paru tygodniach odkryłem ciemną stronę metra: weekendowe remonty. W każdy weekend, odkąd tu jestem, zamknięte zostaje kilka stacji z powodu prac technicznych.

Akurat tego dnia umówiliśmy się na spacer po parku VDNKh. Z racji prac technicznych wszyscy przesiadali się na stacji Prospekt Mira. Tłok, jaki powstał, inspirował nawet lokalnych do robienia zdjęć. Dla mnie i paru współpracowników termin „Prospekt Mira” stał się tożsamy z gigantycznym tłokiem i bałaganem. Sytuacje dramatyczne opisujemy słowami „panował tam Prospekt Mira”. Dodatkowej ironii dodaje temu fakt, że nazwa stacji znaczy „Aleję Pokoju”.



Współczujemy cierpiącym na klaustrofobię...

Tydzień później życie rzuciło mnie na stację Park Kultury. Było jeszcze lepiej. Czy oni ten dramat korelują z nazwami? Jedziesz, myślisz sobie „o, Park Kultury, może coś fajnego będzie na stacji!”. No i jest. Co gorsza, musiałem się tam przesiąść dwa razy. Do końcówki października pozostawałem raczej neutralny w temacie wyboru ulubionej stacji metra niegdyś imienia Lenina. Miałem bardziej lubiane, miałem mniej, ale żadna to nie była ta jedna.

Pewnego dnia skończyłem swoje zabawy na mieście i zacząłem szukać jakiegokolwiek stacji, żeby wrócić do centrum. No, Dostoyevskaya, przynajmniej tu jakoś szanują pisarzy – pomyślałem sobie, sprawdzając, gdzie wlałem, wspominając mgliście, jaką to wspaniałą ulicę dostał Stanisław Lem w Krakowie. Wszedłem i zemdlałem z wrażenia.



Na nazwie nie poprzestali. Cała stacja poświęcona jest twórczości Fiodora Michajłowicza



Jest nawet siekiera, wtedy jeszcze nie miłosna!



Majestatyczny portret mistrza

Wchodziłem od strony Teatru Armii Rosyjskiej, więc najpierw zobaczyłem *Zbrodnię i karę*. Pomyślałem sobie „OK, szkoda, że najbanalniej i najbezpieczniej jak się da, a nie ma *Biesów*, ale lepsze to niż nic”...



Chwilę potem znalazłem Biesy



I Braci Karamazow



A także Idiotę

Już niczego mi nie brakowało. Przepuściłem chyba ze trzy pociągi, oglądając to wszystko, padając z wrażenia i wstając na chwilę lub dwie, by znowu się zachwycić. O ile wartości artystyczne są dyskusyjne (zawsze są), o tyle sam pomysł jest świetny. Mnie się ta czerń i biel podoba.



Trochę później znalazłem w necie, że zanim jeszcze stację otwarto (19 czerwca 2010 roku), były kontrowersje. Sam bym na to nie wpadł, że względu na to, że na ścianach znaleźć można to, co Raskolnikow zrobił staruszce. Co gorsza, przy *Biesach* jest wątek samobójczy. U niektórych wzbudziło to obawy, że starcie XXI wieku z obrazami z dzieł Dostojewskiego może doprowadzić do powtórki tych wydarzeń, a także zadziałać jak magnes na samobójców. Jeszcze jakieś dociekliwe dziecko może zadać rodzicom pytanie: a co ten pan robi tej pani tą siekierą? A czemu on ma pistolet przy głowie i co będzie dalej? Pojawił się też temat, że książki Dostojewskiego nie są raczej kryminałami i może dało się znaleźć jakieś inne sceny. Autor odpowiedział, że imprezek z tańcami to tam raczej nie ma. Stacja stoi, bohaterowie z dzieł popołniają okropieństwa, o wpływie tychże na rzeczywistość nie słyszałem.

Sama stacja centralna zdecydowanie nie jest, ale można ją połączyć np. z wizytą na miejscu narodzin wiadomego autora, w Teatrze Armii lub też w muzeum GUŁagu. W ciągu dwóch tygodni złożyło się tak, że byłem na niej dwa razy. Pomogła mi też ustalić sobie odpowiedź na pytanie, jaka jest moja ulubiona stacja metra w Moskwie. Moje pozytywne uczucia wobec niej pogłębiło to, jak wyglądał wagon metra, gdy w końcu zdecydowałem się do niego wsiąść i pojechać w swoją stronę.



[2.12.2015]



Wernisaż. Chyba produktów made in China

Jak Rosja, to musi być wódka, chleb, nie może zabraknąć matrioszek, jajek Faberge, konieczny jest też Lenin, trochę prawosławia, symboliczny Stalin, niemało Putina, do tego krokodyl Gienia i Cheburashka – z takiego założenia wyszli obecni gospodarze Kremla przy bazarze Izmańłowskim. Sam targ jest znany jako absolutnie najlepszy adres do kupienia rosyjsko-radzieckich suwenirów. Moje wspomnienia z sierpnia 2002 roku koncentrowały się na tym, że bazar jest zatłoczony, wrzaskliwy, pełen zarówno sprzedawców, jak i klientów, ale raczej turystów niż lokalnych. Pamiętałem, że dało się dostać tam całkiem fajne rzeczy – reprodukcje lub oryginały plakatów z poprzedniej epoki, order, monety, ładne matrioszki, książki, a nawet pełne umundurowanie z czasów, w których dziadek szedł na Berlin.

W listopadzie A.D. 2015 wrażenia były skrajnie odmienne. Wiele stoisk było nieczynnych. Turystów jak na lekarstwo, więc zdeterminowani sprzedawcy dokładali starań, żeby zainteresować nas swoją ofertą. Do tego stopnia obłądu, że facet z futrem z lisa gonił nas przez solidny kawałek, oczywiście zapewniając, że musimy mieć taką piękną kurtkę. Jakość towaru raczej spadła, da się wynaleźć ciekawe rzeczy (np. porcelanowe figurki przedstawiające szopy pracze), ale powodzenia ze zdobyciem koszulki o sensownej gramaturze bawełny. Konkurs na turystyczny rekord kiczu wygrała pozytywka: nakręcamy, obraca się najsłynniejsza cerkiew świata i gra nam... *Katiuszę*.

Jak na złość, pamiątki z krokodylem Gienią były jednocześnie i brzydkie, i drogie. Szczęśliwie, jest też stara część bazaru, na piętterku. Siedzą tam ludzie, których zdecydowanie obejmuje plan emerytalny i sprzedają, co też im los podarował w swej umiarkowanej łaskawości. Na ich straganach da się znaleźć ciekawe rzeczy, chociaż głównie tony nikomu niepotrzebnego barachła (w stylu archiwalne numery „Cosmopolitan” lub gry na CD). Na pociechę można dodać, że wszystko jest autentyczne (np. używane szklanki do wódki, już od 15 rubli). Skala cen od bardzo tanio do bardzo drogo, oczywiście międzynarodowym prawem bazarów targowanie jest jak najbardziej wymagane. Wiadomo też, co się dzieje, gdy widzą turystów i w jakie rewiry idą ceny. Ja sobie mogę zapytać po rosyjsku i zazwyczaj od razu się nie zorientują, że nie ichni (to następuje po wymianie drugiego zdania), ale anglojęzyczni już na wejściu mają solidnie drogo.



Ach, to był piękny listopadowy dzień...

Sam bazar to jednak nie wszystko. Jest też wspomniany Kreml Izmańłowski. Jest to wiśnia na tym torcie. Wygląda to jak sen szalonego patrioty, najbardziej przaśny obraz Rosji, jaki można sobie wyobrazić. Gdyby Rosja podbiła cały świat, tak wyglądałaby miejsca pamięci, połączenie historii z plastikiem. Czegóż tam nie ma... Muzeum wódki, muzeum chleba, muzeum floty (maltańskiej... Nie, żartowałem, jasne że rosyjskiej), muzeum zabawek, miniatur, animacji rosyjskiej. Chcieliśmy iść do tego ostatniego, ale pani na wejściu ostrzegła nas, że jest to bardzo skromna wystawa. Widok za jej plecami pozwalał zrozumieć, że nie kłamie, a naturalnych rozmiarów styropianowy *Batman* nie wróżył możliwości ekstatycznego obcowania z klasyką rosyjskich filmów rysunkowych. O muzeum wódki ludzie dość zgodnie pisali, że jest to głównie kolekcja pustych butelek, 150 rubli to nie fortuna, ale jednak niekoniecznie. Między atrakcjami przechadzają się pracownicy w tradycyjnych strojach, jest nawet cerkiew (najwyższa drewniana

cerkiew w Rosji, dumne 46m i patronat św. Mikołaja), a także hotele i hostele. Nazwy tych obiektów są średnio natchnione – Piotr I i Katarzyna II. Hostel Piotr I wyglądał tak, że obawiam się, że oryginał brzydziłby się tam skorzystać z toalety, o spaniu nawet łaskawie nie wspominając. Można iść nawet dalej, można sobie zorganizować ślub. Ba, nawet pojeździć na koniku, wyprawić bankiet, no jest tam po prostu wszystko, a nawet więcej.



Z daleka widok jest piękny...



Zewnętrzne mury jeszcze nie zwiastują koszmaru...



Kurtka redaktora idealnie pod kolor uzbrojenia!



Depresja w Moskwie – Cheburiashka w budce telefonicznej

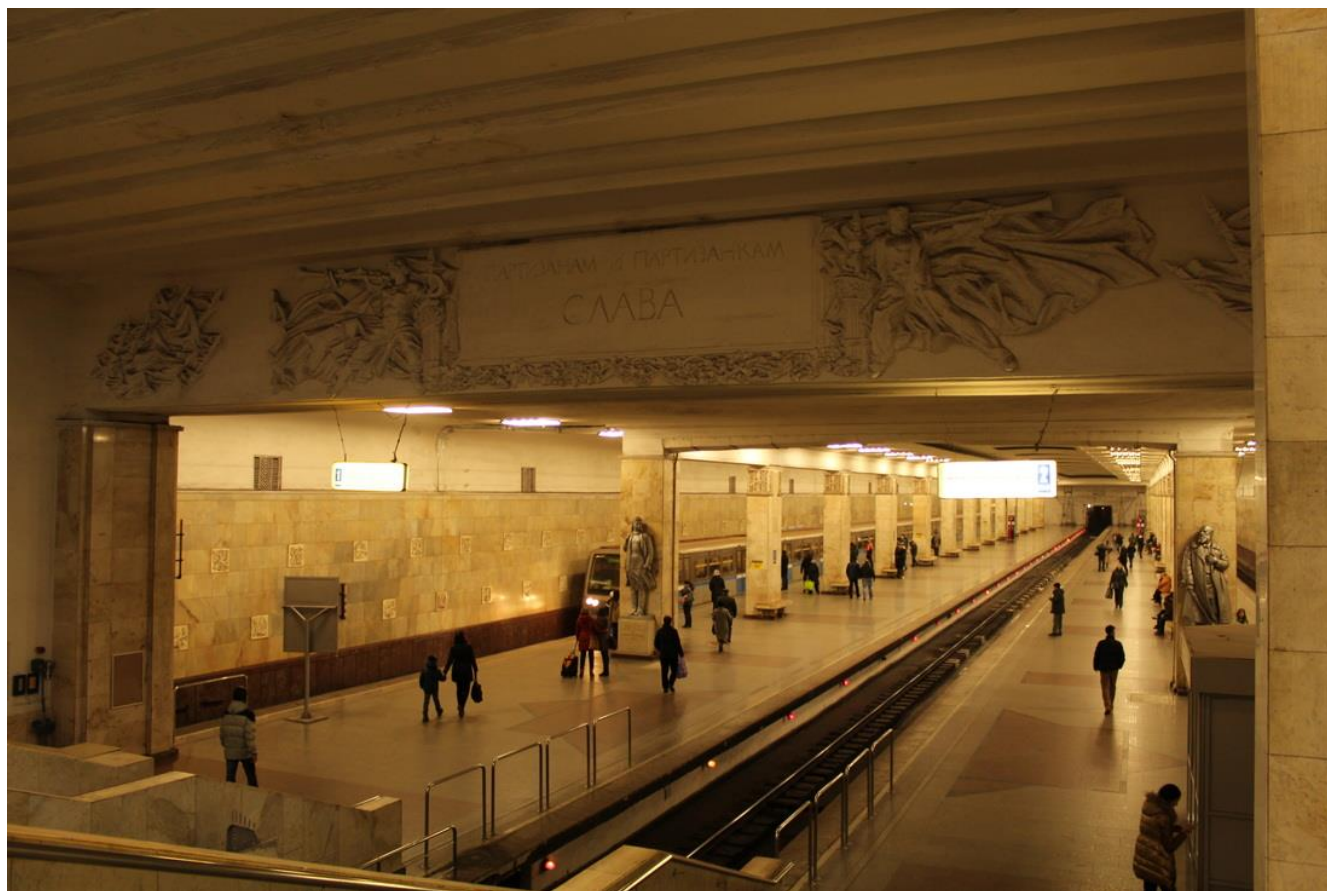


Rosyjskie piekło snami patriotów wybrukowane...



Domek Dziadka Mroza? Jest! Choinka? Jest! Drewniany sklep z barachłem? Jest!

Gdyby mnie ktoś pytał, czy warto, to powiedziałbym, że tak. Bazar pozwoli zakupić pamiątki w cenie nieco bardziej przyjaznej niż sklepy w centrum, wybór też jest całkiem dobry. No a wiśnia na torcie pozwoli człowiekowi docenić, że tam nie mieszka. Ostatnią odkrytą przez nas radością jest ta związana z dostawaniem się do atrakcji. Należy przejechać metrem do stacji Partizanskaya, gdzie witają nas piękne rzeźby. Z powodów bliżej nam nieznanych, na oficjalnej stronie postanowiono przetłumaczyć nazwę stacji. Tak więc nie Partizanskaya. Guerrila.



Chwała partyzantom!

[9.12.2015]

*Żadna nauka nie da im chleba, dopóki pozostaną wolni, skończy się to tym,
że przyniosą nam swoją wolność i składając ją u naszych nóg, powiedzą:
„Lepiej już zróbcie z nas niewolników, ale nas nakarmcie.”*

Dostojewski Fiodor zwyczajowo kojarzony jest z Petersburgiem, a nie z Moskwą. Jednak to w obecnej stolicy wielki pisarz spędził swe lata młodości. Potem z niej wyjechał i już nie wrócił, co pozwala snuć teorie, jak bardzo mu się tu podobało. Powtórzmy, bo nam od tego lepiej: to w mieście nad rzeką Moskwą narodził się i pobrał dużą część swych nauk. W ramach akcji „Listopad miesiącem Dostojewskiego” wynaleźliśmy atrakcję związaną tak bardzo z wielkim klasykiem, że bardziej być nie może. Czyli dom, w którym się narodził i w którym spędził swe pacholące lata. Atrakcja ta (rangi światowej) znajduje się przy ulicy Dostojewskiego 2. Jaja, facet narodził się przy ulicy nazwanej na swoją cześć! Najprościej dostać się tam ze stacji metra Dostoyevskaya, więc można powiedzieć, że starają się nam ułatwić życie. Szczęśliwie, numeracja budynków jest nieco myląca, ale i tak w skali stopnia ukrycia różnych atrakcji dla głupawych turystów to jest to poziom bardzo początkujący.

Przewodnik z marca 2015 głosił, że bilet kosztuje 150 rubli. W listopadzie już 250, ceny wszystkiego zmieniają się tu jak w kalejdoskopie, szkoda, że tylko w jedną stronę. Sprzedająca bilety na dzień dobry zachowywała się tak, jakby bardzo chciała nas odstraszyć. Postanowiliśmy się nie dać. Nie pierwsza salonowa gierka w jej życiu to była, więc poinformowała nas, że na robienie zdjęć obowiązuje osobne pozwolenie. Dorzuciliśmy kolejny Teatr Bolszoj, czyli 100 rubli. Budynek ten spowodował, że nastawienie pani zmieniło się o 180 stopni i poczęła bardzo miło zachęcać nas do zwiedzenia miejsca dorastania Fiodora Michajłowicza. Chyba uznała, że jak jakieś pojeby chcą wydać 600 rubli na oglądanie miejsca, gdzie Dostojewski walił w pieluchy i strugał sobie konika, to co ona im będzie przeszkadzała? Rubel non olet.

Zwiedzającym udostępniono cztery pomieszczenia. Najbardziej wzruszający jest pokój, gdzie młody Fiedia wysłuchiwał swojej niani. Można w nim popuścić wodze fantazji o tym, jak to latorośl Dostojewskich siedziała i chłonęła opowieści prostej kobiety z ludu, które to lata później zaprocentowały tym, że Fiedia znał dość dobrze tradycję narodu i nie pisał, że chce mieć zerową skalę podatkową. Inne pomieszczenia są mniej inspirujące. Widać, że starano się zawrzeć 100% Dostojewskiego w Dostojewskim, zgromadzono więc ilustracje do jego dzieł, z naciskiem na *Braci Karamazow*. Pominęto przy tym właściwie całkowicie *Biesy*, a i z *Idioty* wiele się nie załapało. Trochę to smutne, że Dostojewski stał się niewolnikiem swoich dwóch największych dzieł, a pozostałe dokonania boskiego Fiodora są ledwo zauważane – i mam tu na myśli jego wielkie powieści, bo żadnych wzmianek o krótszych formach (*Krokodyl*) czy nawet o *Zapiskach z domu umarłych* nie ma. Z drugiej strony myślę, że on ma to gdzieś.



Konik wystrugany



Aby nikt nie miał wątpliwości, że ma do czynienia z domostwem intelektualistów – są książki



Zadbano też by nikt nie zapomniał, kim też był właściciel posiadłości



Sherlock i Watson???

Wracając do muzeum: najpierw mamy pokój z balią, potem bawialnię z piecem kaflowym, potem salon i sypialnię, następnie obrazki, a ostatnia sala zawiera trofeum ostateczne. Prowadzi do niej długi, szpitalny korytarz – czyli nie kłamali, że jego stary był

lekarzem i dostał tę posiadłość z racji wykonywanego zawodu. Gdy pani z kasy usłyszała, że tam dotarliśmy, przysłała do nas.

– *To, ten.*

– *Jak to „To, ten?”. Chcesz powiedzieć, że ten obiekt znajduje się w zasięgu mojego wzroku? Pokaż go to palcem, bo chciałbym uwierzyć, że śnię.*

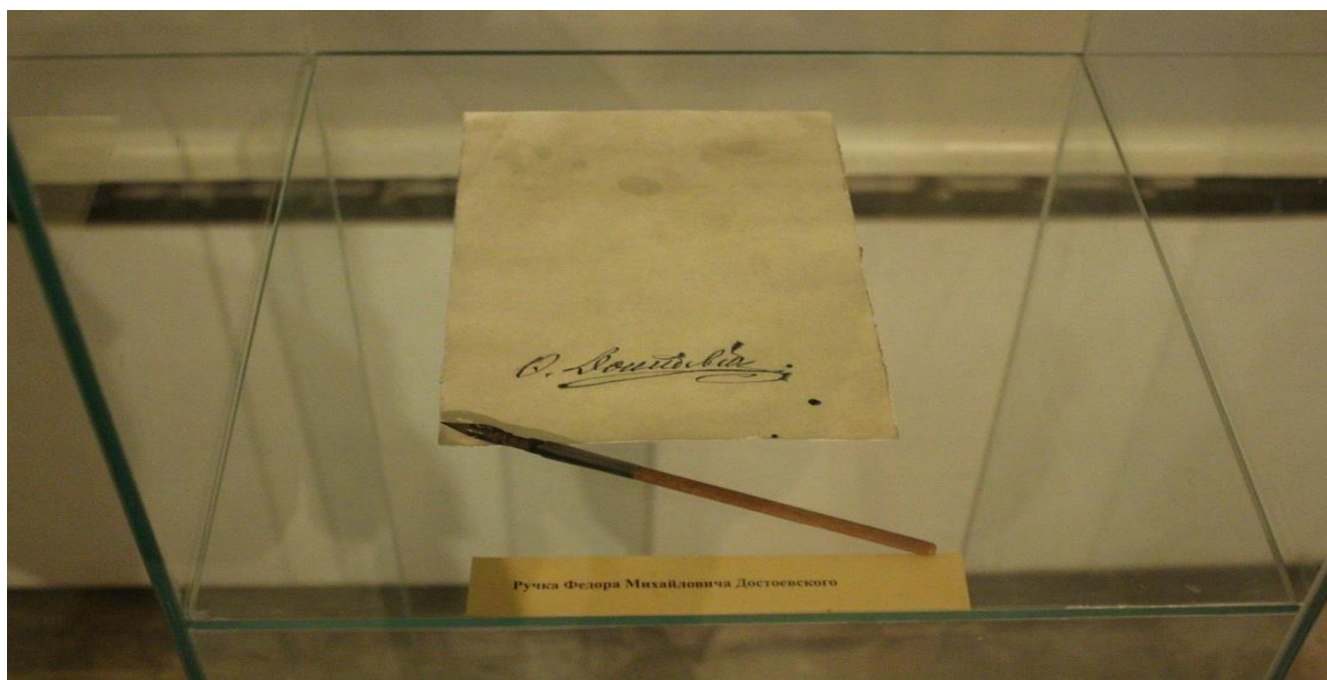
Okazało się, że to ten. W gablocie spoczywało pióro z bardzo dawnych lat.

– *Tym piórem napisał Braci Karamazow. Swoją ostatnią powieść.*

Przyciemnione światło dodawało klimatu mistycyzmu ostatecznego. Pod szkłem wisiało sobie pióro. Pod nim autograf Dostojewskiego. Rozochocony tym, że pióro prawdziwe, zamarzyłem, że i ten kawałek papieru on zapisał, więc spytałem:

– *Ta kukulka też prawdziwa?*

Okazało się, że autograf został wyprodukowany przez kogoś innego. Widząc nasze rozczarowanie, Pani deko się podkurwiła i przypomniała nam losy pióra. Uspokoiśmy: no jak jest pióro od *Braci*, to podpis może być nieco oszukany, oryginalne pióro ważniejsze niż podpis. Zrobiliśmy kolejne zdjęcia TEGO PIÓRA. Podziękowaliśmy za gościnę. Chcieliśmy jeszcze wejść na teren szpitala, bo przed głównym budynkiem postawiono pomnik Dostojewskiego przygniecionego depresją. A może ja już w tym za wiele widziałem, może to rzeźbiarzowi trochę nie do końca wyszło. Jakby nie było, przejść się nie dało, jak to w Moskwie w listopadzie, po 17 mamy ciemności absolutne, więc tylko popatrzyliśmy sobie na Fiedię przed szpitalem, na siebie i porozumieli się bez słów.



TYM PIÓREM!!! TYM PIÓREM NAPISAŁ BRACI KARAMAZOW!!!

Ale nędza! Robią atrakcję z niczego. Dobrze, że jego osranego nocnika nie pokazali. Nie no, aż tak źle nie było. Nie jest to jakiś hit, który mamy zamiar komukolwiek polecać. Nie jest to też totalna pomyłka ani katastrofa. Po prostu, muzeum z niczego. Największy artefakt

(zakładam, że był prawdziwy) sprawił nam jakąś tam radość. Pooglądać sobie dokładnie miejsce narodzenia Wielkiego Inkwizytora – jest to coś ciekawszego niż siedzenie w domu.

Idąc na najlepszą stację w mieście, próbowaliśmy sobie nie psuć nastroju, ale nie dało się inaczej.

– *Oni to pióro pewnie znaleźli w śmietniku...*

– *Jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś zachował takie szpargały przez całe lata rewolucji?*

– *Ej, ale mówiła, że to „to-ten”!*

– *Jak ci zapłacę za wstęp, to nie powiesz, że „to-ten”? Zwłaszcza, jak twój etat będzie z tym związany?*

Uderzyło nas też wspomnienie z lipca.

– *Pamiętasz Norymbergę? Tam mieli kibel Durera. Wychodzi, że Dostojewski się tu nigdy nie wyrobił, bo jakby się wypróżnił, to też byłaby relikwia i artefakt.*

Napiszmy to ponownie: to jest atrakcja dla chorych na umyśle. Jeżeli naprawdę kochasz Dostojewskiego i jego twórczość, to dawaj, będziesz zachwycony. Jeżeli chcesz zobaczyć jakieś ciekawe budynki z dawnych lat – idź gdzieś indziej. Jeżeli chcesz zobaczyć coś ciekawego w skali międzynarodowej – centrum miasta jest bardziej łaskawe.

W jakimś momencie zdałem sobie sprawę, że trójkąt bermudzki trójkątem bermudzkim, ale obecnie można stworzyć trójkąt moskiewski: muzeum GUŁagu, dom Dostojewskiego i pomnik Jerofiejewa stoją bardzo blisko siebie. Nie byłby to za bardzo trójkąt, ale w połączeniu z tym, że stacja Dostoyevskaya jest najpiękniejsza w Moskwie, wyprawa staje się warta świeczki. A przynajmniej biletu na metro.

Powtarzam ci raz jeszcze: jutro zobaczysz to posłuszne stado, które na moje pierwsze skinienie rzuci się, aby podgarniać rozżarzone węgle przy stosie, na którym spalą cię za to, że przyszedłeś nam przeszkadzać. Bo jeśli ktoś już naprawdę zasłużył na nasz stos, to właśnie ty, nikt inny. Jutro zostaniesz spalony.

[Skarżąc się na przewagę Karamazowów, sam wrzuciłem refreny z nich]

Najpierw urządzcie tak wszystko, by każdy człowiek był potrzebny, a dopiero potem go plódcie.

[Dla równowagi – Biesy]

Reakcje jenotów na orędzie noworoczne

[2.01.2016]

Zainspirowani znalezionym w odmętach internetu artykułem „Reakcje kotów na najgłupsze wypowiedzi z Rosji z 2015 roku”, postanowiliśmy stworzyć małą galerię reakcji jenotów na najlepsze fragmenty noworocznej mowy Władimira Putina. Tłumaczenie przemowy pochodzi z serwisu Sputnik News.



Drodzy Rosjanie! Drodzy Przyjaciele!

(źródło: <http://dinoanimals.pl/wp-content/uploads/2014/01/Jenot-25.jpg>)

Za kilka minut powitamy nowy, 2016 rok. Przybliżenie tego wspaniałego momentu – między przeszłością a przyszłością – jest nam znane od dziecka. Czekamy na niego z radością, nadzieją i poruszeniem. Wierzymy w najlepsze i świetlane.



(źródło: <http://www.drapiezniki.pl/Photos/jenot-z-bliska.jpg>)

(...) Dziś chciałbym złożyć szczególne życzenia naszym żołnierzom, którzy walczą z międzynarodowym terroryzmem, bronią interesów narodowych Rosji na dalekich rubieżach, wykazując się przy tym wolą, zdecydowaniem, niezłomnością charakteru.



(...) Sukces całego kraju zależy od efektywnej pracy i osiągnięć każdego z nas.



(źródło: <http://biebrzafototraper.pl/uploads/images/Gallery/ssaki/jenot/Jenot0039a.jpg>)

W mijającym 2015 roku obchodziliśmy 70. rocznicę zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Nasza historia, doświadczenie ojców i dziadków, ich jedność w trudnych czasach i siła ducha są dla nas wielkim przykładem. Pomagali nam i będą nam pomagać w tym, abyśmy godnie radzili sobie ze współczesnymi wyzwaniami.



(źródło: http://www.earthtouchnews.com/media/574099/header-articles_raccoon-dog_GalleryLarge.jpg)

(...) Niech nasze dzieci rosną mądre, pracowite, a miłość i serdeczność, hojność duszy i miłosierdzie było naszą ostoją w codzienności.



(źródło: <http://biebrzafototraper.pl/uploads/images/Gallery/ssaki/jenot/jenocik-a2a.jpg>)

(...) I obowiązkowo wzniesmy toast za dobrobyt i pomyślność Rosji!



(źródło:

[https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/c/c9/Tanuki the %60Raccoon Dog%60.jpg](https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/c/c9/Tanuki_the_%60Raccoon_Dog%60.jpg))

Siedem mgnień zimy – epizod pierwszy

[17.01.2016]

Mgnienie pierwsze

Każdy zdrowy na umyśle wie, że grudzień i styczeń nie są czasem, kiedy odwiedza się Moskwę. Na nasze szczęście, część osób nie była tego świadoma. Z racji tego, że mieszkamy nieco bliżej Warszawy niż Ułan Bator, ludzie znani nam od lat zdecydowali się odwiedzić Stolicę Światowego Proletariatu, a przy okazji nas. Nasza radość związana z tą decyzją była wielka, bo z połową odwiedzających siedziałem w jednej ławce szkolnej przez kawałek podstawówki, a i potem nasze ścieżki dość często się krzyżowały. Uprzedzaliśmy ich, że zanim postawią stopę w Federacji Rosyjskiej, będą musieli wydać bardzo dużo na nic, czyli na wizę, w tym na zaproszenie do tejże wizy. Niestety nie zraziło ich to. Kto bogatemu zabroni? Przez jakiś czas myśleliśmy, że tak sobie gadają, ale potem okazało się, że oni naprawdę kupili sobie bilety do Moskwy i naprawdę wierzą w to, że na Wschodzie jest jakaś cywilizacja. Głupio było powiedzieć, że tylko żartowaliśmy, więc musieliśmy podjąć się podjęcia ich.

Początkowo nie wydawało się, że będzie tak ciężko. Ba, jeszcze na początku grudnia wydawało się, że będzie wstyd i że opowieści o tym, że zima to tu pokonała Hitlera i Napoleona były przesadzone. Jednak pod koniec miesiąca uderzyło mrozem na tyle solidnie, że mogliśmy nieco lepiej zrozumieć parę zagadnień z historii i to, że jednak bywa tu umiarkowanie przyjemnie.

29 grudnia miałem możliwość odkrycia uroków stacji metra Planernaya i trasy autobusu 817 na lotnisko Sheremetyevo. W obu tych miejscach są darmowe toalety, ale tylko drugie może służyć do opuszczenia Rosji. Tego dnia dla dwójki naszych znajomych służyło do przyjazdu, tak trochę jak dla wielu nóż służy do krojenia chleba, a dla paru psychopatów do mordowania bliźnich. Przyjezdni wpasowali się w kategorię psychopatów, tropików nie było, ale wtedy jeszcze jaja nie wiedły po drugiej minucie czekania na autobus. Odebrałem więc delegację i zawiozłem do naszej siedziby. Sprawę umiliło to, że mieliśmy parę rzeczy w lodówce i mogliśmy się nacieszyć nie tylko swoim towarzystwem, ale i winem. Sprawę utrudniało to, że następnego dnia musiałem iść do pracy i nie bardzo mogłem tam sobie wędznąć na kacu. Dałem jeszcze przyjezdnym cenną poradę:

– Chcecie się wpasować w tłum i żeby was brali za lokalnych? Nie golić się. Roztaczać zapach przetrawionego alkoholu. Nie mówić po polsku. Dla części żeńskiej: futerko z bazarku, rajstopy, agresywny makijaż i krótka spódniczka, buty najlepiej takie ze szpicami.

Dzień roboczy upłynął mi przyjemnie. Wielka w tym zasługa moich dorosłych uczniów, którzy zasugerowali, że może sobie pogadamy o życiu a nie będziemy robić kolejnego pasjonującego zagadnienia z książki. Od młodszych uczniów dostałem pełno prezentów, o wiele więcej, niż się spodziewałem, bo tak naprawdę nie spodziewałem się żadnych. Było tego tyle, że ledwo się spakowałem, a i tak niosłem torbę pełną słodczy pod pachą. Cuda po prostu, chociaż trochę zafrapowało nas to, że dostaliśmy od dyrektorki mydło. Delikatna sugestia, żeby bardziej dbać o higienę?



Dowody uczniowskiej wdzięczności

Dzień wizytacji upłynął na centrum, w tym na odbiciu się od mauzoleum Lenina. Obiekt ten ma dość specyficzne godziny otwarcia, zamyka się o 13, a kolejki potrafią chwilę zająć, więc problem jest znany ludzkości, ale na jego rozwiązanie chyba przyjdzie poczekać.

Wieczorem dwa szlaki się spotkały. Na wędkarstwie. Wyłowiliśmy bielugę. Dość dorodną rybę, z której to słyną rosyjskie rzeki. Bielugi z rosyjskich rzek ważą ponad tonę i mają kilka metrów długości. Nasz okaz ważył znacznie mniej i miał pół litra pojemności. Zdobycie go związane było raczej z inwestycją niż wędkarstwem: gdy jeszcze byłem w pracy, to delegacja z Aligatorem na czele udała się do marketu. W wielu tutejszych sklepach są gablotki z luksusowymi towarami. W tę kategorię wpadają głównie alkohole, ale nie tylko. Nasi goście byli bardzo zdziwieni, że aby kupić trochę bardziej fancy pół litra, należy wyrazić taką chęć, na to przyjdzie pan z kluczykiem, wyjmie wybrany przez nas towar i zanieś go do kasy (bo jeszcze byś po drodze wypił, a potem mówił, że to nie ty). Opowiedzieli mi to wieczorem.

– *Te, Bieluga to nie wiem, ale obok stał Jaegermeister i Captain Morgan. No nie są to alkohole dla ścisłych elit i koneserów. Ale najwięcej o zamożności ludzi mówi to, że obok flaszek stał ścieracz do naskórka firmy Scholl. Za 1500 rubli, toż to 80 PLN jakieś. Gablota luksusu...*

Podobno, jak się tu spotykają tacy biznesmeni, co zatrudniają prostytutki do zmywania naczyń, to piją Bielugę. Poszliśmy na całego: Bieluga i kawior jedzony łyżkami. Kto bogatym zabroni? Bieluga jest tak delikatna, że można tę wódkę dawać nawet ludziom, którzy nie przepadają za trunkami z tej kategorii. Trochę jednak byliśmy zdziwieni, że najbardziej luksusowy temat kraju słynącego z wódki jest wersją niemal dla dzieci.



*W rolach głównych: Pusta już butelka po trunku.
W roli drugoplanowej: Designerska tapeta z kuchni*



Fraza „Rybka lubi pływać” nabiera nowego znaczenia...

Mgnienie drugie

Ponieważ 31 grudnia odrobiliśmy już dawno temu, nie musieliśmy tego dnia zrywać się o poranku na zakład. Właśnie dlatego nasz klub wędkarza obradował do późna. 31 grudnia poszliśmy do jednego z moich ulubionych miejsc Moskwy, czyli na cmentarz Nowodziewiczy. Tam, że Chruszczow w barwie szachownicy to jedno i drugie, ale że Bułhakow... Nie mogłem za nic uwierzyć, że przyprowadzonych na miejsce pochówku mistrza bardziej interesuje mróz i to, że jaja odpadają niż to, że to właśnie TU jest pochowany człowiek, który dał życie jednej z najlepszych książek świata.



Przynajmniej ktoś mu zaoferował pierniczka...

Zacinający śnieg jakoś nie pomógł im w zrozumieniu mego punktu widzenia. Szczęśliwie, jest też ten koszmarny grób Jelcyna, więc tym mogłem im wynagrodzić całą wyprawę. Znaleźliśmy w okolicy dość dobrą restaurację gruzińską, liczba gości była śladowa, a po dwudziestu minutach siedzieliśmy sami. Postanowiliśmy umożliwić naszej wizytacji kupno najbrzydszych pamiątek świata i zabraliśmy ich na Arbat, robiąc po drodze hit zachwycający każdego, czyli powiedzali co ciekawsze stacje metra.

Na Arbacie, dla odmiany, było zimno. Śnieg chwilami padał poziomo. O jaki ubaw! 19:00, 31 grudnia. Wiem, że to niesamowite odkrycia, że w Rosji bywa wtedy pogoda nieco utrudniająca noszenie kąpielówek, ale wiedzieć to jedno, a pochodzić sobie po tym, to coś

innego. Szukaliśmy pamiątek, chociaż tak naprawdę szukaliśmy schronienia od zimna. Już nie wiem, czy z litości nam sprzedawali suveniry, czy też my je kupowaliśmy z litości dla sprzedających. Było dość pusto, zwłaszcza gdy kojarzy się Arbat zawałony turystami bardziej latem. Do jakiejś 18 mieliśmy dziko ambitny plan, żeby powitać rok 2016 w tłumie ludzi, paść sobie w objęcia, budować pomosty, nawalić się z jakimiś menelami pod mostem i nad rzeką, pośpiewać hymn któregoś kraju, wysikać w miejscu publicznym, no normalna, kulturalna impreza. Okazało się, że Plac Czerwony zamknięty; oficjalnie, bo kręcą film, mniej oficjalnie, bo terroryzm. Podobno było naście innych imprez, balety w każdym niemal parku. Łączyło je jedno: wszystkie były plenerowe.

Nie. Nie. Nie. Tylko nie plener! Jakaś domówka, jakakolwiek kuchnia, jakikolwiek salon, może być nawet łazienka, nie będziemy przesadnie wymagający, ale nie park!!! Gdy usłyszeliśmy w radio, że w nocy będzie -17, to stwierdziliśmy, że absolutnie odpada.

Okazało się, że wyżej wymienione warunki spełnia nasza siedziba. Zasiedliśmy więc w niej, z żarłem i piciem. Jeszcze zanim tam dotarliśmy, byliśmy w sklepie. Wizytacja akurat jada mięso, a pobliski sklep ma dość bogatą ofertę w temacie. Wybór padł na wołowinę („Tanio tu u was, 515 rubli za wołowinę? Toż 26 PLN jakieś i to jest najdroższa w sklepie?”). Jednak gdy już chcieliśmy zamawiać, wepchnął się przed nas pan w futrze chyba z wilka, którego pewnie jeszcze sam zabił i oskórował. Zaczął zamawiać jagnięcinę i to w ilości zdradzającej, że będzie miał gości. Odwrócił się do nas i powiedział:

– Ja panów przepraszam, że się wepchnąłem, ale jestem bardzo głodny, ślina mi leci potokami, jak u buldoga. To ja panom powiem dowcip: przychodzi dziewczyna do ginekologa i ten ją pyta: ilu pani miała partnerów? Trzech. A nie, był jeszcze jeden raz, to ośmiu. Szczęśliwego Nowego Roku! Wołowinę kupujecie? Nie bierzcie tej wołowiny, lepiej weźcie baraninę, należy ją zostawić w zalewie z cytryny i soku z granatu, wtedy traci ten posmak, co go ludzie nie lubią.

To jak wyglądał zdradzało, że pochodzi z Kaukazu. Sok z granatu potwierdził podejrzenia. Pan miał rację w temacie wołowiny, zainteresowani przekleli ten zakup i odkryli dlaczego kosztowała tylko tyle.

Koło 22 podaliśmy sobie ogromne kolacje, otworzyliśmy wódkę i rozpoczęliśmy oczekiwanie na Nowy Rok. Koło północy ktoś odpalił fajerwerki. Przelaliśmy Bieługę, padli sobie w objęcia. Wiele „ty głupi chuju” i jeszcze więcej „kocham cię, pizdo!” padło w momencie, gdy datownik zmieniał się z 5 na 6. A skoro impreza sylwestrowa, to musi być nuta. Nie tylko tego wieczoru przygrywała nam grupa Gospel.

Mgnienie trzecie

Poranek. Skacowany mąż i nadąsana małżonka siedzą przy stole. Ponura cisza.

W końcu małżonka nie wytrzymuje:

– Ale wczoraj wróciłeś nachlany!

– Ja?! Wcale nie byłem taki pijany!

– Nie?! A kto w łazience błagał prysznic, żeby przestał płakać?!!!

No aż tak dobrze nie było. W końcu na ile można się rozkręcić, siedząc przy stoliku w kuchni? W cztery osoby w kuchni, w której bywa, że dwie się dość solidnie tłoczą.

O poranku okazało się, że nasze pijaństwo było niczym wobec tego, co wydarzyło się poza miejscem zamieszkania. Wydawało się, że idziemy po mieście z *Metro 2033* Dymitra Głuchowskiego. Ulice były puste. O godzinie 13 snuliśmy się po losowo otwartych sklepach, sami ze sobą i kupowaliśmy kolejne artefakty, w stylu mleka, soku owocowego, cytryn i kefiru. W monopolowym pustki. Trochę głupio było nie skorzystać. Jeszcze udało nam się kupić karty do brydża, bo od jakiegoś czasu jest to jeden z ulubionych sposobów spędzania czasu mego z delegacją.

Ambitnych planów nie mieliśmy, 1 stycznia jest zawsze dniem nieco straconym, od biedy można iść do kina, chyba że wszystko jest dubbingowane i wtedy ogląda się coś w domu. Dołożyła się do tego wyprawa po symboliczne pół literka. Symbolicznym pół literkiem stała się butelka 0,7 wódki Pięć Jezior. Do nacieszenia się nią wykorzystaliśmy film *Bridge of Spies*. Ilekroć padało „Soviet Union”, symboliczne pół literka było przynoszone z balkonu. A gdy padło „Moscow”, to radości nie było końca.

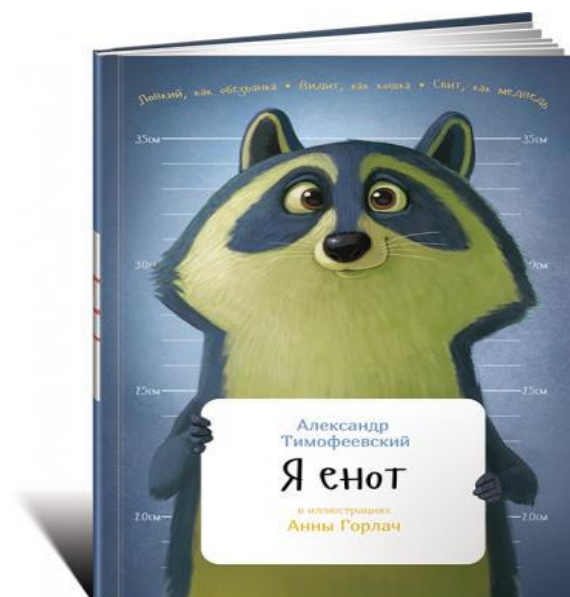
[23.01.2016]

Jeżeli ktoś śledzi naszą stronę i dotąd nie zauważył, że jenoty zajmują szczególne miejsce w naszych sercach i umysłach, to tylko tyle możemy mu powiedzieć:



Jenot jest Tobą bardzo rozczarowany!

Podczas naszych podróży nie stykaliśmy się zbyt często z jakimikolwiek objawami kultu jenotów. Nie dziwiło nas to specjalnie, bowiem popularność tego zwierzęcia jest zdecydowanie mniejsza od podbijających internety mopsów czy kapibar. Wierzyliśmy jednak, iż w końcu trafimy w miejsce, które doceni to futrzaste zwierzę. I w końcu w pewne obrzydliwie śnieżne styczniowe popołudnie Aligator ujrzał reklamę tejże książki:



Serce szybciej zabiło! Śniegi stopniały! Do czasu, aż Aligator odkrył, że rosyjski „enot” to tylko szop prac. Cóż, szop to zawsze coś, a okazuje się, że w Rosji zwierzę to cieszy się pewną popularnością. W pobliskiej księgarni znalazły się magnetyczne zakładki z szopami, w innej księgarni ilustrowany notes z szopem w roli głównej, a nawet cukierki (dość okropne w smaku) w blaszanym pudełku. Z szopem.



Kolekcja szopich gadżetów

Książki *Ja, Szop* jeszcze nie nabyliśmy, ale chyba się skusimy, bo zawiera obrazki wyglądające jak nasz album rodzinny:



Codziennosc w apartamencie Jenota i Aligatora

(źródło: <http://animalbooks.ru/uploads/animals/2/3.png>)

„Enot” ma niestety też mniej pocieszne konotacje. W klasztorze Nikolsko-Berliukowskim pod Moskwą swój obóz treningowy założyła paramilitarna grupa ENOT, znana z dokonywania rozpiardolu w Donbasie.



(źródło: <http://vlada.io/wp-content/uploads/2015/10/sboryi-enotov-649x1024.jpg>)

Grupa ENOT przeprowadziła też event dla dzieci, podczas którego mogły uczyć się strzelania z pistoletu. Może nasz pracodawca się tym zainspiruje i następnym razem, zamiast tworzyć plenerowe gry po angielsku, będziemy uczyć obsługi broni w tymże języku. Mimo tej czarnej plamy na honorze szopów, mamy nadzieję, że będziemy natykali się na kolejne przejawy kultu tychże zwierząt. Gorąco wierzymy też, iż w końcu znajdziemy dowody na istnienie pradawnego kultu jenotów, co pozwoli przywrócić je na należne miejsce na piedestale!

Siedem mgnień zimy – odsłona druga

[30.01.2016]

Mgnienie czwarte

2 stycznia wysłaliśmy wizytację do archeologicznego muzeum miasta Moskwy. Koło 15 udało się połączyć siły i wspólnie uderzyć na muzeum Kosmosu. Podbój kosmosu jest mniej ekstremalną historią niż nasze doświadczenia z tym obiektem.

Od 1 do 10 stycznia ministerstwo kultury Rosji robi prezent obywatelom i otwiera wiele muzeów za darmo. Pewnie wymyślili sobie, że jak skacowany człowiek pójdzie i oglądnie jakieś obrazy, to się nieco odchami i potem będzie mniej agresywny, gdy zobaczy kurs rubla na nowy rok. Spokojnie, na liście nie ma Kremla ani Tretyakovi, ale trochę obiektów jest. W tym muzeum kosmosu. Pamiętałem, że w 2002 roku było dość kuriozalnie i biednie, ale znaleźliśmy info, że po drodze muzeum przeszło transformację i obecnie zrywa kask. Niestety przeczytało o tym też parę osób z tych, które mieszkają w nastomilionowym mieście.

W drodze na miejsce miałem spotkanie trzeciego stopnia. Jechałem metrem, podszedł do mnie bardzo pijany pan. Spytał, czy może nie mam papierosa. Może miałem. Wziął jednego i spytał, czy może dwa. Mógł, szczęśliwego Nowego Roku. On też złożył mi życzenia noworoczne. Po chwili podszedł do kogoś o nieco ciemniejszym kolorze skóry i uderzył w słowa:

– A czy ty na pewno jesteś Rosjaninem? Bo ja nie jestem pewien, czy ty jesteś Rosjaninem... Czy ty na pewno jesteś Rosjaninem?

Szczęśliwie, był tak pijany, że nie stanowił zagrożenia dla nikogo, ani Rosjanina, ani nie-Rosjanina, ewentualnie dla samego siebie. Kusiło go poinformować, że został beneficjentem pobytu nie-Rosjanina w Moskwie.

Przy muzeum kosmosu zastała nas kolejka. Wydała nam się do wystania, no z 30 minut może, ale widzimy, że *cock-up*, bo niektórzy się pchają, więcej wypuszczają niż wpuszczają, ale kto bogatym zabroni postać w kolejce... Po dwudziestu minutach zostawiliśmy więc czołowego delegata i poszliśmy po coś do jedzenia. W KFC *cock-up*, w pierogach *cock-up*, no ale udało się coś tam kupić. Wróciliśmy po 20 minutach. Sytuacja nie uległa zmianie, poza tym, że nasz przyjaciel kawalek się przesunął. Wydawało się, że jeszcze z 10 minut, może 15 i będziemy.

Istnieje takie prawo: jak ubierzesz człowieka w mundur, to IQ spada mu o 20 punktów. W Rosji to prawo tak się jeszcze różnicuje, że pacjent traci 50 punktów, a że baza do odejmowania przesadnie bogata nie jest, to prowadzi to do dramatów. Nie spotkałem jeszcze rozsądnych mundurowych, policji szczęśliwie skutecznie unikam, ale celnicy, pracownicy ochrony, personel różnych kin i teatrów... Ja pierdołę... Jest jeszcze takie prawo, że im bardziej bezużyteczny zawód ktoś ma, tym bardziej będzie wszystkim udowadniał, że jest bardzo ważny i potrzebny. I to był właśnie ten przypadek. Przed muzeum stał pan z ochrony. Wydawało się, że skoro ludzie wychodzą, to będzie wpuszczał tych z kolejki. No ale nie, jego logika innymi torami podążała. Zapewne ten człowiek ostatni raz dobrze bawił się, gdy mu robili kolonoskopię i liczył, że ktoś z nas będzie chciał odtworzyć to wydarzenie. Co kilka minut ktoś mu mówił, że może by wpuścił parę osób, bo jest troszkę zimno. Ten najczęściej nie odpowiadał nic, a czasem, że nie może, bo muzeum jest pełne. Szczyt bezczelności przekroczył chwilę potem:

powiedział, że trzeba sobie wziąć płatne oprowadzanie, to wtedy jest wejście bez kolejki. A płatne oprowadzanie można wykupić dopiero na terenie muzeum. Gdyby stał bliżej barierek, to byśmy go zabili. Padły też klasyczne pytania i równie klasyczne odpowiedzi:

- *Czemu nas nie wpuszczacie?*
- *Przepis.*
- *Proszę mi pokazać ten przepis.*
- *To przepis dyrekcji.*
- *Chciałbym się skontaktować z dyrekcją.*
- *Dyrekcja ma dzisiaj wolne.*

W pewnym momencie nie wytrzymałem i odezwałem się do zebranych:

– *Jesteśmy turystami z Polski. Spędzamy Nowy Rok w Moskwie. Spotkaliśmy tu wiele wspaniałych osób, widzieliśmy wiele pięknych miejsc. Kochamy Rosję i Rosjan, ale ilekroć zderzamy się z mundurowymi, funkcjonariuszami państwowymi, a często także z obsługą w sklepach, to jest to dramat i katastrofa. Czemu ludzie się na to zgadzają? Jak tak można żyć? Jak to możliwe, że w XXI wieku trzyma się kilkadziesiąt osób na siedemnastostopniowym mrozie?*

To, że były propsy, to mało powiedziane.

– *Pierdol Moskwę, jedź do Petersburga* – rzucił na to pan z wódką w wymowie. Inna pani powiedziała, że jest jej wstyd. Nie spodziewałem się takich reakcji, w końcu nasze kraje są w stanie odwiecznej wojny. Zrobiło się milej. W sumie od większości osób dawało nieźle alkoholem i może dlatego byli w stanie przeżyć ten mróz.

Po PIERDOLONYCH DZIEWIĘCDZIESIĘCIU MINUTACH stania na jakichś minus SIEDEMNASTU udało nam się wejść do środka. Żadna dusza nie poczuje tego, co może poczuć ciało mrożone tyle czasu. Moje współczucie do ludzi, którzy przeszli przez Gułagi, wzrosło stokrotnie. Stanęliśmy przy automacie z kawą i spędziliśmy przy nim dobre naście minut. Samo muzeum nas nie zabiło ani nie rozczarowało. Jest duże, ma obiekty związane z podbojem kosmosu, w tym meteoryty do podotykania sobie. Można nawet wejść do paru rakiet, są plakaty z epoki wyścigu kosmicznego, które dodatkowo budują klimat. Powiedziałbym, że muzeum na plus, ale naprawdę, lepiej zapłacić 250 rubli za bilet i przyjść, gdy jest mniej zainteresowanych, niż przechodzić tę gehennę, co my.

Muzeum kosmosu mieści się koło parku VDNKh. Delegacja zaaprobowała ten obiekt. Z racji zimy jest tam wielkie lodowisko, było tylko umiarkowanie zatłoczone. Rozważaliśmy nawet wypożyczenie łyżew i pojeżdżenie sobie wokół fancy fontanny, ale to, że lodowisko było mało zatłoczone, to przecież nie znaczy nic. Widok kolejki po wypożyczenie łyżew skutecznie nas zraził. Poszliśmy w stronę pomnika Kołchoźnicy i Robotnika. Widziałem go naście razy wcześniej, ale nie wiedziałem, że można do niego wejść. Można, ale nie trzeba. Polecałbym trzymać się takiej linii. My weszliśmy. PIĘĆ pięter wuj wie czego. Znaczący sztuka nowoczesna związana z tym cudownym obiektem, do tego trochę jego historii. Jeżeli brzmi to nieźle, to nie dajcie się zwieść: katorga z może dwiema przerwami na coś śladowo interesującego.

Był miły akcent: o ile ja i męska część delegacji rzuciliśmy się dość szybko do przodu, a moja znajomość rosyjskiego podobno potrafi sprawić, że jeżeli mówię do trzech zdań, to nie wiedzą, że jestem *inostranec*, o tyle część wycieczki nadziała się na obsługę, która uparła się,

że musi ona zrozumieć film o obiekcie. Film traktował o tym, że gdy pomnik stał w Paryżu na wystawie w roku 1937, to błagali ich, żeby im go tam zostawili i chcieli nawet zapłacić chore pieniądze, bo tak im sufit rozwaliło to чудо. No ale ZSRR się nie zgodził, bo przecież taki cudowny pomnik to musi stać w Moskwie, stolicy światowego proletariatu, więc im go nie opylili. Potem jednak autorzy tego arcydzieła art deco poszli do ziemi, bo czasy stalinowskie tak miały, że dużo ludzi szło do ziemi, a jak się już coś tworzyło, to szansa na bilet w zaświaty się zwiększała. Niestety młodzież nie spisała się i opuściła ten kawałek z filmu, no ale polski daleko od ruskiego nie jest, więc i nierosyjskojęzycznym udało się zrozumieć, jaki to event czekał na powracających z Paryża.

Mgnienie piąte

Mieliśmy wielki plan: wypożyczymy samochód. Jedziemy do Włodzimierza, Suzdału i Siergijew Posad. Dwa dni. Nocleg we Włodzimierzu. W końcu to tylko 186 kilosów od Moskwy, potem ze 30 do Suzdału, a Siergijew jest kawałek na bok przy powrocie. Co może pójść nie tak? Zaczynam wyliczać!

30 grudnia zarezerwowaliśmy pojazd, z dokładną godziną odbioru (10 rano), oczywiście też miejscem. No więc 3 stycznia o 9 rano wypożyczalnia rzuciła do nas, że jednak nie będą w stanie zapewnić takiego pojazdu ani żadnego innego. No chuj wam w bary, dzięki, super jesteście, szukamy innej opcji. Podczas szukania tejże okazało się, że obarczono nas kosztami za zmianę rezerwacji. Wiele w życiu widziałem, ale na taką bezczelność wędnę. Napiszę to drukowanymi literami:

WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW ANULOWAŁA NASZĄ REZERWACJĘ I WALNEŁA NAM 1300 RUBLI KARY ZA TO, ŻE NIE REALIZUJEMY ZAMÓWIENIA.

Myślę, że w piekle są oddzielne kotły dla takich cwaniaków. Skurwysyny powinny wisieć na latarniach. Akurat te rozmowy nie były prowadzone przeze mnie i były po angielsku. Nawet gdyby były po rosyjsku, to wiele by nie zmieniło. Powtórzmy to: wypożyczalnia samochodów anulowała naszą rezerwację i walnęła nam karę za zmianę umowy wynajmu.

3 stycznia wypadający w niedzielę to może nie być najlepszy dzień roku na szukanie samochodu. Dzwoniliśmy do różnych miejsc, w jednym nawet oferowano nam limuzynę, ale były dwa problemy: cena, często przekraczająca znacznie zdrowy rozsądek, a także miejsce odbioru. O ile odbiór samochodu z lotniska ma pewien sens, gdy się gdzieś przylatuje, o tyle jednak konieczność jechania na lotnisko jakieś półtorej godziny, żeby odebrać samochód, a potem przejechanie sobie całego miasta, to nie do końca to. W końcu znaleźliśmy coś bardziej centralnego, a i trochę na wschód od centrum, w ludzkiej cenie (4000 rubli). Był tylko jeden dziwny zapis: limit dzienny kilometrów wynosił 250, a za każdy kolejny groziło nam 20 rubli dopłaty. Wyliczyliśmy, że akurat wystarczy, do tego robiło się dość późno, a wybór nie wydawał się być luksusem, który mieliśmy. Zamiast więc wyjechać o 10, wyjechaliśmy o 15. Już tylko z kronikarskiego obowiązku wspomnę, że był *cock-up* z szukaniem wypożyczalni, bo Google Maps wyprowadziło nas nie tam gdzie trzeba, więc jeszcze połączyliśmy w pięć osób z betami

po okolicach stacji Baumanskaya.

O korkach w Moskwie krążą legendy. Myślę, że ludziom zdarzało się pobrać i rozmnożyć, stojąc w nich. Domyślam się, że nie poznałem pełnego obrazu dramatu, ale wystarczy. Droga do Włodzimierza wiedzie przez jedną z ulic, która ma szczególne miejsce w moim sercu, Szosę Entuzjastów. Obecna nazwa pochodzi z roku 1919 i ma upamiętniać ludzi, którzy walczyli z caratem, a w nagrodę za to carat entuzjastycznie wysyłał ich na Syberię właśnie tą drogą. Wcześniej nazywała się Włodzimirska, z racji tego, dokąd prowadzi. Status odlotu uzyskała, gdy podczas jednej z lekcji uczniowie mieli napisać list, w którym aplikowali o pracę. Pomysł z książki był tak natchniony (specjalista IT), że powiedziałem, że mogą ubiegać się o jakąś inną robotę, a także, że mogą sobie dać więcej lat i zrobić wpisy do CV. Jeden chłopak napisał odlot, w którym przedstawiał się jako Śnieżana z dużym biustem, która stoi przy Szosie Entuzjastów i obsługuje kierowców. Jako swoje plusy wpisał umiejętność pracy w dużej grupie i obfite doświadczenie z tirowcami. Ludzie na sali leżeli, a i ja byłem pod wrażeniem. Tak więc ilekroć słyszę o Szosie Entuzjastów, to mi się widzi jego list motywacyjny. Wiedział o czym pisze, Szosa Entuzjastów jest dość długa, a dzięki korkom mogliśmy poznać ją bardzo dokładnie.

Za miastem nieco się poprawiło, ale odkryliśmy, że wycieraczki mają tak zniszczone pióra, że więcej nie widać, niż widać (bo może zapomniałem wspomnieć, że padał śnieg). Nauczyłem się przy okazji nowego słowa, dworniki. Fajną minę miał pan w sklepie, gdy dwie osoby przyszły i powiedziały:

– *Dzień dobry, potrzebujemy...* – i zaczęły machać rękoma. – *Do samochodu Nissan Almera.*

Cztery stowy za dworniki, montaż kilka minut, w końcu coś widać. Przejazd zajął nam trzy godziny. Droga jest całkiem dobra, ale są na niej ograniczenia prędkości, fotoradary, patrol drogówki, przejścia dla pieszych, no nie jest to niemiecki *autobahn*, a *cock-up* występował raczej gęsto. Mimo legend krążących o rosyjskich kierowcach stwierdziliśmy z pewnym zdziwieniem, że jest lepiej niż w Polsce – rzadko kto się pcha na chłama albo wykonuje jakiś dziko ekscentryczny popis na szosie. Podobnie z prędkością, ludzie w miarę przestrzegali znaków, nikt nie walił w klakson, po prostu jechało się spokojniej niż zwykle w PL.

We Włodzimierzu musieliśmy znaleźć nasz hostel. Nie kłamali ci, co pisali na necie, że jest ciężko. Najpierw Google Maps (Yandex Maps miało strajk i nie chciało nas znaleźć) zaprowadziło nas do budki z łańcuchem, przy której stali wojskowi z bronią. Jak się zapytałem, to powiedzieli, że ogólnie tu, ale z drugiej strony. Nawet nie żartowałem z pytaniem, czy by nas nie przepuścili, więc objechaliśmy. O ile sam adres był łatwy do znalezienia, o tyle okazało się, że pod numerem 67 mieści się kilkanaście budynków oznaczonych różnymi literami. Jako rycerze zostawiliśmy białogłowy w samochodzie i spędziliśmy dobre dwadzieścia minut na mrozie. Śnieg chwilami zaczął poziomo, było obłędnie zimno. Dzwoniłem do hostelu, ale wiele nie mogli pomóc („tak, tak, to tutaj”). Lokalni nie wiedzieli, a pani wojskowa w budce strażniczej na me pytanie pokazała mi kartkę:

ZANIM ODEZWIESZ SIĘ DO FUNKCJONARIUSZA WOJSKOWEGO FEDERACJI ROSYJSKIEJ, OKAŻ SWÓJ DOKUMENT TOŻSAMOŚCI.

Fantastyczna praca: siedzisz w budce strażniczej przy instytucie z czasów Chruszczowa. Pilnujesz diabli wiedzą czego. Obrzeża Włodzimierza. Pusto, głucho, ciemno. Ale i tak nie udzielisz informacji, bo nie! To trzeba mieć specyficzną konstrukcję głowy od środka, żeby wykonywać taką pracę. W Rosji jednak takie wydarzenia lubią się bilansować, więc po chwili spotkaliśmy staruszkę o kulach, która zadbała, żebyśmy znaleźli nasz hostel. Ten dla ułatwienia nie miał ani pół znaku na zewnątrz, bardzo mądre. Łącząc po tym, ogarnęliśmy, że jest to jakiś instytut badawczy, raczej porzucony, który jest ochraniały przez wojsko, a ktoś wymyślił, że przy okazji zrobi sobie mały geszefcik i otworzy hostel, być może dlatego nie chce chwalić się znakami. Szczęśliwie i aż niewiarygodnie, hostel był całkiem dobry, czysty i ciepły. Obsługa była super miła, żadnych problemów z parkowaniem. No tylko znalezienie tego to naprawdę wyzwanie. A jak się potem okazało, jedna łazienka na całe piętro to trochę za mało na ponad 12 osób, z którymi akurat tam przebywaliśmy.

Centrum Włodzimierza jest super ładne, trochę jak z rosyjskiej bajki. Kościoły, złote wrota, wiele kamieniczek. Śnieg sypał na potęgę, więc wyglądało jak Rosja z pocztówki, do tego cisza i spokój. Nadal było zimno, więc część „zwiedzaniowa” była wielką desperacją, zakończoną w piwnicznym lokalu.



Ja <3 Włodzimierz



Złota Brama, która oczywiście wcale nie jest złota

Przywykłem płacić przynajmniej 400 rubli za pizzę, około 300-350 rubli za piwo. Otwieramy menu, a tam pizza od 100 do 300 rubli, piwo 115. Miło czasem wyjechać z Moskwy. Obsługa w lokalu, bajka!

– Ooo turyści, ale się cieszymy! Ooo!!! Czy możemy Państwu zaproponować po bezpłatnym kieliszku szampana z okazji Nowego Roku?

Łaskawie się zgodziliśmy. Spodziewałem się czegoś syfnego, a tu szok, dość dobry szampan. Jak nie jestem wielkim fanem dawania napiwków, to tu wszyscy zgodnie zaokrągliliśmy rachunek, który jakiś straszny nie wyszedł. Fajne muszą być imprezy w tym lokalu: klientów wita cennik, w którym są pozycje takie jak rozbicie lustra, wyrwanie klamki, rozbicie drzwi wejściowych, zniszczenie serwetnika. Ten rejestr dramatów miał dwie strony A4, połowy bym sam nie wymyślił. Akurat pomniejsza libacja miała miejsce, pan wyszedł zapalić. W bezrękawniku. Takiej typowej żonobijce, *wife-beaterze*, jak to określają w USA. Minus siedemnaście stopni, my ledwo stoimy w puchowych kurtkach, a tu wychodzi facet, spokojnie spala peta i wraca do stolika. Mówili mi, że Ruskich mróz nie wzrusza, ale i tak byłem pod wrażeniem.

Mgnienie szóste

Z racji tego, że był *cock-up* z samochodem, mieliśmy znacznie mniej czasu, niż chcieliśmy. Z listy wypadł Siergijew Posad, o poranku wyruszyliśmy do Suzdału. Są ludzie, którzy uważają, że Suzdał to najładniejsze miejsce w Rosji, a na pewno w okolicy Moskwy. Droga z Włodzimierza jest fajna, płaska, równa jak stół, szeroka. Infrastruktura jednak już jest taka sobie, np. stacja benzynowa miała toaletę na zewnątrz, a chyba już pisałem, jaka była pogoda. Aligator skorzystał, bo nie miał wyboru. Nawet cieszył się z tych -17, bo przynajmniej nie cuchnęło w środku.



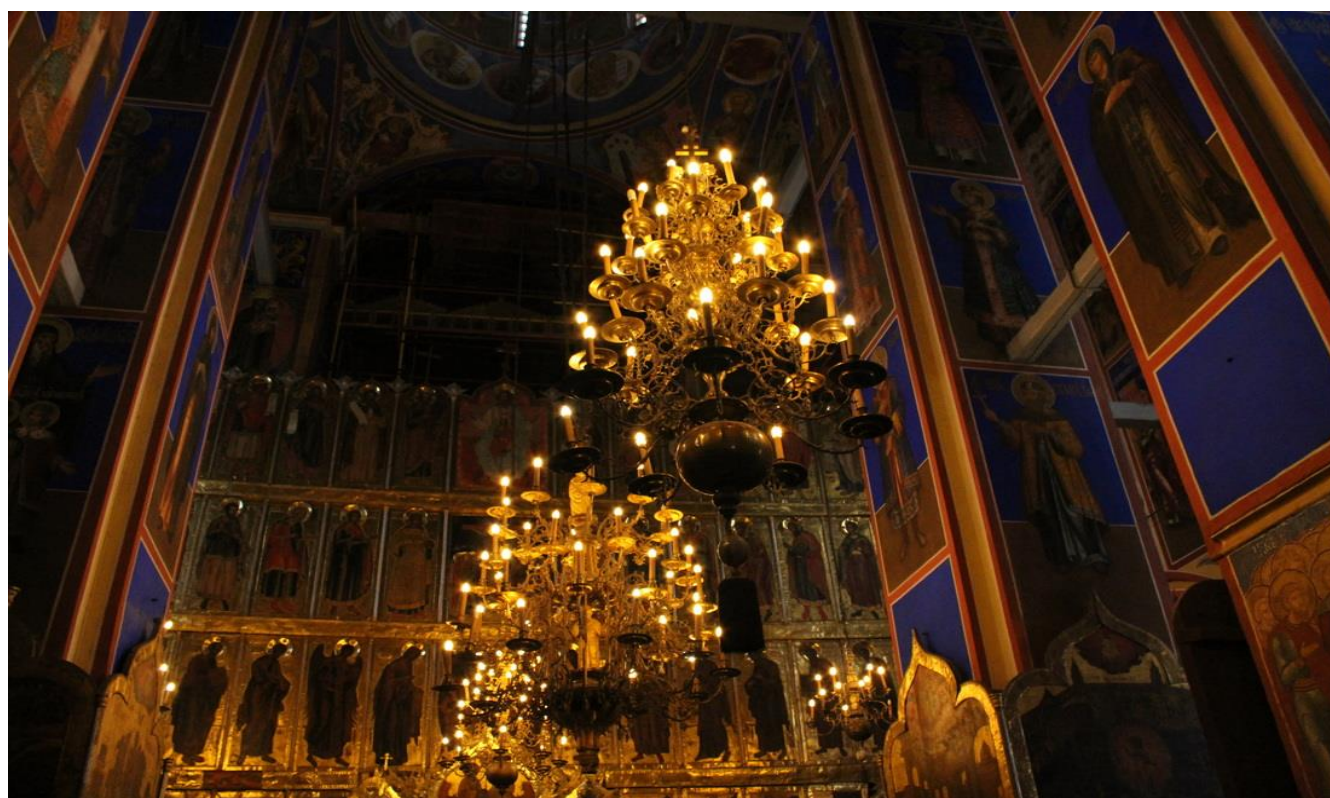
Sam Suzdał jest rzeczywiście bardzo ładny, tyle że to niemal miasteczko-muzeum, więc cała ludność nastawiona jest na życie z turystyki. Ceny są nieco wyższe niż we Włodzimierzu, a odwiedzających absolutny nawał, zwłaszcza koło południa. Do jakiejś 11:30 mieliśmy względny spokój, po 12 było grubo, kolejne autokary wyrzucały ze swych wnętrz stada turystów i to raczej nie takich w trybie backpackersów. Dwie flagowe atrakcje to Monastyr Spasko-Jewfimijski i Kreml. W *Lonely Planet* było napisane, że wryje się nam w pamięć widok białego Kremla odcinający się od meandrów błękitnej rzeki i zielonych pastwisk. Taaa...





Biały Kreml, białe pastwiska, a na środku meandra białej rzeki siedział facet na kubelku od farby i łowił ryby w wyrąbanym przeręblu. W środku było lepiej, do zwiedzania to jest całkiem fajne miejsce, dużo sal, dużo ładnych obiektów, chociaż zaczęło się strasznie, bo od wystawy *Suzdal 100 lat temu*. Na tejże wystawie mieli wypchanego niedźwiedzia i jakieś rustykalne barachło, odtworzyli też szkolną klasę. Ubaw był, bo ja sam uczyłem w o wiele gorszych warunkach, a tu idea chyba była taka „zobacz se, jak ciężko miały dzieci sto lat temu”.





Potem już było lepiej, wygrała przenośna chrzcielnica, pomogło malarstwo sakralne, ryciny z dawnych lat, mapy podbojów mongolskich, kielichy mszalne. Zaskoczyła mnie sekcja, raczej skromna, ale obecna: „Suzdał w XX wieku”. Były w niej zdjęcia dość dużej liczby kościołów, które za poprzedniego systemu zostały zniszczone lub były wykorzystywane nie do końca zgodnie ze swoim przeznaczeniem. W jednym zrobili nawet toaletę publiczną, ikony z innego zostały wykorzystane do palenia w piecach. Ogólnie człowiek wie, jakie było podejście do religii, ale Rosjanie nie bardzo lubią się nim chwalić i o tym rozmawiać, więc tu byłem bardzo zaskoczony, że jednak coś wspominają, chociaż nie wnikając w detale takie, że niemało Polaków siedziało w suzdalskim monasterze. Niestety, z racji poniedziałku ww. monastyr był zamknięty, rzuciliśmy okiem z zewnątrz, dla odmiany biało. Rozpoczęliśmy więc odyseję „powrót do Moskwy”, ponad pięć godzin jazdy, w tym dobra godzina w samym mieście, a raczej na Szosę Entuzjastów. Nie muszę chyba nawet strzępić klawiatury na pisanie, czy wypożyczalnia chciała nam oddać za dworniki.

Był to ostatni wieczór wspólny z delegacją. Usiedliśmy, otworzyliśmy piwo, wyjęliśmy karty i po chwili zorientowaliśmy się, że jest druga w nocy.

Mgnienie siódme

Sponsorem dojazdu na lotnisko było słowo *cock-up*. *Cock-up* na pętli autobusowej Planernaya, *cock-up* w autobusie, *cock-up* na szosie (tym razem nie Entuzjastów). Dojechaliśmy, goście pobrali bilety i wyszliśmy przed halę odlotów na pożegnalnego papierosa. Pożegnania nie są moją najmocniejszą stroną, ale tym razem wizytujący się postarali.

– *Ja tu chcę wrócić. Gdyby tak wizy znieśli, to bym tu ciągle wpadał, choćby na weekend, niesamowite miasto. Tylko może jednak nie, KURWA, w styczniu, a na wiosnę.*

Tydzień minął, jak z bicia strzelił. Był to najlepszy początek Nowego Roku, jaki mieliśmy od 2012 (tamten rok też witaliśmy w podobnym składzie). Jak widać, słowem-sponsorem pobytu naszych gości był mróz i minus siedemnaście. No i *cock-up*. Dla nas super było, że możemy pokazać przyjaciołom, jak mieszkamy, gdzie pracujemy, na jakich stacjach metra wysiadamy częściej, na jakich rzadziej. Co to jest *cock-up* w Zebrze, a co to jest *cock-up* po uzbecku. Pojęcia, którymi do nich mówiliśmy podczas rozmów i w mailach, stały się prawdziwe, tak też miejsca. Teraz wiedzą, co to znaczy iść Twerską na Kuzniecki i zejść na Płosząd Rewolucji. Sami odkryliśmy wiele wcześniej nieznanych miejsc (muzeum kosmosu...) i spojrzeliśmy trochę inaczej na rzeczy, które stały się dla nas codziennością. Na przykład:

Ej, ten typ tu pije piwo!

No i co w tym dziwnego? A, zapomniałem: w Rosji można.

Widzisz tę tablicę kantoru? Ja codziennie koło niej przechodzę i oni mnie torturują, informując na bieżąco o kursie rubla.

Chyba najbardziej mnie cieszy, że poza spożyciem Bielugi, pograniem w brydza i wypiciem morza piwa udało się dokonać jakiegoś zbliżenia między nacjami na płaszczyźnie zwykłych obywateli. Dosłownie to pod muzeum kosmosu, ale nasi znajomi w ciągu tygodnia dali się przekonać do Rosji i Rosjan bardziej, niż się spodziewałem. Parę razy sami wracali z miasta z historiami, że ktoś im bezinteresownie pomógł, że cywilizacja i pozytywny szok, a nie żadne kacapy i mongolskie hordy. Śmiem wierzyć, że i paru Rosjan miało pozytywniejsze przemyślenia na temat Lachów dzięki temu, że zetknęli się z nami.

Smutniejsze jest to, że prawdopodobnie przez następne miesiące się nie zobaczymy, ale i tak wygrywa z tym to, że mogłem przyjąć ludzi w jednym z moich ulubionych miast świata. Rzygotliwie nieco zrobiło się od tego lukru, więc dodam, że powrót z Sheremetyeva był dorodnym *cock-upem*, bo już na etapie lotniska jacyś przyjezdni Azjaci nie mogli zrozumieć, że za autobus się płaci. Wszystko zablokowali, nie dawali sobie wyjaśnić, że bilety i próbowali wejść na chama, czołgając się pod kołowrotkiem w autobusie.

Ostateczny krach systemu Federacji

[7.02.2016]

Przedstawiamy największe oblicze kryzysu ekonomicznego w Rosji, a może nawet Federacji Rosyjskiej. Ludzie wyprzedający używane naczynia przy stacjach metra? Oni już dawno je sprzedali. Staruszki handlujące robionymi na drutach skarpetkami? Ba, staruszki zostały wykupione miesiące temu. Emeryci sprzedający tajemnicze rośliny wyhodowane w przydomowych ogródkach? W lutym nie ma po nich nawet wspomnienia! Młodzi mężczyźni proszący o pieniądze? Przeszło z okolic stycznia! Oto ostateczny dowód na kryzys niszczący Rosję. WÓDKA ZAMARZA!



Uwięzieni pod lodem

I to zamarza na beton, nie to, że robi się jakaś kasza albo bardziej oleista. Po kilku godzinach trzymania wódki w lodówce wyjmuje się kawał lodu. Najpierw zamarzła u nas wódka Pięć Jezior. Potem zamarzła wódka z brzozy. Kilka dni po tym byłem na pijaństwie z rosyjskim kolegą i zeznał mi on, że zamarzły mu już trzy różne wódki. I że od kilku miesięcy nie trafił

na taką, która nie zamarza, a jak ma lat pod trzydzieści, to kiedyś tak nie było. Ja mogę dodać, że Bieługa nie zamarza (przynajmniej nie przez dobę), ale tu mówimy o opus magnum lokalnego przemysłu alkoholowego, który kosztuje w cholerę pieniędzy.

Rozumiemy, że cena ropy spada. Rozumiemy, że Turcja, Iran i Chiny. Rozumiemy, że sankcje. Rozumiemy, że Krym. Rozumiemy, że cały świat wziął się na Rosję i próbuje ją zniszczyć. Rozumiemy, że życie geniuszy jest nieco trudniejsze, że świat rzuca im ciągle kłody pod nogi i dlatego też kupiliśmy sobie kalendarz ze Stalinem. Jednak nawet wszystkie wojny atomowe nie sprawią tego, że Putinowi można będzie wybaczyć to, że Rosja rozpoczęła produkowanie wódki niespełniającej podstawowych wymagań stawianych temu trunkowi. Czyli kryterium woltażu. Poważnie? Naprawdę? Wódka, która ma certy i ruską banderolę na 40 stopni zamarza? Mając nieoficjalny znak towarowy, który jest rozpoznawany na całym świecie, spuszczaście go w toalecie? Produkuje wódkę, która nie spełnia norm bycia wódką? Ja wiem, że wielu abonentów rosyjskich spirytualiów spożyje sobie ten produkt zaraz pod sklepem i nawet się nie zorientuje, że ich wyruchano, ale dla człowieka, który chodzi do pracy, sprawa nie jest taka prosta. Flakon leży w zamrażarce, czeka na lepszy lub gorszy wieczór. Gdy ten nastaje, wyjmuje się bryłę lodu. Nasza lodówka to nie Mińsk-2, nie Saratow, a jakiś pocieszny Indesit.

Jakiś tam plus tej sytuacji jest, można robić lody z wódki i dawać je dzieciom, dzięki temu szybciej zrozumieją odpowiedź na wszystkie problemy świata, a także zwiększą swoje szanse na zostanie lokalną patolą, czyli znalezienie wcale przyjemnego miejsca w systemie tu panującym. Ja jednak mam lat nieco więcej niż dwanaście i bardziej bawi mnie spożywanie tego w płynie.

Ujmując sprawy nieco poważniej: ryczeć się chce, gdy spotyka się ludzi 70+, którzy próbują sprzedać coś przy stacjach metra. Bywa, że mają talerze, które są dla nich warte każdych pieniędzy i których próba sprzedaży oznacza, że nie mają już na nic, oferują więc swoje najcenniejsze rzeczy. Kiedy indziej widziałem kobietę z solidną wadą wzroku, która próbowała sprzedać swoje produkty z wełny. Oczka na skarpetkach były zrobione dość źle, ale gdy patrzyło się na nią, wiedziało się, że to jej robota i że włożyła w nią wszystko, co miała. Wypasione centrum handlowe, raczej puste nawet w niedzielę, a pod centrum siedzi staruszka na krawężniku i próbuje sprzedać książki: miała kryminał, antyczny podręcznik do angielskiego i coś zużytego do matematyki. Może ktoś coś z litości kupił, ale wartość rzeczywista tych artefaktów była zerowa. Taka też była temperatura, ale ona i tak siedziała. Powiedzmy, że w tym wypadku odrzucę teorię, że przywiózł ją tam syn najnowszym modelem Audi i zostawił na dzień, bo ona to zarobi z pięć tysięcy, tak siedząc. Jesienią wielu emerytów próbowało sprzedawać warzywa. W tym klimacie owoców raczej nie są w stanie wyhodować, więc siedzą ze smutnymi ogórkami albo karłowatą kapustą i liczą na łut szczęścia. Według mojej wiedzy, emerytury zaczynają się od trochę ponad 6000 rubli. Czyli około 80 USD. Jeżeli nie ma się rachunków, to od biedy da się przeżyć, ale problem polega na tym, że leki nie są tanie, a tak się składa, że im dalej w życie, tym więcej się ich zażywa.

Widzę to wszystko i potem trafiam na jakieś komentarze do artykułów o Rosji, gdzie ludzie piszą, że Rosja to jest zajebista, bo jest wolna od wpływów Zachodu i są naprawdę niepodlegli i słowiańsko powinniśmy ciążyć do nich. Kurwa mnie bierze, ludzie tutaj zaczynają powoli wychodzić na ulice, bo relacja cen do zarobków jest taka, że Polska wydaje się przy tym

zajebistym rajem. Mamy płacone solidnie lepiej niż przeciętna emerytura lub pensja, a i tak te pieniądze są śmiechem na sali wobec tego, ile się zarabia w innych krajach, nierzadko pracując o wiele mniej. Gdy pod koniec stycznia rubel gruchnął i padł jeden z flagowych banków kraju, do bankomatów były takie kolejki, że gdy w końcu swoje wystąpiłem, to była końcówka pieniędzy – normalnie bankomat mego banku oferuje USD, 100, 1000 i 5000 rubli. Gdy dotarłem do maszyny (nie)szczęścia, to zostały jej tylko banknoty 5000. Obecnie mamy wypłacone wszystko z konta, bo nie wiemy, czy i kiedy padnie kolejny bank. A i tak może się okazać, że rubel fiknie i cały ten hajs będzie wart mniej niż papier toaletowy Zewa Softis albo nawet *toaletnaja bumaga*, 7,50 rubla za rolkę.

Współcześnie Rosja to nie są żadne opowieści o potędze atomowej, bo każda rosyjska opowieść atomowa w końcu odwiedza Czarnobyl. Rosja na rok 2016 to nie jest opowieść o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, chociaż plakatów z nią długo szukać nie trzeba, a co więksi patrioci oblepiają samochody naklejkami (*Spasiba diedu za pobiedu!*). W muzeach jednak nie ma rzeczywistych bohaterów największego konfliktu zbrojnego w dziejach ludzkości, bo jeżeli jeszcze żyją, to często siedzą z wyszczerbionym dzbanuszkim do herbaty pod metrem i błagają, żeby ktoś go kupił. Współczesna Rosja to jest opowieść o zamarzającej wódce, emerytach sprzedających swoje życia, o zepsutym mleku (o pojemności 965ml, ale bywa, że i takiej ilości mleka nie da się wyprodukować w sensownej jakości) i bardzo drogich pomidorach. Szczęśliwie przy tym wszystkim Rosjanie nie próbują się nawzajem wyruchać i reszty w sklepie nie trzeba liczyć, a jak się ktoś wywali na chodniku lub zasłabnie w metrze, to zaraz mu wszyscy pomagają. Ludzie są tu jakieś osiem razy lepsi od całego systemu, co jest pewną odmianą od tego, że w Polsce mając wcale niezły system na papierze, ludzie robią co tylko mogą, żeby uczynić życie innych koszmarem. W obu krajach dochodzi do tego nacjonalistyczne pierdolenie polityków, tu z Wołodiją na czele. Ten wspaniały, skromny syn narodu próbuje wmówić mieszkającym w Rosji, że kryzys się skończył, że będzie już tylko lepiej i że pokonaliśmy cały świat, pokazaliśmy im jednego wielkiego wała i teraz to wiedzą, z kim mają do czynienia.

Świat oczywiście ma to gdzieś, że stereotypu o Stalinie i wódce została już tylko wódka, raczej od nikogo nie usłyszymy, że po Moskwie łążą niedźwiedzie. Jednak moi uczniowie mają wtłaczane do głów, że ludzie na Zachodzie żyją negatywnym stereotypem Rosji i źle o nich myślą. Prawda jest nieco bardziej bolesna, przeważająca większość świata w ogóle nie myśli o nich, bo i czemu by miała? A gdyby się nad tym wszystkim pochylić, to wyszłoby, że jest to kraj, w którym panuje solidna nędza, z którego miliony obywateli chcą wyjechać, ale nie mogą. Patrząc jeszcze głębiej, trafi się na takie zjawiska jak morderstwo Niemcowa, Poltkowskiej i Litwinienki. Wydaje się więc, że dla Rosjan lepiej byłoby żeby ludzie spoza Rosji jednak żyli stereotypami i nadal wierzyli, że jest to kraj komunizmu, Lenina, bałajki i niedźwiedzi. No i oczywiście dobrej wódki. Takiej, która nie zamarza po kilkugodzinnym pobycie w lodówce.

[11.02.2016]

W poniedziałkowy wieczór odprowadziłem koleżankę z pracy na pobliską stację metra. Nie dlatego, że mieszkamy w rewirze morderstw, gwałtów i rozbojów, a dlatego, że musieliśmy omówić parę spraw związanych np. z tym, że z zakładu ludzie uciekają trochę podobnie do pasażerów pewnego liniowca, o którym film nakręcił James Cameron. Gdy się pożegnaliśmy, przeszedłem koło białoruskiego sklepu z wędlinami, budki z jedzeniem, a być może nawet w pole mego wzroku wpadła kwiaciarnia znajdująca się wówczas po drugiej strony ulicy. Był to poniedziałkowy wieczór, 8 lutego.

We wtorek rano okazało się, że zaszły dość daleko posunięte zmiany i wiele z cudów transformacji ustrojowej przestało istnieć. Choć to nie do końca prawda, wszystko zostało w plus minus tych samych miejscach, ale w postaci gruzu, połamanych witryn, już bez ludzi i z raczej znikomą wartością użytkową.



Dziś w klubie będzie bang...



Szybkie poszukiwanie netowe nie przyniosło efektów, dopiero w kilka godzin później dowiedzieliśmy się, lep jakiej to propagandy za tym się kryje. Wcześniej jeszcze udało się ustalić, że pożegnano sklepy przy stacji metra Czyste Prudy, a współpracowniczka doniosła, że także przy metrze Sokół.



Czyste Prudy we wtorkowy poranek. Sielanka

Na necie stało, że prace zaplanowane przy stacjach – dość długa lista, ale raczej niekompletna, bo np. naszej na niej nie było. Szukanie informacji o tym nie było najłatwiejsze – taka natura rosyjskich mediów, że gdy rozwalają pół stolicy, a ludzie barykadują się w sklepach, to na głównej „The Moscow Times” wisi artykuł o tym, że pokazaliśmy tym bandytom w Syrii, a Erdogan na kolanach. Dopiero kilka godzin później udało się ustalić, że podobno temat narodził się ponad rok temu. Licznych sklepikarzy oskarżono o to, że potworzyli samowole budowlane i że działają bezprawnie. Powiedziano, że im to rozwał. Tamci pochodzili po sądach (iść do sądu w Rosji – jaki tu jest potencjał na sequele do *Lewiatana!*), niektórym udało się uzyskać wyroki głoszące, że mają wszystko legalnie, budynki nie są samowolami, mogą sobie stać. Ba, ludzie powygrywali nawet apelacje! Moralne zwycięstwo więc mają, szkoda tylko, że miejsc pracy, a często pewnie i dobytku życia już nie. Operację „usuwania nielegalnych zabudowań” rozpoczęto o 1 w nocy, czyli tak, jak właśnie rozpoczyna się wszystkie działania, które są stuprocentowo zgodne z literą prawa, w końcu lata doświadczeń o czymś mówią, że noc to najlepszy czas na takie występy. Akcja demontażu bud w całym mieście przebiegła właściwie symultanicznie, przynajmniej wnosząc z tego, co zastało nas o poranku. Teraz jeden problem: to nie były tylko takie budy-wozy Drzymały, część z nich to były solidne budynki z fundamentami. Co więcej, wszystko to było podpięte do miejskich sieci energetycznych i kanalizacyjnych. W wielu miejscach oddziały miały sklepy sieciowe, trudno uwierzyć, że rzuciłyby się one w dziki handel dla paru rubli podatków. Nasuwają się pewne pytania, np. „Jak ktoś mógłby postawić taką samowolę w różnych centrach-węzłach komunikacyjnych miasta?”. Wyjaśnienie: powstały one w dzikim okresie transformacji lat

dziewięćdziesiątych. Pytanie numer dwa: „to potem przez jakieś 20 lat nie płacili podatków, za prąd i wodę?”. Odpowiedzi brak. A co ze sklepami, które powstały wiele lat później? Widocznie ktoś wziął łapówkę. A to nie należy zacząć od osądzenia tego, kto wziął łapówkę? Odpowiedzi brak.

Co można usłyszeć w zamian: „Miejsca te były wylegarnią alkoholizmu i narkomanii”. To może lepiej przysłać policję? A jeżeli chcieliby zrobić porządek ze wszystkimi miejscami, w których ludzie piją, to musieliby rzucić na Moskwę kilka bomb atomowych, a i tak mam pewność, że ktoś wstałby, otrzepał się i znalazł sobie miejsce do picia. [Tu program telewizyjny](#) pokazujący, jak to się fajnie odbyło i ile sprzedawcy mieli czasu na opuszczenie sklepów, jak zadbano o bezpieczeństwo ludzi, no istne marzenia każdego urbanisty i gracza w *Sim City*. Mówi się o tym, że przepadło piętnaście tysięcy miejsc pracy. Drobiazg, w końcu kraj pławi się w dobrobycie.

Dzięki temu tematowi przerobiłem kurs legendarnej mentalności lokalnej, i to dość szeroko lokalnej. Pracuję z ludźmi w różnym wieku i o różnych osobowościach, jednak w tej sprawie byli podejrzanie zgodni. Od jednej współpracowniczki dowiedziałem się, że to bardzo dobrze, bo to szpeciło wygląd miasta i że ja nie wiem, jaka jest mentalność tych sklepikarzy. Ich już od dawna ostrzegano, a oni się uparli tam siedzieć i handlować. Dowiedziałem się też, że władza lepiej zagospodaruje te tereny. W to nie wątpię. Rozumiem, że można ufać władzy, gdy się mieszka w jakiejś Holandii, ale w Federacji Rosyjskiej? Od innej interlokutorki dowiedziałem się, że to był największy problem Moskwy i że wszyscy są bardzo szczęśliwi, że tych sklepów już nie ma. Cholera, przez pół roku mieszkania tutaj nikt nawet nie zająknął się na temat tego, że mu to jakoś przeszkadza. Fakt, że czasem potrafił się przy tym robić bajzel (wyprawa na stację metra Carycyno to wyprawa w czasy barteru i wczesnych lat 90.), ale klientów nie brakowało, wydawało się, że ludziom całkiem pasuje, że można tak wiele kupić, idąc z lub do metra. Rozmawiając tak sobie z nimi, usłyszałem niemal te same zdania. Potem zaś zobaczyłem je w cytatach z mediów. Zostawiłem dla siebie pytanie: naprawdę was to nie rusza, że pod osłoną nocy, nierzadko łamiąc wyroki sądowe Federacji Rosyjskiej, pozbawiono ludzi dobytku życia? Że zniszczono obłądną ilość towarów, materiałów budowlanych, nakładów pracy? Że życia wielu rodzin zostały przewrócone do góry nogami i że ci ludzie nie znajdą sobie pracy za dwa tygodnie, bo na rynku pracy panuje tu katastrofa? Nie wesprzecie tych sklepikarzy choćby jakimiś podpisami internetowymi? Nie boicie się, że za chwilę w centrali pojawi się inny pomysł i wtedy to na was spadnie podobna atrakcja, z podobnie dętym i bezprawnym uzasadnieniem? Nie pytałem, bo wiedziałem, czego bym się dowiedział: że skoro im zniszczyli, to byli tam nielegalnie, a nawet jak się gdzieś tam pomyłono, to na pewno ogólnie to była w tym jakaś wyższa racja i że dzięki temu będzie nam wszystkim lepiej. Cieszy mnie, że mieszkanie w Moskwie pozwala mi na lepszą interpretację dość ciekawych zjawisk historycznych: w tym tygodniu zrozumiałem o wiele lepiej fenomen roku 1937 i jakim cudem to było możliwe.



Moskiewska szkoła urbanistyki – XXI wiek

Jaki kraj, taki Mad Max

[21.02.2016]

Chwilę już tu mieszkamy i byle co nie robi na nas wrażenia. To, że kiosk z gazetami ma magnesy i breloki z Putinem – norma. Sklep przy metrze oferuje koszulki z panem prezydentem – nic dziwnego. Auta z napisami nawiązującymi do II wojny światowej – ledwo je zauważam. Koszulki dla turystów, gdzie Putin kopie w głowę Obamę i mówi mu, że nie jest pod wrażeniem sankcji – jasne. Jednak gdy wracałem dzisiaj ze sklepu, zostałem powalony patriotyzmem kogoś odwiedzającego moich sąsiadów.





*Tak, oczy Was nie mylą! To jest Putin na tle Soboru Wasyla Błogosławionego.
Wow! Patriotyzm tak bardzo!*

Właściciel tej pięknej kompozycji musi być dorosły, bo ma prawo jazdy (chyba że jeździ bez...). Pozostaje mieć nadzieję, że po pijanemu przegrał jakiś zakład i dlatego tak pięknie udekorował swą limuzynę.

Dzień Obrońcy Ojczyzny

[24.02.2016]

Nasza rosyjska koleżanka zaprosiła nas na obiad. Na tymże spotkaliśmy jej kolegę, który jest prawnikiem, przez parę lat pracował dla policji w jednym z mniejszych miast europejskiej Rosji. Porzucił tę robotę, bo nie mógł znieść jakichś kilkuset rzeczy związanych z wykonywaniem zawodu. Przy trzecim winie podał nam rosyjską definicję prawa i pojęcia funkcjonowania policji:

– W Rosji na policję przychodzą ludzie, żeby się pożalić, że ukradli im pieniądze, które oni chcieli ukraść komuś innemu. Poważnie, tu się nie przychodzi na posterunek z czymś tak trywialnym jak kradzież kieszonkowa, każdy obywatel uznaje za najnormalniejszą rzecz na świecie, że im buchnęli portfel lub telefon w autobusie. Przez lata bycia policjantem przerobiłem to setki razy: ludzie przychodzą i otwarcie mówią, że chcieli kogoś wyruchać na kasę, ale on okazał się sprytniejszy i wyruchał ich. Zazwyczaj cała ich ścieżka do tego miejsca w życiu prowadzi przez nielegalne biznesy, w tym oczywiście omijanie podatków i wyzysk pracowników. A potem zjawiają się na komendzie i z rozbrajającą szczerością informują nas, że chcą, żebyśmy im pomogli i są dziko zdziwieni, że nie palimy się do tego. Kodeksowo patrząc, to jest horror, bo jak ja mam pomóc odzyskać pieniądze komuś, kto prowadzi jakąś budę, która nie jest zarejestrowana, on od lat figuruje jako bezrobotny, a chce kasę od drugiej osoby, która ma dokładnie taką samą osobowość prawną? Czyli jej zasadniczo nie ma. I ten mi mówi, że dogadali się, że on mu da coś tam, a tamten mu zapłaci pod stołem, żeby nie płacić podatków, a teraz mu tamten nie zapłacił i jest w dupie, więc oczekuje pomocy od nas.



*Patriotyczny akcent z pobliskiego kiosku.
Cena tego pięknego artefaktu to 120 rubli*

Koszulka w barwach holenderskich to zdobycz z Aszana. Była cała seria uświetniająca to doniosłe święto, w tym Wilk z Wilka i Zająca, ale zdecydowałem się na Cheburashkę – Krokodyla Gieni nie mieli. Za jedyne 299 rubli (około 15 PLN) zostałem dumnym posiadaczem cudu świadczącego o tym, że służę Rosji. Koszulkę wyprodukowano w... UZBEKISTANIE. Zastanawiamy się, kto bardziej traci twarz: Rosja, bo im szyją patriotyczne barachło

w Uzbekistanie, czy Uzbekistan, bo szyje patriotyczne barachło dla Rosji, z którą się rozstali parę lat temu.



W tym sezonie obowiązek wojskowy objął też Cheburashkę

Nikt nie oczekuje przecież od władz, że go sprawiedliwie potraktują. Władze są w najlepszym razie źródłem problemów, mimo wszystkich rankingów popularności, które oficjalnie przedstawiają się tak dobrze. Ostatnio kancelaria prezydenta ustanowiła specjalny departament, który ma za zadanie konstruowanie „prawidłowego” wizerunku kraju i jego prezydenta za granicą. Zamyśl polega tu na pomniejszaniu skali rozprzestrzeniania się negatywnych informacji, tak aby Rosja zaczęła przedstawiać się lepiej w oczach obcokrajowców. A jeszcze lepiej byłoby, rzecz prosta, gdyby władze powołały inny specjalny wydział – do poprawiania wizerunku kraju i pana prezydenta w oczach własnych obywateli.

Anna Politkowska, Rosja Putina

Autorka dostała ostateczną rekomendację Federacji Rosyjskiej: zamordowano ją za to, co napisała. Naprawdę, nie ma lepszego dowodu, że miała jakieś dwieście procent racji.

Prawnik z punktu pierwszego sprzedał mi jeszcze kilka rzeczy, w tym takie coś:

– 90% Rosjan nie wyjeżdża za granice kraju. Oni nie wiedzą, że inne życie jest możliwe. Nie mają pojęcia o tym, że można mieć życie poza pracą i że możliwe są inne relacje w robocie niż terror, strach, wyzysk, a po stronie pracownika oszukiwanie na godzinach pracy,

wynoszenie rzeczy z zakładu pracy i olewanie roboty. Że w innych krajach szef nie jest równoznaczny z Bogiem, a u nas lata socjalizmu sprawiły, że cały zakład leje po nogach, bo pan dyrektor przyszedł. Ilekroć spyta, czy wszystko działa, to naród powie, że oczywiście i że nasz brygadzysta jest najlepszy na świecie. Ta durna mentalność trzyma nas w realiach XIX wieku.

Powiedziałem, że Polska nie różni się przesadnie od tego modelu i że chyba dzięki temu jesteśmy tu w stanie jakoś żyć bez przesadnego uszczerbku na zdrowiu. Korzystając z tego, że trafił mi się taki fajny rozmówca, zapytałem o coś jeszcze. Kiedyś czytałem doświadczenia kogoś z Rosji i było tam, że Moskwa i Petersburg to zasadniczo nie Rosja, bo jak odjedziesz 50 kilometrów od tych miast, to trafisz w jakieś średniowiecze, gdzie życie wygląda tak, że jest jeden monopolowy i o 7:30 już stoi do niego kolejka (obecnie nie wolno sprzedawać alkoholu od 23 do 8 rano, dlatego może pojawić się spragniona kolejka o 7:30). Poza tym monopolowym będą jakieś urzędy gminy, pomniejsze sklepy z chińskim gównem i ciuchami z Bangladeszu, a pośrodku tego piekła gipsowy Lenin. Taką ktoś stworzył definicję Rosji poza największymi miastami. No i gadając z panem prawnikiem, rzuciłem tę myśl, bo trochę miałem nadzieję, że powie mi, że nie jest tak, że to zły obraz jego ojczyzny. Chciałem usłyszeć, że to bzdura i że tak nie jest, i że mieszkamy w kraju, który dba też o rozwój mniejszych aglomeracji, że warto sobie pojeździć po mniej flagowych miejscach, bo są urokliwe i przyjemne. No to usłyszałem, że tak, że dokładnie tak to wygląda. A potem zostałem zapytany:

– A wiesz czym się różnią te miejsciny? Nie? To ja ci powiem. Tym, że niektórzy mają większego gipsowego Lenina, a inni mniejszego.



*Ile to jest do murów Kremla? 30 metrów?
W tle widać Plac Czerwony, kawałek Soboru i GUM*

Powoli, acz zdecydowanymi krokami, zbliżamy się do pierwszej rocznicy śmierci Borysa Niemcowa – będzie ona miała miejsce 27 lutego. Jeżeli w natłoku spraw i nazwisk związanych z Rosją komuś umknęła ta postać, to spieszymy przypomnieć, o co się tu rozchodzi. Borys Niemcow nie był wielkim fanem Wołodii. Ba, był wręcz bardzo niewdzięcznym obywatelem, który pozwalał sobie na krytykowanie dokonań Rosji, w ostatniej fazie swego życia głównie nie bardzo chciał prowadzenia działań na Ukrainie. 1 marca 2015 roku miał odbyć się marsz przeciwko zaangażowaniu wojsk rosyjskich w tamtych rejonach byłego ZSRR. W godzinach wieczornych 27 lutego Borys Niemcow został zabity. Kilkadziesiąt, chyba nawet nie kilkaset metrów od kremlowskich murów. Z przejeżdżającego samochodu oddano strzały. Dokładnie pięć, szans na przeżycie nie miał żadnych – głowa, ważniejsze organy wewnętrzne, widać, że robota na zamówienie. Pamiętam, że z ukraińską koleżanką całkowicie zdurnieliśmy, gdy dotarł do nas ten news. Rok 2015 i jeden z przywódców opozycji zostaje zabity w centrum Moskwy? Wydawało się jednak, że w paru kwestiach Federacja Rosyjska będzie chciała się różnić od ZSRR. Cholera, to już nawet w późniejszym ZSRR takich wydarzeń nie było bardzo wiele. To były tylko kwiatuszki, jagódki były wówczas dopiero przed nami. No bo kto mógł zabić Niemcowa?

Czeczeni. Dlaczego Czeczeni mieliby zabijać człowieka, któremu nie do końca po drodze z Wołodią? Bo po tym, jak były zamachy w „Charlie Hebdo”, to Niemcow się źle wypowiedział o islamie. Tak to rozsierdziło Czeczenów, że przyjechali do Moskwy, znaleźli go i zastrzelili. Poza tym Czeczeńcy chcą zdestabilizować Rosję i osłabić pozycję Putina, bo wiedzieli, że zabicie Niemcowa od razu zostanie przypisane władzy. Poważnie. Poważnie. Poważnie, to jest wyjaśnienie, jakie oferuje się ludziom. To jeszcze mało: z zatrzymanych tylko jeden przyznał się do zabicia lidera opozycji. Potem jednak odwołał swoje zeznania i mówił, że wydobyto je torturami. Inny miał być ekstremalnym islamistą, którego komentarze Niemcowa doprowadziły do tego, że zapragnął go zabić. Problem tylko taki, że matka podejrzanego zeznała, że syn dziko wierzący nigdy nie był. Śledztwo trwa. To naprawdę wstyd, że w kraju w którym wiele lat temu robiono piękne procesy pokazowe, odstawia się taką fuszerkę. Ten biedny Stalin to się musi w grobie przewracać – narobić takiego hałasu, tak strasznie się w tym potem babrać i nie mieć żadnych rezultatów po niemal roku.

Śledztwo idzie tak powolnie, że grupa ludzi zainteresowanych nieco bardziej rozwojem spraw w Rosji postanowiła poświęcić czas wolny i zbiera podpisy, żeby organizacje bardziej europejskie pomogły w ustaleniu paru rzeczy – ludzie ci mają (na pewno zupełnie nieuzasadnione) obawy, że jeżeli nikt nie pomoże chłopakom, to może im się nigdy nie udać rozwiązać tej zagadki. Ba, sam Miedwiediew powiedział, że wyjaśnienie zabójstwa Niemcowa jest jednym z priorytetów Federacji Rosyjskiej. Niektórzy obywatele jakby nie do końca uwierzyli panu premierowi, więc zbierają podpisy na moście, dokładnie tam, gdzie zginął Niemcow. Krótka wymiana zdań z panem zaowocowała zaproszeniem na marsz pamięci w rocznicę śmierci. Pan powiedział, że w Warszawie też będą występować i żeby powiedzieć ludziom, żeby się przeszli. Mamy dzisiaj 23 lutego, a wystąpienie ma być 27. Nie mogę znaleźć niczego na necie, ale pozostaje nadzieja, że jednak parę osób postawi świeczki pod ambasadą Federacji Rosyjskiej.



*Dostałem nawet w prezencie to czasopismo, co tam leży obok kwiatów.
Kwiaty są zawsze*

Dzisiejsze święto powinno być dla ludzi takich jak Niemcow, Poltkowska, pan prawnik, który odszedł z policji, bo miał dość korupcji i bałaganu. Jest jeszcze Aleksander Nawalny, inne stowarzyszenia, które starają się, żeby wymiar sprawiedliwości nie był kpina, a wojsko siedliskiem patologii. Tych cichych bohaterów jest niemało i to dzięki nim jakoś to działa, a życie tutaj nie jest pasmem męki. Tacy ludzie, starający się zrobić coś z tutejszymi problemami, to prawdziwi obrońcy ojczyzny, a nie nacjonalistyczne grupy, które wylepiają samochody Putinem i żyją ciągle wspomnieniami Wojny.

[8.03.2016]



SZALEŃSTWO!!! KOT Z HARMOSZKĄ!!!

Na ziemiach polskich od wielu lat możemy śledzić zmagania dotyczące wyższości świąt Bożego Narodzenia nad świętami Wielkanocy. W Rosji tego dylematu nie mają. Jeszcze chwilę temu wydawało mi się, że Nowy Rok wygrywa wszystko, ale okazało się, że to jednak 8 marca jest świętem ostatecznym. Poważnie. Święto, które w Polsce nie daje nawet dnia wolnego, w Rosji cieszy się statusem jedynym w swoim rodzaju. Żeby pokazać skalę zjawiska: dnia 4 listopada celebrowaliśmy Dzień Jedności Narodowej, czyli rocznicę wygonienia Polaków z Kremla. Dzień pracujący, płatny 200%. 23 lutego był dzień Armii Rosyjskiej, też pracujący, też 200%. 8 marca, Dzień Kobiet. Wolne. Od tygodni sklepy promowały się na tę okazję. Niektóre łączyły to z dniem 23 lutego, który jest uznawany tutaj za dzień mężczyzny. Jedną z największych niespodzianek związanych z życiem w Rosji jest odkrycie boskiego statusu kwiatów, czyli cwiętów.



Cwiety. Sq. Wszędzie.

Byłem w paru miejscach na świecie, jednak całodobowych kwiaciarni nie spotkałem. Nie jest to jakieś pomniejsze zjawisko, w okolicy naszej stacji metra jest kilkanaście kwiaciarni, w tym całodobowe. Obstawiam, że żyją z tego, że jakiś chłop idzie pić, potem wraca do domu i odkrywa, że jest 3, a nie 23. Gdzieś między drugim a trzecim promilem kołacze mu się myśl, że będą sceny, więc kupuje trochę cwiętów i to z nimi wraca do małżonki. Ta wzruszona tym niesamowitym podarkiem wybacza mu pijaństwo, wstawia cwiety do wazonu, a potem udaje się smażyć jajecznicę, by wesprzeć ukochanego w walce o powrót do stanu umożliwiającego kierowanie pojazdem mechanicznym.

7 marca jeszcze przyszło nam pracować. Cwiety przyniosły stada ludzi. Królowały *tjulipany* (60-150 za sztukę – cena maleje z wzrastającą odległością od metra). Koło godziny 21, parapetu ledwo starczało, żeby pomieścić cwiety od uczniów dla nauczycielek. Miałem w pamięci słowa brytyjskiego kolegi: uważaj sobie, bo 8 marca jest raz w roku i jak nie przyniesiesz prezentów, to będziesz musiał czekać rok na możliwość rehabilitacji, a możesz w tym czasie potrzebować przysługi lub dwóch. Miałem trochę przemyśleń o tym, że korupcja, feudalizm, dziwaczne zwyczaje zahaczające o układ, ale im bardziej przybywa mi lat w metryce, tym lepsze soczewki zakładam na oczy i przytachałem pudełko czekoladek (niestety takich sobie, jak się okazało po otwarciu).

Reasumując: dość miło obchodzi się tutaj świeckie wynalazki, właściwie to niespodzianki. Wszyscy byli dla siebie wybitnie życzliwi i podawali życzenia przez znajomych znajomych. Internet w cwiętach i życzeniach. Zgodzę się z brytyjskim kolegą, że choćby cynicznie, musisz przynieść przynajmniej złamanego tulipana z przeceny dla koleżanek z pracy.

Do tego mam to szczęście, że lubię ludzi, z którymi pracuję, więc nie jest to jakiś dramat i jęczenie życzeń przez zaciśnięte zęby, gdy żółć spływa mi po bokobrodach. Sprawą innego kalibru jest pytanie, czy jednak Rosjanki nie wołałyby czegoś bardziej w stylu holenderskiego równouprawnienia niż smutnego hiacynta.

Na koniec dowcip:

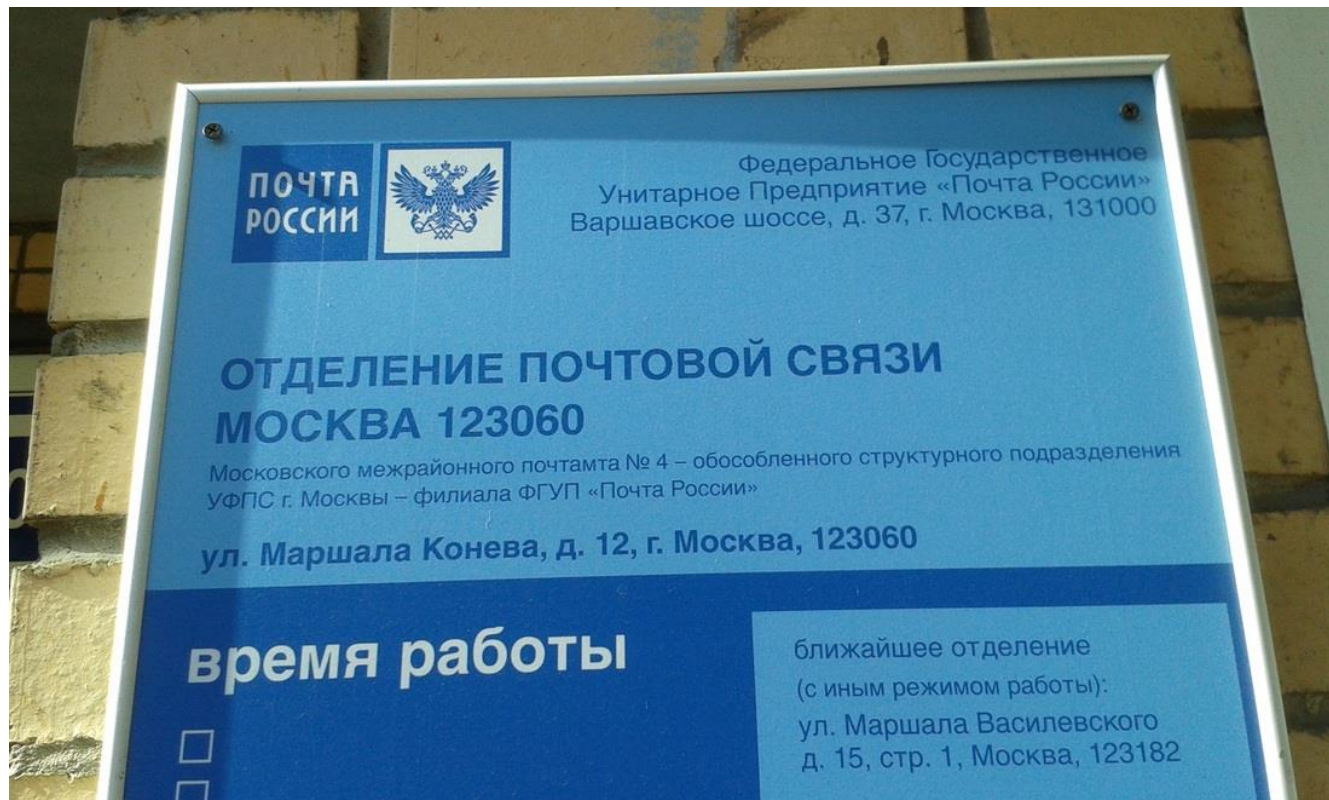
– *Jaki jest najwspanialszy organ kobiety?*

– *Nasze znakomite czasopismo „Sowietskaja ženszczina”.*



[27.03.2016]

– *Życie w Rosji pozwala mi docenić i zrozumieć, jak niesamowitą ewolucję przeszła Polska* – powiedziałem 26 marca podczas wizyty w jednej z placówek Poczty Rassiji. Nie powiem, że wybranie się na pocztę w Polsce powoduje, że jest mi dobrze, ale odwiedzanie Poczty Rassiji sprawia, że jest to doświadczenie niemal bajkowe.



Wyobraźmy sobie, że wymyśliło nam się, że wyślemy pocztówki. Mamy rok 2016, jakże skomplikowanym aktem może to być? No więc może, bo po pierwsze trzeba znaleźć pocztę – żadne ze znanych nam księgarń ani sklepów z pamiątkami nie sprzedają znaczków. Poczta mieszcząca się przy ulicy Twerskiej (ściśle centrum stolicy największego kraju świata) ma przerwę obiadową od godziny 13 do 14. Poważnie, zamykają całą budę i pierdol się, przyjdź sobie później lub wcześniej. Akurat tak się życie złożyło, że byłem tam o 13:50. Mogłem sobie niby poczekać te 10 minut, ale kolejka do drzwi miała rozmiar ośmiu osób. Niepisane prawo rosyjskiej poczty jest takie: jeden petent to 10 minut. Ośmiu petentów to ponad godzina. Poważnie. Ponieważ czasem muszę przyjść do pracy, to poddałem się i zostawiłem sobie bohaterski akt wysłania kartek na weekend.

Kolejne podejście wykonaliśmy w naszej dzielnicy Szczukino, w placówce pocztowej mieszczącej się przy ulicy Koniewa. Piszę te wszystkie detale, żeby ktoś nie pomyślał sobie, że wyolbrzymiam albo piszę o jakiejś fikcyjnej sytuacji.

Znaleźliśmy placówkę. Cud, sobota, a tu czynne, to już się zdziwiliśmy. Przed nami cztery osoby w kolejce. Są trzy okienka, ale tak naprawdę jedno: okienko numer dwa wydaje tylko opłacone przesyłki, w chwili gdy przyszedliśmy było zero zainteresowanych, no ale znaczków sprzedać nam nie chcieli. Okienko numer trzy to rozrywka z kosmosu, zajmuje się handlem ubraniami z Niemiec. Poważnie, na ruskiej poczcie prowadzą sprzedaż ciuchów w stylu Aldiego i reklamują, że niemieckie (tu tak jest, że wszystko niemieckie jest z definicji dobre – drugie miejsce mają Czechy). Z jakiegoś powodu bardzo mało produktów podkreśla, że są rosyjskie, konotacje jakościowe ludność ma nieco inne niż z Niemcami. Jedna starsza pani oglądała pod światło bluzkę. Tak ją ta bluzka zaciękała, że oglądała ją ze dwadzieścia minut. Chyba nie muszę mówić, że nie chcieli nam sprzedać znaczków.

Dobre dwadzieścia minut obsługiwano parę, która odbierała paczkę. Wymagało to spisania ręcznie wszystkich danych pani, potem wyszukania paczki. I to zajęło dwadzieścia minut. Potem inna pani nadawała przesyłkę, no to już wiedzieliśmy, że to musi być naście minut. Jest pewnie jakieś durne prawo, które głosi, że to pani z okienka musi spakować paczkę. Do tego spisywanie danych z dokumentu, wysyłki, zaczęliśmy przechodzić w fazę odjazdu. Przeczytaliśmy w tym czasie całą tablicę informacyjną. No nie była to lektura na miarę Bunina.

Potem był pan, którego oceniliśmy na przynajmniej 30 minut, ale nawet nie poszło mu źle: przyszedł po przesyłkę. Pani sprawdziła numer i powiedziała, że oczywiście to nie tu, ale ponieważ żyjemy w XXI wieku, to oni mają system śledzenia przesyłek. Wprawdzie wczoraj się nie łączył, ale może dzisiaj się uda. No i dzisiaj udało się, pani wpisała numer przesyłki i udzieliła panu informacji, że jego paczka jest w innym oddziale poczty. Potem spędziła około trzech minut, pokazując mu na mapie, gdzie też ten oddział się mieści. Okazało się, że dość daleko, więc jeszcze udzieliła info, na jaką stację metra ma pojechać i jakim autobusem jechać potem. Zgaduję, że samemu na necie nie mógł sobie tego sprawdzić, no chyba że go bawi spędzanie czasu w placówce Poczty Rosji, ale takich pojebów to raczej nie ma.

Gdy przyszedł nasza kolej, to miałem nadzieję, że zostanie nam poświęcone przynajmniej z dziesięć minut. Niestety, znaczki kupiliśmy w jakieś dwie, tyle szczęścia, że pani odmówiła wzięcia kartek i kazała je wrzucić do niebieskiej skrzynki pocztowej. Szczerze, nie zdziwię się, jak nigdy nie dotrą do adresatów.

W tym czasie kolejka do działu wydawania opłaconych przesyłek urosła z zera do sześciu osób. Okazało się, że wydanie opłaconej przesyłki to bardzo skomplikowana operacja. Poczyniłem mentalną notatkę: NIGDY nie wysyłać niczego z ani do Rosji.

Kilka dni temu gruchnął news, że gra planszowa *Kolejka* została zabroniona w Rosji, bo ośmiesza poprzedni system, który to był przecież super. W sumie nie wiem, po co ktoś miałby w to grać, wystarczy sobie iść do dowolnego oddziału Poczty Rosji i ma się na żywca. Tu jeszcze minie, zanim takie jaja będą kwestią nostalgii.

Pamiętam nie tak znowu odległe czasy, gdy skorzystanie z usług Poczty Polskiej było podobnym horrorem. Pojawienie się kurierów sprawiło, że czasy te odeszły w zapomnienie i obecnie Poczta RP sobie spokojnie zdycha. Gdy w wakacje korzystałem z jej usług, to udało mi się wszystko załatwić w jakieś pięć minut, a miałem trzy paczki do wysłania. Do tego było miło, uśmiechy, proszę pana, rzecz nie do pomyślenia jeszcze 10 lat temu. Niestety, w Rosji chyba nie uda się osiągnąć tego etapu rozwoju usług – jakiemu kurierowi opłacałoby się wozic przesyłki

z Krasnojarska do Władywostoku? Pozostaje więc cieszyć się tym, że mamy Poczte Rassiji, w której najprostsze rzeczy zajmują oceany czasu, ale przynajmniej bywa zabawnie. Jest to śmiech przez łzy, a ja jednak wolałbym jakąś burleskę.

Poczta to tylko wierzchołek góry lodowej. Jakość obsługi w rosyjskich sklepach potrafi wprowadzić w dzikie zdumienie. Oto kronika wypadków z ostatniego tygodnia, który to specjalnie nie różnił się od każdego innego.

Wtorek, sklep sieci Piateroczka (taka Biedronka). Nie mogę znaleźć ceny opakowania na ser. Idę do jednego pracownika:

– Brat, no przecież nie wiem.

Idę do pani w kurtce z napisami: Gdzie? Co? Za ile? Spytaj mnie, zawsze pomogę! Pani właściwie opierdala mnie, że śmiem ją pytać o cenę pudełka na ser („se kurwa wymyślił, burżuj jebany!”) i odsyła do kasy.

Czwartek, uniwersum Zebra, czyli spożywczo-monopolowy z naciskiem na monopolowy. Chłop przede mną ma dość wielkie zakupy. Pani mu wszystko kasuje, wychodzi trochę ponad 2000 rubli, czyli dość dużo jak na tutaj. Daje kartę. W zamian dostaje spizdol, że przecież w tej kasie nie obsługują kart i co on sobie myśli. Nie muszę chyba pisać, że żadnej informacji o tym nigdzie nie ma. W końcu kasują mu tę kartę w innej kasie, w tym czasie kolejki do obu kas wydłużają się trzykrotnie.

Piątek, Reserved, czyli flagowa polska sieciowa szyjąca oczywiście w Bangladeszach, ale czasem trzeba kupić gacie, a fair trade sklepu nie znaleźliśmy i podejrzewamy, że nie istnieje. Kobieta kupuje ubranka dla dziecka. Ma vouchery rabatowe. Szukanie kogoś, kto wie, jak te vouchery skasować. Dziesięć minut.

Sobota, znowu bieda sklep Piateroczka. Na kasie wybija mi 231 rubli. Daję 531. Pani robi mi spizdol, że nie mam dokładnie odliczonych 231 rubli, a poza tym to ona wie, że ja na pewno mam te 200 rubli, ale nie chcę jej dać. Powtórzę: to jest jedna z największych sieci w kraju, w tym oddziale mają osiem kas. I nie mają drobnych – jeżeli równe trzy setki rubli uznać za drobne.

Sobota, Pierekrestok (znajomi przychodzili wieczorem i wypadało mieć jakieś jadło i napoje, więc był tour po okolicznych sklepach). Pierekrestok to mniej więcej odpowiednik Almy. Alkodział, kupujemy dwa cydry. Wychodzi 148, dajemy 500. Litania o tym, że klienci powinni mieć odliczone pieniądze, a poza tym to na pewno by znaleźli, jakby chcieli, ale nie chcą i utrudniają życie pracownikom sklepu.

Swoje w Polsce przeżyłem, chroniczny brak drobnych to jeden z dramatów narodowych RP (do tego „grosika będę winna”, który to potrafi wkurwić do łez nawet stoika), ale jednak chodząc na zakupy, rzadko bywałem opierdalany za to, że śmiałem przyjść do sklepu. Każdego, kto wypisuje baśnie o tym, że Rosja jest taką super alternatywą dla zgniłego Zachodu, wysyłam do rosyjskich sklepów i na pocztę. Jedno popołudnie powinno poprawić optykę. Co myślę o USA, Brukseli, Londynie i Berlinie, to moje, ale dzięki życiu w Chinach i w Rosji skutecznie wyleczyłem się z romantycznych obrazów cywilizacji nieskażonych Ameryką i życiem bez standardów, bo rynek wyreguluje. Co wyreguluje to jego, ale wielu sfer nie wyreguluje i wtedy właśnie zostajemy opierdoleni za to, że śmieliśmy przyjść na zakupy. Idź do konkurencji? Ale tam jest dokładnie tak samo.

I akcent wizualny, oto papryka z promocji. Nie, to nie była jedna. Wszystkie takie były. Przeceniono je więc i zostawiono na półkach, bo przecież ktoś kupi.



Tak, drodzy czytelnicy, wygląda prawdziwa rosyjska pleśń

[27.03.2016]

Mieszkamy w Moskwie już prawie siedem miesięcy, więc uznaliśmy, że przyszedł czas na opisanie aspektów związanych z finansowym wymiarem życia tutaj. Jeszcze kilka lat temu Moskwa była miejscem, gdzie zarabiano się świetnie, a możliwości wydawały się nieograniczone – to słyszymy od ludzi, którzy są tu więcej niż trzy lata. Ostatnimi czasy (definiowanymi jako jakieś dwa lata) sprawa się ryła. Zapytał nas czytelnik, więc dzielimy się naszą, raczej skromną, wiedzą w temacie.

Dobre kilka razy zastanawialiśmy się, jak wygląda życie finansowe mieszkańców Moskwy. Zarobki to jeden z największych sekretów. Rosjanie nie lubią mówić o pieniądzu, podejrzewamy, że dlatego, że ich nie mają i jest im wstyd. Ogólnie przyjęte jest przeklinanie, że wszystko w stolicy jest cholernie drogie – to robią zwłaszcza przybysze z mniejszych miast, którzy przyjechali do Moskwy pracować, bo w innych miastach roboty albo nie ma, albo jest za takie żałosne pieniądze, że idzie się popłakać.

Można dywagować, czy Moskwa jest droga, czy tania. Da się Moskwę dość budżetować – jeżeli odjedziemy od centrum, to ceny w restauracjach znacznie spadają i mamy do czynienia z poziomem nawet lepszym niż w Polsce. Niedaleko od nas jest restauracja gruzińska, w której duże chaczapuri kosztuje 199 rubli, a piwo 129 – to jest tanio, no nawet na polskie realia to nie jest wiele. Specyfika rosyjskich restauracji jest taka, że jedzenie nie jest drogie, ale napoje to horror – zdarzało mi się jeść pizzę za 300 rubli i mieć do tego piwo za 450. Przez jakiś czas próbowałem przekonać jednego z moich rosyjskich znajomych, że naprawdę nie musimy chodzić na piwo do najdroższych lokali w mieście, bo znam dość fajne miejsca, gdzie nam dadzą plus minus to samo za 30% tej ceny. Nie mógł mnie zrozumieć, powiedział, że jak to? Wyjść na miasto i siedzieć w barze w okolicach jakiejś stacji Tuszyno lub Prospekt Mira? Nie, to musi być przy Kuźnieckim Moście. Moje argumenty o tym, że jakoś ta sama, a może nawet lepsza, nie spotykały się z żadnym zrozumieniem – jak się wychodzi do miasta, to się idzie do barów przynajmniej przy Twerskiej, gdzie panuje wściekły tłok, a małe piwo kosztuje 300 rubli. Mamy takie podejrzenia, że wielu Rosjan lubi iść na miasto raz na miesiąc, puścić kilka tysięcy rubli (przy tym dając napiwki na poziomie 20%), a potem miesiąc nie wychodzić nigdzie.

Osobno funkcjonuje kategoria „nadbogów”, których stać na to, żeby kupować sobie cały wieczór driny po 500 rubli. Przez jakiś czas myślałem, że w końcu coś musi zacząć tanieć, bo kogo na to stać, ale nic nie staniało, za to trochę rzeczy podrożało. Zrozumiałem w końcu, że w mieście o populacji 12 milionów zawsze będzie kilka osób, które stać na takie szaleństwa i przez to nic nigdy nie stanieje. Powiedzmy, że chodzenie do lokali nie jest potrzebą podstawową, więc jeżeli umówimy się w parku lub mieszkaniu prywatnym, to możemy sobie zjeść i wypić za kilka stówek.

Jeszcze z mitów o Rosji: przez miesiąc wierzyłem, że w miejscach publicznych można pić napoje alkoholowe do 10%. Jednak pewnego wieczoru miałem spotkanie przy Patriarszych Prudach z policją, która to pouczyła mnie, że nie wolno pić piwa nad stawem. Szczęśliwie, nie skasowali mnie, tylko kazali wyrzucić trunek i amen. Pouczyli mnie też, że jak mam ochotę

na piwo, to tu obok jest knajpa. Oczywiście z piwem po 400 i bez stawu z Bułhakowa (bo moja wizyta z piwem na Prudach była w ramach oprowadzania osoby wizytującej po miejscach z książki idola). Takie jaja to jednak raczej tylko w centrum – pewnego wieczoru widziałem zataczającego się chłopca z piwem, który mijął patrol policji i właściwie na nich wpadł. Panowie nie byli nim zainteresowani. Jeżeli pogoda pozwala, to pod sklepem siedzi drużyna walcząca z trzeźwością, a policja przechodzi, nie interesując się nimi w ogóle.

Wracając do aspektu finansowego, no bo chłanie nie jest jedyną składową rzeczywistości finansowej: nas ratuje to, że mamy opłacone mieszkanie z rachunkami, płacimy tylko za internet. Dzięki temu jesteśmy w stanie dość dokładnie planować wydatki, bo nie wpadnie nam nagle, że za wodę przyszło więcej, a za prąd to już się idzie popłakać. Z tego, co widziałem po ogłoszeniach, to mieszkanie w naszej okolicy kosztuje około 40k rubli miesięcznie. Rachunki to podobno około 5k rubli. Net jest super i kosztuje nas jedyne 500 rubli miesięcznie. Ponieważ nasza praca związana jest z jeżdżeniem po Moskwie, to pracodawca daje nam bilet na 60 przejazdów, wartość w kasie to 1570 rubli (było 1400, ale podróżało). Szczęśliwie, metro i miejskie trolejbusy mają zintegrowany system płatności. Prywatne marszrutki to inna opowieść, ale ogólnie na transport nie wydajemy prawie nic.

Nie zrozumieliśmy i zapewne nie zrozumiemy nigdy, jak możliwe jest to, że ludzie tu żyją za oferowane wynagrodzenia. Sklepy płacą 30-35k miesięcznie. Słyszeliśmy, że korporacje finansowe podobnie. To przecież nie wystarcza na opłacenie mieszkania – zapewne dlatego całkiem niedaleko od nas jest hostel w ruderze, gdzie mieszkają przyjezdni, nierzadko etnicznie odmienni od Słowian. Jedna z naszych rosyjskich znajomych jest księgową. Wynajmuje mieszkanie z drugą osobą. Ta jest lekarką. Miesięcznie płacą po 20k. Nie mieszkają w centrum (delikatnie mówiąc), ale przynajmniej mają blisko do pracy. Obie mówią, że same nie byłyby w stanie opłacić mieszkania.

To pokazuje, jaki jest poziom życia moskwičan – bo poza stolicą niestety jeszcze wiele nie byliśmy, ale wiemy, że jest biedniej. Słyszałem, że jak w takim Ułan Ude jest praca, to płacą 10-15k rubli. Słyszałem o Wołogdzie, że 20k tam to już jest solidna pensja. No nie jest to nawet 300 USD, a Wołogda to jeszcze nie ostatnia nora Rosji. Może górnicy w Norylsku mają lepiej, ale wszyscy zgodnie mówią, że miejscem do zarabiania w Rosji jest Moskwa. A tu jakby wszystko zastygło kilka lat temu – gdy dolar kosztował trochę ponad 30 rubli, więc pensja 30k to było 1000 USD. W tej chwili to nie jest nawet 500 USD. Oczywiście ceny mieszkań i jedzenia spokojnie sobie poszybowały, zarobki już nie. Tu wszystko drożeje, bo jest niski kurs rubla. W tym rosyjska marchewka. Jak o to kiedyś zapytałem, to się dowiedziałem, że to dlatego, że nawozy są sprowadzane z Niemiec. Trochę jak benzyna w Polsce, która do góry idzie bardzo szybko, ale w dół jakby wolniej (a najlepiej nigdy).

Znajomy inżynier pracujący dla wielkiej firmy narodowej nie zdradził mi nigdy swoich zarobków, ale powiedział, że mniej niż ja. Do tego, gdy spotkaliśmy się w styczniu, to zadał pytanie:

- *A jak twój pracodawca zareagował na kryzys i spadek wartości rubla?*
- *W ogóle, nie dali nam żadnych wyrównań ani podwyżek.*

Zbaraniał, że ja w ogóle miałem taki pomysł. U niego pozwalniano ludzi i wszystkim obniżono pensje o 10%, uznał więc, że po pierwsze jestem szczęściarzem, że mi nie obniżono wynagrodzenia, a po drugie, że jestem solidnie jebnięty, że mam takie pomysły, że mogliby mi dać jakąś podwyżkę. Nie wgłębiałem się już w to, że parę rzeczy dla naszych uczniów podrożało, a uzasadnieniem tej sytuacji był właśnie spadek wartości rubla.

Gdy w roku 2008 mieszkałem w Irlandii, największym szokiem dla mnie było to, że minimalna płaca pozwala na dość wygodne życie. W Rosji posiadanie nawet pracy, która jest dość prestiżowa, to nieco bieda życia. Oczywiście w całkiem innej konstelacji są politycy i ich rodziny. Przepaść w zarobkach jest astronomiczna, obstawiam, że ruski polityk zarabia lepiej niż jego odpowiednik w USA, Holandii i Kanadzie. Coś ostatnio widziałem o pensji 500 tysięcy miesięcznie dla jednego z ministrów, ale było to pisane w kontekście tego, że chłop ma taką ilość mieszkań, że w życiu by z tej oficjalnej pensji ich nie kupił.

Fascynujące jest to, że Rosja opłaca ludzi, żeby budowali pozytywny obraz życia w tym kraju. Już by lepiej dali ich pensje emerytom albo służbom porządkowym, więcej by z tego było pożytku. To samo robią Chiny i efekty tego są podobne. Jakoś nigdy nie słyszałem, żeby takie cuda wyczyniała Kanada lub Holandia, a kraje te są postrzegane przez ogół jako dość fajne i przyjazne obywatelom.

A jeszcze o emerytach: coś gdzieś widziałem, że 6700 to minimalna emerytura. Parę miesięcy temu rosyjski deputowany próbował przeżyć za minimum do przeżycia. Skończył, łowiąc ryby pod miastem i dość dobrze schudł. W tym wszystkim parę dni temu Miedwiediew był łaskaw ogłosić, że żywność staniała i dlatego zmniejszają dochód minimalny. Może na Kremlu mają jakiś sklep i coś im tam staniało, bo u nas wszystko drożeje w tempie około 10% na trzy miesiące. Bywają lepsze skoki, ostatnio pieczarki poszły z 99,5 na 145, a pomidory to widuję i po 330 (a bywały dni, że kupowałem po 89). Podnoszą też akcyzę, więc już doczekać się nie mogę, aż piwo i wino podrożeje jeszcze bardziej.

Wracając do aspektu finansowego, jak już popracujemy i odbierzemy wynagrodzenie, to w Moskwie nie brakuje miejsc, które dołożą wszelakich starań, żeby pomóc nam rozstać się z walutą. Jeżeli rozpędzimy się i pójdziemy na zakupy do ładniejszych sklepów, to nawet nie szalejąc, zostawimy na kasie przynajmniej 1000 rubli, a raczej dwa. Jednak moim ulubionym rozdziałem dotyczącym pieniędzy w Moskwie jest telekomunikacja. Salony telefonii komórkowej mogą tu spokojnie posłużyć za materiały do pracy doktorskiej o tym, jak nie udaje się implementacja kapitalizmu na socjalizmie. Jeden koło naszej stacji metra permanentnie szuka pracowników. Zgaduję, że im po prostu nie płacą, więc po miesiącu ludzie się zawijają. Jeżeli trafi wam się kiedyś Rosjanin i chcielibyście rozkręcić z nim rozmowę, to zapytajcie, co myśli o swoim operatorze komórkowym. Nauczycie się nowych przekleństw po rosyjsku. Jeżeli myślicie, że Plus, T-Mobile i Play to bandyci, a do tego fatalna jakość obsługi, to zaręczam, że da się gorzej. Jakoś mnie to bardzo nie cieszy, ale Beeline lub Megafon to miejsca, gdzie odkrywamy, że klient to intruz, którego należy ukarać za to, że ośmielił się kupić kartę lub telefon. Nabycie karty SIM jest związane ze spędzeniem nastu minut na obcowaniu z jakimś przygłupem, który nie rozumie tego, jak wygląda wiza pracownicza i jest gotów poinformować nas, że obcokrajowcowi nie wolno mieć ruskiego numeru. A jak już go przekonamy, że nasze zameldowanie jest dobre, to okaże się, że nie daje sobie rady z obsługą systemu. Przerobiłem to dwa razy – raz dla siebie, raz dla Aligatora – i bardzo doceniam to, że wiele rzeczy da się

załatwić przez internet. Na razie ruscy operatorzy wyruchali mnie na 800 rubli, co i tak jest małym wymiarem kary. Standardem jest naliczanie opłat i ściąganie nam balansu konta do wartości ujemnych – kiedyś dostałem smsa o tym, że naliczono mi za rozmowy międzynarodowe i zalegam im 400 rubli, wykonywanie połączeń zostało zawieszone. Kurwa mnie wzięła, bo akurat musiałem zadzwonić, a tu się nie da, jest godzina 20, ja na zadupiu – w końcu złapałem internet z metra i napisałem, co musiałem. Dopiero wizyta w salonie Megafon pozwoliła na uwolnienie się od usługi „bezpłatne rozmowy międzynarodowe” (bezpłatne, czyli za 400 rubli) – nie muszę chyba pisać, że wcale sobie tego nie włączałem. Za kolejne 400 rubli zgodzono mi się to wyłączyć i nie ściągać tej należności co miesiąc. A żeby to był dowolny salon, a gdzie tam, trzy musiałem odwiedzić, zanim znalazłem taki, który pozwalał na wyłączenie czegoś, czego nie chciałem i nie zamawiałem. To i tak są jeszcze pocieszne opowieści, jeden z moich dorosłych uczniów ma wzruszającą historię o tym, że pewnego dnia walnęli mu opłatę w wysokości 1000 rubli. Popisał sobie pisma, których rezultatem było to, że powiedzieli mu, że ma zapłacić, bo jak nie, to mu zabiorą numer. Nie dowiedział się za co, ale ponieważ numer mu był potrzebny, to karnie zapłacił.

Innym sukcesem implementacji systemów rodem z Zachodu są premie motywacyjne dla naszych pracowników administracyjnych za otwarcie nowej grupy. Ten tydzień upłynął mi na dramacie uczennicy Ariny, którą stestowano na grupę, nazwijmy to na potrzeby tych zapisków, 2. Po kilku tygodniach tamże Arina zgłosiła, że po pierwsze wszystko jest za łatwe, a po drugie to ona ma szesnaście lat, a ludzie w grupie po dwanaście. Ponieważ mam poziom 3, to Arina przyszła spytać, czy może spróbować u mnie. Zgodziłem się, bo ta grupa to za mocna nie jest i w innej szkole moja grupa z poziomu 2 jest lepsza od nich. Po dwudziestu minutach już widziałem, że dziewczyna spokojnie daje sobie radę i jest lepsza niż połowa uczniów. Powiedziałem więc, że witam na pokładzie, miło mi, oczywiście, że możesz tu przychodzić jako uczennica numer 9 – dużo, ale jeszcze da się żyć, poza tym często tam kogoś nie ma. Rozpętał się dramat, bo w grupie poziom 2 zostały tylko trzy osoby, więc jeżeli się ktoś nowy nie zgłosi, to mogą ją zamknąć. Zapytano mnie tylko pięć razy, czy jestem pewien, że Arina może być w grupie 3, a nie 2. No uparłem się, że może być w grupie 3, bo dziewczyna naprawdę potrafi – a bardzo chciano, żebym powiedział, że nie może i że jest za słaba. Dwa dni później byłem przypadkowym świadkiem tego, że wezwano rodziców Ariny. Jeżeli dobrze zrozumiałem: najpierw przekonano ich, że Arina powinna zostać w grupie numer 2. Następnie wspólnymi siłami chciano zmusić dziewczę, żeby tam wróciła, a że za rok sobie pójdzie do grupy numer 3. Panna była na krawędzi łez i łamiącym się głosem tłumaczyła dorosłym, że jej się moje 3 dużo bardziej podoba i że są tam fajniejsi ludzie (bo też mają po 15-16 lat) i nie chce wracać do 2. Nie wiem, jaki będzie finał tego dramatu, ale w najgorszym razie jakoś ją wyciągnę z tej dwójki z dziećmi – panna słucha Nirvany, Rammsteina i ogólnie metalu, więc plus 10 na wejściu za koszulkę Venoma.

Dalej, znając szczodrość naszej organizacji, to premie za otwarcie grupy nie mogą być jakieś ogromne, zdziwiłbym się, gdyby to było 5k rubli, bardziej coś koło 2k obstawiam. No ale nawet niechby to było 10k. Czy cywilizowany, dorosły człowiek robiłby taki cyrk dla tych pieniędzy? To jest pewien dramat Rosji i Rosjan roku 2016: jak można się zachowywać dla równowartości kilkuset złotych? Jeszcze rozumiem, żeby to robił ktoś bezdomny, ale to osoba,

która ma wypasiony dom pod Moskwą. Trochę temu przerobiłem maile z działem finansowym o oszalamiające osiemnaście dolarów. W Gruzji była ciężka nędza i bezrobocie, ale gdyby ktoś odważył taki numer, to chyba wioska by o tym gadała pół roku, że wstyd dla rodziny i że jak można było to dziewczynie zrobić. No a tu kombinują. Potem otwierasz gazetę i dowiadujesz się, że UE jest na kolanach, a USA to już na krawędzi przepaści. Jak UE jest na kolanach, to Federacja Rosyjska leży plackiem w przepaści. Przeciętny sprzedawca hot dogów w Monachium zarabia więcej niż wykwalifikowany Rosjanin z doktoratem. Zresztą jakie Monachium, to kasjerka z Biedry w Sosnowcu ma więcej na rękę niż wielu moskwczan.

Szczęśliwie pieniądze to nie wszystko. Życie tutaj związane jest też z pracą z wieloma ludźmi i to jest szczęście. Są to ludzie, którzy sprawiają, że odkrywamy poziom wykonywania tego zawodu, o których nam się wcześniej nie śniło. Cały dział naukowy to profesjonaliści, którzy prędzej by się powiesili, niż zeszmacili dla choćby 50k rubli. Kilka dni temu byliśmy na takim szkoleniu, że w sobotni wieczór streszczaliśmy je współpracownikom, bo tak rewelacyjnie było zrobione. Także na płaszczyźnie bardziej codziennej mamy szczęście pracy z solidną liczbą naprawdę zajebistych ludzi z różnych krajów, w tym bardzo wielu Rosjan, którzy mają poczucie humoru i potrafią być dla nas inspiracją na wielu płaszczyznach. Gdy parę tygodni temu miałem wywiad zawodowy, to nagle się dowiedziałem tylu miłych rzeczy o sobie, że nie sądziłem, że to możliwe (sześć stron A4 tabelki tego, że na każdej płaszczyźnie wykonuję mój zawód zgodnie z najwyższymi standardami, a w paru miejscach nawet powyżej oczekiwań). Sytuacje w stylu krzyków „you unprofessional” czy „you don't understand China-Russia” są czymś niewyobrażalnym. Uczniowie potrafią z jednej strony doprowadzić swym lenistwem i telefonami komórkowymi do łez, ale miewają takie przebliski, że człowiek sobie przypomina, czemu nie zasiada na kasie w monachijskim Lidlu. W końcu nikt nie zostaje nauczycielem, żeby zarobić fortunę. A jeżeli już ma taki pomysł, to na pewno nie pracuje w Moskwie roku 2016.

[9.04.2016]

Jest taka strona Change.org. Służy ona do podpisywania wszelakich petycji. Kilka miesięcy temu ustawiłem sobie, żeby mnie informowali o wydarzeniach w Rosji. Same petycje działają tak, że się je podpisuje, wysyła, a potem nic się nie dzieje, niemniej możemy czuć się lepiej, że coś zrobiliśmy, no ale nie wyszło. Trochę byłem zdziwiony, gdy pewnego dnia okazało się, że dzięki temu, że zebrało się ileś tysięcy osób, to jakieś starszce władze miasta pomogły – przysłali podziękowania, gratulacje i zapewnienia, że to wszystko tylko dzięki tej petycji, ale to było jakieś ciężkie syberyjskie zadupie, gdzie władza pewnie pomogła bardziej z nudów niż z tego, że się wzruszyli, że ileś tysięcy podpisów. Petycje, które dostają, traktuję jako swoisty newsletter dotyczący dramatów rozgrywających się w Rosji roku 2016 (a wcześniej 2015). Ósmego kwietnia dostałem petycję, że chcą zamykać kocią kawiarnię w Moskwie. Zdurniałem i przeczytałem. Oczywiście okazało się, że uzasadnienia nie ma. Jak mawiał towarzysz Stalin: to nie jest wyjaśnienie. To są kpiny z wyjaśnienia. Rada miasta chce zamknąć kocią kawiarnię, bo nie może być tak, że zwierzęta łążą sobie, jak ludzie piją kawę i jedzą.

Do kocięj kawiarni chcieliśmy się wybrać już jakiś czas temu, ale baliśmy się, że wyjdzie drogo, a że w Moskwie są inne rzeczy do robienia, to jakoś nam to spadało z grafiku. Gdy jednak dowiedzieliśmy się, że chcą ich zamykać i że politycy są przeciwko, pognaliśmy od razu. Rosyjska władza działa trochę jak kościół katolicki: jeżeli są przeciwko czemuś lub komuś, jeżeli chcą kogoś zamykać lub cenzurować, to znaczy, że mamy do czynienia z osobą, miejscem lub instytucją, która jest porządna, robi coś dobrego i ma coś ciekawego do powiedzenia. Najczęściej prawdę. Dlatego też chcą ich zamknąć, ośmieszyć lub skompromitować.



Wejście do kocięj siedziby

Do kocięj kawiarni najbliższej jest ze stacji Cwietnoj Bulwar, z 10 minut spaceru po średnio podniecającej okolicy. Przed wejściem mamy kocie pomniki. Za drzwiami czeka przedpokój i drewniana krata. Pani spytała nas, czy mamy rezerwację. Zacząłem po rosyjsku, po dwóch zdaniach powiedziała, że możemy sobie rozmawiać po angielsku. Powiedziałem więc, że nie mamy rezerwacji, ale nasi przyjaciele dali nam do podpisania apel, że chcą was zamykać, więc go podpisaliśmy i chcieliśmy zobaczyć, jak to wygląda, zanim władza zamknie. Pani się wzruszyła – nie wiem czy tym, że obcokrajowcy, czy tym, że apel – i pozwoliła nam wejść, chociaż było solidnie pełno i ludziom po nas kazała sobie poczekać.

Kotokawiarnia ma więcej reguł niż międzynarodowe lotnisko. Większość z nich jest raczej oczywista, ale zapewne zdarzają się ekscentryczni klienci, dla których nie jest rzeczą jasną, że kota nie można ciągnąć za ogon, a i darcie dupy na cały lokal to nie do końca oczekiwane zachowanie.



Część kuchenno-kawiarniana kocięj kawiarni

Na wejściu należy zdjąć obuwie, przywdziać crocasy, ochraniacze na nogi lub łaźić w skarpetkach. Dzięki temu mają ładne panele podłogowe i nie nanosi się syf. Ciekawostką jest to, że zwykła kawa i herbata są za darmo, płaci się za minuty siedzenia w tym wyjątkowym miejscu. W weekendy cena wynosi 8 rubli za minutę, ale np. w poniedziałek rano to tylko 3. Przekraczamy magiczne wrota, dostajemy zawieszkę na szyję i możemy cieszyć się darmową kawą, grami, puzzlami, a przede wszystkim kotami. Tych na stanie jest około dwudziestki. W czasie naszej wizyty niemal wszystkie twardo spały, niektóre do tego dość wysoko, więc nie mogliśmy ich omamiać zabawkami, których imię to legion, jedynie mogliśmy cieszyć się miękkim futerkiem kotów pogrążonych w komie/komach. Dostaliśmy po kawie, połaziliśmy

po lokalu, posiedzieliśmy, żeby mieć pewność, że nasz pobyt przyniesie profit miejscu, i tyle. *Merchandise-gift shop* jest epicki, są magnesy, pocztówki, puzzle, ale niestety, koszulki były raczej w rozmiarach bardzo dalekich od noszonych przeze mnie.



Quasimodo na inspekcji śpiących kotików

Na plus: jest pokój do którego odwiedzający nie mogą wchodzić. Tam siedzą koty, które akurat nie mają ochoty pracować.

Na minus: były dzieci. To, jaki robiły chlew i jak się wydziały (przy biernej postawie rodziców)... Obudziłyby Łazarza lepiej niż Jezus. Szczęśliwie, koty pozostawały niewzruszone.



Fajne życie...

Koto-cafe nie jest tylko maszynką do robienia pieniędzy i sprzedawania baracha. Miejsce istnieje niewiele ponad rok, ale w tym czasie udało im się znaleźć domy dla ponad sześćdziesięciu kotów. Na wejściu pani nas spytała, czy jesteśmy zainteresowani wzięciem sobie kota. Bardzo jesteśmy, ale niestety nasz tryb życia na to nie pozwala.

Czasem zdarza się, że po jakimś czwartym piwie ludzie pytają mnie, czy jest coś czego brakuje mi w życiu na emigracji. Spodziewają się odpowiedzi, że piwa Żywiec lub serka topionego Żłoty Ementaler. Tych rzeczy w jakimś tam sensie brakuje (przy czym Chamowniki biją Żywca na głowę, a ser Karat Żłotego Ementalera), ale dużo bardziej brakuje nam np. obchodzenia urodzin i rocznic wspólnie ze znajomymi. A najbardziej – zwłaszcza tej połowie z nas, która całe życie miała koty – posiadania w domu zwierzęcia. Dzięki istnieniu koto-cafe było nam dane na chwilę mieć kota, a nawet kilka. Chcielibyśmy mieć dalej tę opcję, więc jeżeli dotarliście aż tutaj, to może zechce wam się postawić kukułkę pod petycją. Oczywiście, że adresaci się nią podetrą. Traktujcie to proszę jako możliwość stworzenia ogromnej rolki papieru toaletowego dla moskiewskich polityków. A my mamy nadzieję odwiedzić kotiki ponownie zanim je zlikwidują.



<3

Spasiba diedu za pobiedu

[23.05.2016]

Stając w obliczu obchodów Dnia Zwycięstwa w Rosji mamy dwie możliwości:

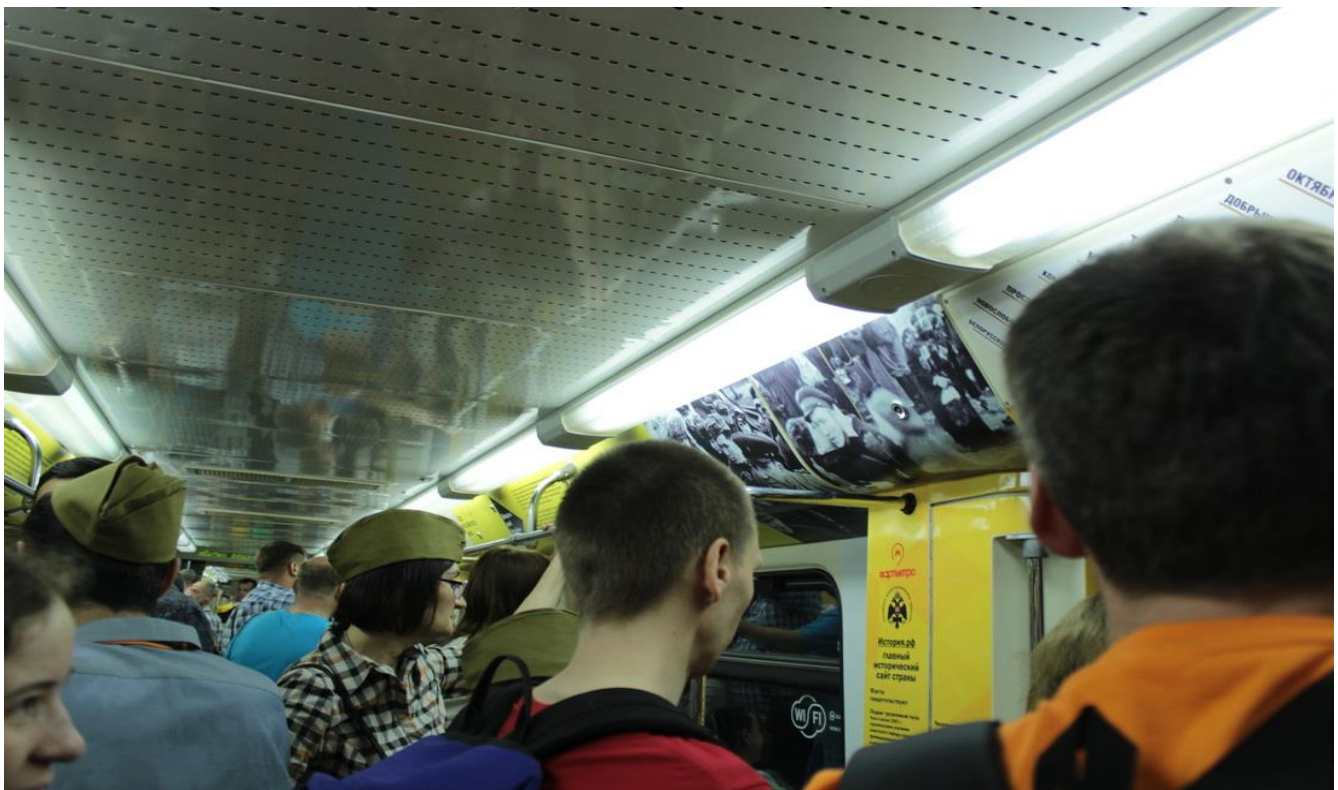
- Podejść do sprawy racjonalnie, przemyśleć wydarzenia związane z prowadzeniem działań wojennych w latach 1939-1945, obruszyć się, że Rosjanie uważają, że wojna zaczęła się 22 czerwca 1941 roku, a o 1939 nie mówi tu nikt. Dorzucić parę smaczków, w stylu: organizacja obrony Moskwy, rzeź w kotle Wiaźmy, gwałty i rabunki dokonane przez Armię Czerwoną, wysyłka wracających z niewoli do gułagów, Katyń, deportacje do Kazachstanu i na Daleki Wschód. Potem dojść do wniosku, że po prostu nic, tylko świętować i się cieszyć, że wygrali wojnę, którą w jakimś stopniu rozpętali.
- Inna opcja: wrogie siły naruszyły terytorium ZSRR, ale my i tak dowaliliśmy faszystom! Dziadek doszedł do Berlina! Oswobodziliśmy świat od nazistów. Ukraińcy, Białorusini, Polacy, Czesi, Słowacy i jeszcze parę innych nacji – będą nam wdzięczni do końca świata! To Związek Radziecki/Rosja zaprowadził(a) pokój po największym konflikcie w dziejach ludzkości. *Spasiba diedu za pobiedu!*

Pierwsza opcja grozi utratą paru znajomych. Druga jest dość konformistyczna, ale wspaniale współgra z rzeczywistością. Chwilę się wahaliśmy i wybraliśmy bramkę numer dwa.

Imponuje nam poziom organizacji takich wydarzeń: o ile w zwykły dzień roboczy nie wszystko musi działać, o tyle na święto maluje się trawę na zielono, a krawężniki na białą. Do tego widać, że władza myśli, bo ilość wydarzeń związanych z obchodami końca wojny jest obłędna – każdy park miał swój program. W sumie dopiero dzięki temu świętu odkryłem, że niemal wszystkie parki Moskwy mają stronę internetową, a na nich dość często jest niemało wydarzeń. Każdy znajomy Rosjanin mówił nam bardzo wyraźnie, żeby nie pakować się do centrum, bo tam będzie horror, ale już wydarzenia w parkach na obrzeżach stolicy polecano nam z całego serca.

W centrum po raz kolejny zorganizowano wydarzenie „przynieś zdjęcie dziadka”. Inicjatywa jest z definicji apolityczna, trwa od kilku lat i ma na celu uczynić obchody bardziej osobistymi. Kusilo i mnie przynieść zdjęcie krewnego, ale nie wiem, jak zareagowałiby na faceta w mundurze AK. Dodatkowo mogłem zaoferować opowieść o tym, dlaczego dziadek wrócił do domu dopiero w 1946 (bo zasiedział się w radzieckim pierdlu). No więc z racji podniosłego nastroju staraliśmy się koncentrować raczej na bardziej festiwalowej stronie przedsięwzięcia, bo racjonalne podejście do sprawy groziło depresją.

Już 8 maja w czternastu parkach Moskwy zorganizowano pokazy filmów patriotycznych. Brzmiało groźnie, ale nie było źle, poszli dość ambitnie: *Los człowieka*, *Lecą żurawie*, *Tak tu cicho o zmierzchu*, *Towarzysz generał*, *Ballada o żołnierzu*, *Zapamiętaj imię swoje*. W sumie to byłem zdziwiony, bo większość tych dzieł to nieco depresja. Chociaż Rosjanie to lubią popatrzeć na jakąś patologię, nędzę i smutek, a potem refleksyjnie stwierdzić, że w sumie to teraz jest dobrze, a tamte trudności udało im się pokonać, więc co tam jakieś pomniejsze problemy XXI wieku.



Żołnierska moda królowała nawet w metrze



Patriotyczny trolejbus

Akcja ze zdjęciem jest genialnym pomysłem: w metrze pełno było osób z fotografiami przodków. Nie tylko Słowianie, widywało się Azjatów i pochodzących z Kaukazu. Było jednak dość smutno, bo wiele osób miało podpisy, które głosiły, że nigdy nie wrócił/wróciła do domu, że zginął tego i tego dnia. Czuć było jedność, wyjątkowo nikt się nie przepychał, a ludzie ze zdjęciami lgnęli do siebie. Przechodząc koło parkowej ławki, usłyszałem kawałek rozmowy – kobieta może czterdziestoletnia opowiadała z łzami w oczach o tym, że babcia służyła w Armii Czerwonej. Przeżyłem jedną rocznicę zwycięstwa w Gruzji, ale tam nie było aż takiego szalu. Tu jest to jeden z najważniejszych dni w roku. Nie jestem go w stanie porównać z niczym mi znanym. Poszliśmy do parku Fili, pełno było tam osób w patriotycznych koszulkach, niemal każde dziecko miało czapkę Armii Czerwonej, a dobre 80% ludu przynajmniej wstążki.

Przemysł pamiątkarski również potrafi sprawić, że mówi się „wow!”. Można było kupić koszulki, naklejki, słodycze, czapki, medale, flagi, dekoracje do samochodu, oczywiście wszystko to upamiętniające wielkie zwycięstwo. O dziwo, nie widziałem żadnego alkoholu powiązanego ze świętem – obstawiam, że władza zabroniła, bo gdyby nie, to na pewno pojawiłaby się wódka Pobjeda, piwo Zwycięskie, chlali by to pod osiedlowym monopolem. Potem leżałyby butelki z hasłami patriotycznymi, do tego mógłby pojawić się paw zwycięstwa, więc nieco głupio, bezpieczniej dać narodowi coś w stylu słodyczy. Wstążki upamiętniające zwycięstwo rozdawał nawet pobliski bar sushi. Udało nam się też dostać chorągiewkę od komunistycznej partii Rosji.



Czy jest lepszy sposób na promowanie patriotyzmu u najmłodszych niż czekoladowe medale?



W tym wszystkim jest jeden wielki nieobecny. Józef Stalin. Nie znajdziemy niczego poświęconego architektowi zwycięstwa, generalissimusowi z Gruzji. Żukow ma pomnik przed Placem Czerwonym, ale generała przy okazji obchodów też nie eksponują. Oczywiście nie ma też nic o wielkiej roli NKWD (w tym ojca pana prezydenta). Wbija się raczej obraz prostego Iwana, który wyszedł z jakiegoś Woroneża, bo mu ten Woroneż zbombardowali, więc się wściekł, poszedł walczyć i tak szedł, że aż zdobył Berlin. Po drodze zakochał się w jasnowłosej sanitariuszce, a potem żyli długo i szczęśliwie. To już nawet nie poziom *Losu człowieka*, gdzie jednak jest dość dużo smutku i dramatu. Obawiam się jednak, że na inną opowieść o wojnie Rosja nigdy nie będzie gotowa. Wiele osób zaangażowanych w konflikty zbrojne zostawało wielkimi pacyfistami, bo jak doświadczyli działań wojennych, to stwierdzali, że już wszystko inne jest lepsze. Kilka miesięcy temu jakiś weteran napisał do prasy, że ma dosyć oglądania młodzieży gloryfikującej wojnę i że jak tak bardzo chcą, to niech sobie wyjdą w grudniowy dzień do parku, postoją tam dobrą, a potem niech opowiedzą, jak im się podobało. Nie musi nic wybuchać, nie musi nikt obok umierać, nie muszą kopać okopów. Po prostu, niech przestoją samą zimnicę bez snu i dopiero po tym niech opowiadają, jak to cudownie było walczyć, cierpieć i umierać za ojczyznę. Obawiam się jednak, że apel weterana nie został szerzej odebrany, a zdjęcia wojenne tutaj prezentują tryumf, radość i uśmiechy. Te mainstreamowe i wiszące na przystankach i billboardach, bo potomkowie spotykani w metrze nie wydawali się bardzo cieszyć tym, że praszczur zginął na Łuku Kurskim.

Rzadko sobie robimy tę przyjemność, ale uznaliśmy, że 9 maja warto: włączyliśmy telewizor. Zgodnie z przewidywaniami, było patriotycznie. Było trochę o wyzwaniu Ukrainy, pani dokonała paraboli między pokojem w Syrii a 9 maja 1945 roku. Rozmawiano też z weteranami. W jednym przypadku miałem bardzo poważne wątpliwości, czy pan naprawdę

ma tyle lat, ile mówią, że ma. Wyglądało to chwilami dość smutno, starano się nakierowywać odpowiadających na jedyne słuszne opowieści, a oni nierzadko mówili o czymś innym. Jeden z prowadzących sprawiał wrażenie solidnie narąbanego, chociaż może po prostu chciał się wykazać i dlatego wcinał się co chwilą słowami o tym, że szlak bojowy do Berlina.

Jedną z wielkich niespodzianek dla Rosjan jest odkrycie, że w innych krajach Pobjeda wypada 8 maja, a do tego jej się w ogóle nie świętuje. No jeszcze USA, Kanada czy jakieś tam Norwegie to jasne, wrogowie, ale żeby Polacy? Toż oni wyzwolili tę Polskę, co poszła do Unii i NATO, przy tym tysiące ich zginęło, a my po pierwsze usuwamy pomniki wyzwolicieli, po drugie mamy inne datowanie, a po trzecie w ogóle tego nie świętujemy? A jak już, to jeszcze mówimy, że Armia Czerwona to raczej średni szal wolności przyniosła? Dziwaczne i podejrzane, a tak po prostu chamstwo. Jeżeli ktoś ma potrzebę racjonalnego przedyskutowania tego z Rosjaninem, to polecam mu się dwa razy zastanowić. Szybciej i przyjemniej jest skinąć głową, uznać wielką rolę Armii Czerwonej, powiedzieć, że jest się wdzięcznym, nie zgadza z polityką historyczną ojczyzny, a w ogóle to bierzemy udział w budowaniu pomnika Armii Czerwonej na rogu naszej ulicy.



Zdjęcia przodków – weteranów były nierzadkim widokiem

Parę razy rozmawiałem o tym, ale trafiałem na mur: dziadek. Bo dziadek nie należał do NKWD, a walczył i go zabili. A drugi dziadek siedział w gulagu, nie wyszedł z niego, no bo takie czasy były. Zresztą co wy tam w Polsce mieliście, prawdziwie przesrane to było tutaj, gdzie zsyłka na dziesięcioletnie poznawanie kultury białych niedźwiedzi była

uznawana za uśmiech losu – bo mogło być 25 albo i rozstrzelanie. Więc nie biedujcie Polacy, bo Niemcy wam zrobili Oświęcim, a my wam daliśmy socjalizm, który to może cudowny nie był, ale elektryfikacja i lodówki były, a skurwysyny mniej kradły niż potem. Więc czemu nie świętujecie Pobjedy i czemu nie ma pomników Armii Czerwonej? Jeżeli sprawy zostają przedstawione w ten sposób, to już trudno jakoś to przebić. Przyznam też, że w jakimś stopniu kupuję tę wersję. Swego czasu w Gruzji trafiłem na faceta, którego ojciec zginął pod Kielcami. Myślę, że dla Gruzina wizja przemaszerowania połowy świata, żeby zostać zabitym w wiosce w kraju, który go nic nie obchodził, to było po prostu wspaniałe. W Armii Czerwonej byli przedstawiciele wszystkich republik radzieckich. Uzbek w Berlinie, Tadżyk w Dreźnie, myślę, że musieli się drapać po głowach i zastanawiać: co my tu robimy? Z jakiej racji mamy tutaj się męczyć? Przecież nasz kiszlak niczego złego nie zrobił, a tu narażaj życie w jakimś europejskim nonsense, pod czerwonym sztandarem, który podobno jest nasz, a tamten drugi nasz nie jest i mamy strzelać do niemal dzieci, które mówią w jakimś dziwnym języku.



Indoktrynacja od lat najmłodszych, czyli dzieci śpiewające patriotyczne pieśni

Wieczorem wybraliśmy się na pokaz fajerwerków. Miejsc oferujących dobry widok nie brakowało, trzymając się myśli, że lepiej daleko od centrum, pojechaliśmy do parku Tuszyno. Ludzi było dużo, ale do przeżycia, można było spokojnie znaleźć miejsce dla siebie. Od 22 do 22:10 były fajerwerki. Ludzie spontanicznie krzykali „ura! ura! ura!”. Wiele osób popijało, ale nie było zoo, nikt nie robił niczego dziwnego, nikt nie spał pijany w krzakach, nikt się nie awanturował. Były oczywiście patrole policji, ale trzymały się raczej z boku. Paradoksalnie, było

ciszej i spokojniej niż w normalny piątek lub sobotę.

9 maja panowało w Moskwie dość osobliwe poczucie radości pomieszanej ze smutkiem, a także wspólnoty, trochę przypominające festiwale muzyczne. Nie widziałem nigdy czegoś takiego na taką skalę. Jeżeli trochę pobawić się perspektywą, to można powiedzieć, że jest to święto pacyfistyczne, radość z zakończenia największego konfliktu w dziejach ludzkości. W takiej formie świętuje się z przyjemnością.





[13.06.2016]

Rosyjska gospodarka w ruinie! Od dzisiaj (czyli 13 czerwca) cena minimalna wódki została podniesiona. Ze 185 rubli na 190, czyli 11,2 PLN po dzisiejszym kursie. Co zabawne, do lutego 2015 wódka kosztowała 220 rubli. Potem jednak obniżono jej cenę do 185 rubli – w końcu sankcje i bieda jak chuj, więc naród trzeba jakoś udobruchać. Co jeszcze zabawniejsze, cena wódki jest sterowana, bo ma ona pewną rolę zdrowotną w tych realiach. Gdyby była za droga, to naród piłby więcej bimbru, który często prowadzi do śmierci. W ramach walki z bimbrownictwem od 2009 roku cena wódki jest ustalana centralnie.

Mieszkam tu od września 2015. W tym czasie podrożało absolutnie wszystko, średnio o 20-30%. Wiele produktów całkowicie zniknęło ze sklepowych półek. Wódka była pewną stałą: najpodlejsza wódka zawsze kosztowała 185 rubli. Hity moskiewskich salonów (a Kremla to już na 200%) takie jak Kalina Krasnaja, Bazar czy Waluta będą nas kosztowały nieco więcej. Należy spodziewać się wyjścia narodu na ulice i rewolucji w stylu tej z 1917 roku. Jeżeli nie, to te 5 rubli na połówce przyniesie budżetowi takie dochody, że uruchomią kolejny program kosmiczny.



*Ruska wódka o nazwie „Ruska wódka”.
Piękno tkwi w prostocie*



*„Czerwona kalina”, czyli klasyk
wszystkich okolicznych sklepów*

To pierwszy z problemów na ten tydzień. Na Rosję spadła plaga szarańczy. Tym razem dosłownie, nie w sensie Władimira Władimirowicza i jego znajomych. Ta prawdziwa panoszy się na południu i jak to szarańcza, zjada uprawy. Z pewnym lękiem czekamy na doniesienia o żabach, wodzie zamieniającej się w krew, ciemności i gradobicie.

Tydzień (a nawet dwa) z życia Jenota

[25.06.2016]

Są rzeczy skomplikowane, są rzeczy trudne, są też rzeczy niemożliwe. Do skomplikowanych wpisujemy otwarcie sobie parasola w wiadomym miejscu. Do trudnych pokój na Bliskim Wschodzie. Do niemożliwych wolne w naszej pracy. Odkąd tu jesteśmy, sztab ludzi trudni się tym, żebyśmy nie mogli narzekać na nudę. W efekcie jest to jedna z ostatnich rzeczy, na jakie możemy się skarżyć, od poniedziałku do piątku mamy co ze sobą robić. Właściwie to dziwne, że jeszcze czasem udawało nam się porozmawiać i zrobić cokolwiek niezwiązanego z podtrzymywaniem gasnącego płomienia kaganka oświaty niesionego poprzez moskiewskie ciemności.

Wróciliśmy z obozu i czekaliśmy, co się wydarzy. Z końcem maja skończyły się nasze kursy dla młodzieży, więc przypisanych zajęć połowa z nas nie miała żadnych, a druga jedynie cztery godziny tygodniowo. Zasady zabawy są takie, że do trzech godzin przed rozpoczęciem zajęć możemy dostać powołanie, które cieszy mniej więcej tak, jak swego czasu bilet do wojska. Ostatnie lekcje zaczynają się zazwyczaj o 19, ale mogłaby się trafić i 19:30. W efekcie poniedziałek przesiedzieliśmy na szpilkach, w oczekiwaniu na maile i smsy, że musimy dokądś jechać. Ponieważ mieszkamy na zachodzie Moskwy, szczególnie oczekiwaliśmy wezwań na wschód i południe – dojazd tamże zajmuje nam dzikie ilości czasu i jest skomplikowany, więc to istne marzenie: o jakiejś 15:40 dostać powołanie na 18:45 na Perovo, Kantemirovskaya, najlepiej do zastąpienia kogoś chorego na kursie, którego w życiu się na oczy nie widziało. Nie twierdzę, że nasz sztab wywija takie akcje z premedytacją – nigdy nam nie zrobili takiego numeru, ale składa się i tak, nasza koleżanka miała tę radość. Tak więc poniedziałek siedzieliśmy w blokach startowych i zastanawiali, dokąd los nas ześle.



Z cyklu „Piękno naszej dzielnicy”: kot w logotypie <3

O magicznej 16 odetchnęliśmy z ulgą. O 16:30 wiedzieliśmy: na ten dzień jesteśmy nierobami. Korzystając z ładnej pogody, poszliśmy na spacer. Znaleźliśmy takie perły architektury jak elektrownia i takie cuda handlu jak francuskie białe wino z promocji. Wyjaśniliśmy sobie to tak, że 12 czerwca był Dzień Rosji, więc 13 było niby wolne, więc pewnie wiele grup się odwołało i dlatego nam niczego nie dano.



Depresyjny sklep z obłąkanym królikiem



Redaktor Jenot na tle elektrowni



Ten szyk, ten styl!

Aligator miał co robić we wtorek, więc na powołanie do wojska czekałem sam. Pojechałem do biura, pobawiłem się w parę spraw związanych z papierami i książkami, ale koło 15 byłem z powrotem w domu. Z rozpaczyny zacząłem czytać książkę związaną z wykonywaniem zawodu i umyłem kuchenkę. Atmosfera się zagęszczała, wiedziałem, że nie dadzą mi odpocząć kolejnego dnia. No i myliłem się. Wybiła 16, nic. 16:31, nic! Jednym z moich dawnych marzeń było odwiedzenie Stowarzyszenia Memoriał – grupy ludzi, których interesują takie wątki poboczne jak prawa człowieka w Federacji Rosyjskiej, GUŁagi, szeroko rozumiana historia XX wieku, ale też dzieje współczesne. Memoriał ma na koncie publikacje tomów wiedzy o represjach stosowanych przez Związek Radziecki, no dla Polaków odjazdem jest to, że też o Katyniu. Istnienie Stowarzyszenia Memoriał to wspaniały pokaz mądrości władzy rosyjskiej: gdyby ich zamknęli, to od razu poszłoby po świecie, że Putin zwalcza wolność słowa, więc istnieją sobie, mają siedzibę całkiem w centrum miasta (Sadovaya-Karetnaya dokładnie) i nikogo nie obchodzą. Publikują, zbierają pieniądze, ktoś tam ich wspiera, ale nie sądzę, że wielu Rosjan interesuje ich działalność. Mnie interesowała od wielu miesięcy, ale problem zasadzał się na tym, że ich flagową godziną rozpoczynania spotkań jest 19, a najlepiej to jeszcze w jakąś środę. Normalni ludzie mają wtedy czas, ale nienormalni właśnie rozpościerają skrzydła nad jakimiś okolicznikami sposobu i nie bardzo mogą zostawić swoich uczniów, bo gdzieś akurat jest prelekcja o Solżenicynie. Tak więc jesienią ogarniałem tematy Memoriału, ale że na żaden interesujący mnie wykład nie mogłem iść, to w końcu przestałem. Gdy jednak wybiła 16:31 14 czerwca, to rzuciłem się patrzeć, co dają oni, a co centrum Sacharowa. U Sacharowa było spotkanie z panią o porzucaniu cenzury w czasach Pierestrojki. W Memoriale Marian Feldman, autor książki *Z Warszawy przez Łuck, Syberię, znów do Warszawy*. Wygrał rodak, trochę dlatego, że spodziewałem się, że nie będzie wymiatał po rosyjsku i że dzięki temu

nie pogubię się podczas prelekcji. Wchodząc do Memoriału, wpisałem się na listę jako numer 11. No nie było frekwencji na miarę meczy Spartaka. Samo spotkanie trwało dwie godziny. Pierwsza zleciała szybko, pan Marian dobija do 94. roku życia, ale i tak super koherentnie streścił nam swoje losy i książkę. Urodził się w 1922 roku, życie związało go z Warszawą i Łuckiem, w trakcie kampanii wrześniowej dał dyla do Łucka, potem z tego Łucka przeszedł z siostrą i jej dzieckiem Ukrainę w niemal każdą stronę. Potem życie się tak poskładało, że dotarł za Nowosybirsk. Potem wrócił, walczył z Niemcami ramie w ramie z Armią Czerwoną, po wojnie pracował w różnych strukturach Polski Ludowej – dokładnie tego nie powiedział, ale było jasne, że należał do takiej jednej Partii, która swego czasu była dość popularna, a po 1989 już mniej. Z rzeczy, które mnie nieco zaskoczyły: powiedział, że gdy w 1944 atakowali, to wszyscy krzyczeli „Za rodzinu! Za Stalina!”, a on krzyczał tylko „Za rodzinu”, bo Stalina nienawidził.

Potem rozpoczęły się pytania. Miałem właśnie dotyczące tego Stalina, ale postanowiłem się nie wychylać i nie psuć dość milej atmosfery spotkania. Wyręczył mnie ktoś inny:

– Pan nie krzyczał „Za Stalina!”, bo go pan nienawidził? Proszę nam powiedzieć, jakie miał pan powody do nienawiści względem Stalina, skoro siedział pan pod Nowosybirskiem? Skąd mógł pan cokolwiek wiedzieć o działalności Stalina?

Marian wybrnął tym, że było parę osób, które wyszły z gułagów i opowiedzieli mu o Stalinie. Ja jednak myślę, że mógł krzyzczeć „Za Stalina”, tylko teraz mu głupio. No ja sobie uwielbiam pokrzyzczeć „Za Stalina!”, ale to głównie dlatego, że nie miałem za wiele do czynienia z jego wizją świata. Inne pytanie zdjęło mi buty: chłop dopytał dokładnie o datyienne, kiedy Marian dotarł do Łucka. Okazało się, że ludzie, którzy dotarli tam po 17 września dostawali status uchodźcy, a ponieważ pan Marian był tam kilka dni wcześniej, to uznano go za ludność lokalną. Dzięki temu uniknął wywózki do jednego z atrakcyjnych miejsc (Sybir, Katyń, Ostaszków), jakie władza sowiecka oferowała gościom. Kolejne cudo: w roku 1922 (bodajże) jakiś rosyjski wydawca rozpoczął wydawanie czasopisma o ZSRR w Polsce. Czy pan to czytał? (nie czytał). Jaki miało wpływ na pańską młodość? (taki, jak burze nad pustynią Gobi).

Inne pytanie dotyczyło tego, jakim cudem pan Marian podróżował po Europie za poprzedniego systemu. Ba, bywał nawet w ZSRR wiele razy. Pracował w ministerstwie opakowań i dzięki temu mógł jeździć i zdobywać doświadczenia. Inne pytanie dotyczyło usuwania pomników Armii Czerwonej w Polsce. Pan Marian raczej nie głosował na PiS, a sądząc po tym, co mówił o IPN-ie, to małe są szanse, że mu wydadzą wspomnienia i wpiszą je na listę lektur. Bo to kolejna książka w dorobku autora, ma ich na koncie pięć, z czego tylko trzy wydano. Nazwisko pana Mariana Feldmana sugerowało dość jasno, że jest Żydem, dostał więc nieco pytań o 1968 w Polsce, Izrael, antysemityzm. Mimo raczej ciężkich tematów, minęło to wszystko w dość przyjaznej atmosferze, a o 21 prowadzący zarządził koniec spotkania. Byłem pod wrażeniem wiedzy obecnych, łącznie piętnastu osób. Tam była taka pasja do historii... Wszyscy wiedzieli wszystko. Obawiam się, że moich uczniów na takich prelekcjach nie spotkam, bo byłem chyba najmłodszą osobą na sali. Zacząłem się zastanawiać czy w Polsce mamy jakieś stowarzyszenie w tym stylu – apolityczne, badające historię i represje – i wyszło mi, że nie znam żadnego.

W środę poszliśmy na przebój i w oczekiwaniu na przydział jakichś dziwacznych zajęć pojechaliśmy do Nowej Tretiakowki. Jakimś cudem muzeum to jest za darmo w każdą środę. Ozdobą zbiorów jest *Czarny kwadrat* Malewicza. Niemal wszyscy dostawali niezłej pompy, gdy widzieli ten obraz. Miał być i Kandinsky, ale go nie było. Chodziliśmy po tym i nerwowo sprawdzaliśmy telefony – kiedy to wezwą nas na jakieś Perovo, ale telefony uparcie milczały.



Chyba najbardziej znany rosyjski obraz...



Nie pomnimy, kto jest twórcą tego dzieła, jednakże urzekło nas wielce



Na pierwszy rzut oka nie wygląda to na miejsce obłożone klątwą...

Postanowiliśmy iść na przebój i odwiedziliśmy Dom na nabrzeżu. Dom ten postawiono w 1931 roku i miał być super-hiper miejscówką dla partyjnej wierzchozki, głównie importowanej z Leningradu. Jest to ogromny kompleks mieszkalny, ma ponad 500 mieszkań. Stał się jednak miejscem przeklętym, podczas czystek zdjęto ogromną liczbę lokatorów, wielu nawet nie dotarło na zesłanie, tylko zakończyło życie w jednym z moskiewskich więzień. Łącznie aresztowano 700 osób, z tego 300 rozstrzelano. Potem wielu rehabilitowano, ale nie sądzę, że im to dużo dało. Niby prestiżowy adres stał się klątwą.



Makieta kompleksu mieszkalnego



Chcielibyśmy poznać historię tego pingwina...

Książkę temu miejscu poświęcił jeden z lokatorów, Jurij Trifonov, który to mieszkał tu w latach 1931-39. Zatyłował ją *Dom na nabrzeżu*, a po polsku wydano to jako *Dom nad rzeką Moskwą*. Jurij przeżył dzieciństwo w tej pięknej budowli i wiedział dobrze, co się dzieje, choćby dlatego, że jego ojciec był jedną z represjonowanych osób. Jeżeli ktoś bardzo chce, to mam to dzieło po rosyjsku, polskie wydanie miało miejsce w 1979 roku i coś mi mówi, że nie będą wznawiali. Zbieraliśmy się do tego domu już wiele miesięcy temu, ale jakoś nigdy się nie składało. Dzięki pracodawcy, udało nam się dotrzeć tam 15 czerwca. Samo muzeum kosztuje podejrzanie mało (100 rubli). Cena odzwierciedla poziom atrakcji – dwa pokoje, w których zebrano przedmioty związane z mieszkańcami domu, głównie ich książki i zdjęcia. Jest oczywiście dość dużo o Trifonowie, jest o innych lokatorach, ale jest to wszystko wybitnie suche i nużące. Brak eksponatów, które zrywałyby kask, no wypchany pingwin nieco powala absurdem. Spacerując bardzo spokojnie i czytając niemal wszystko, spędziliśmy tam może 15 minut.



Zdjęcia z różnych etapów budowy Domu na nabrzeżu



Kolekcja zdjęć mieszkańców których wysłano do gułagów



Lokal mieszczący się na terenie kompleksu. Wpisaliśmy go sobie na listę miejsc, które koniecznie musimy odwiedzić

W czwartek zacząłem wierzyć, że urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą. Koło 12 dostałem newsa, że mam lekcje w parku o 19, więc nigdzie nie poszedłem, bo musiałem się przygotować. Potem zamienili mi park na lekcję w szkole przy stacji Siemionovskaya – to jest chyba kilkadziesiąt kilometrów od naszego mieszkania, wschód Moskwy. Zacząłem więc przygotowywać tę lekcję i nerwowo pisać maile do działu Timetabling, żeby mi łaskawie dali info, ile tam jest osób i czego właściwie mam ich nauczyć. Koło 16 odwołali mi i ten cudowny event. Z radości poszedłem sobie pobiegać, obejrzałem idiotyzm pod tytułem *X-Men: Apocalypse*, oglądałem mecze Euro 2016, wyprasowałem gacie i poukładałem puzzle. Podobno puzzle uspokajają, a ja po dwóch miesiącach po prostu nienawidzę tego pierdolonego kota w 1056 kawałkach o nieregularnych kształtach. O ile wcześniejsze dni były przyjemne, bo nie miałem niczego do roboty, o tyle w czwartek najpierw wrzucono mnie do piekła, a potem z niego wyciągnięto – taktyka znana z lat 30., no tyle że mi poza pracą wiele nie groziło. Był to chyba pierwszy raz, gdy zostałem beneficjentem ciężkiego chaosu, który lubi panować na naszym zakładzie.

Już w czwartek pisali mi, że jedna współpracowniczka się pochorowała, więc musiałem wziąć za nią cały piątek. Oczywiście na Perowie. Musiałem jechać przez centralne biuro, żeby sobie przygotować materiały, zajęło mi to naprawdę niezły kawałek dnia. Gdy już dotarłem na boskie Perovo, to uczyło mi się cudownie, miałem takie pokłady energii i pasji, że ledwo zauważyłem, że zleciało mi 90 minut, nawet przeciągnąłem je nieco z premedytacją (powodzenia, że zobaczycie mnie przeciągającego lekcje w normalne dni pracy). Był to 1-2-1, jeden na jeden, starszy pan Wiktor, który toczył walkę z angielskim alfabetem. W życiu nie miałem takiego ucznia, cudownie miły facet, biegły w niemieckim, ale całkowicie niemogący

zapamiętać, że e, i, a to różne litery. Pan Wiktor przeżył drugą młodość, gdy graliśmy w statki w ramach ćwiczenia alfabetu, bałem się, że się posra z radości. No cóż, pan Wiktor przeszedł przez sowiecką szkołę, więc zapewne nie wiedział, że współcześnie są trochę ciekawsze pomysły uczenia niż pisanie słupków zdań i tłumaczenie z jednego na drugi. Po lekcji zapytał, czy będę go jeszcze uczył. Musiałem lawirować i to nie przez to, że mnie znajomość rosyjskiego zawiodła, tylko żeby jakoś grzecznie powiedzieć, że Perovo to piękne miejsce, ale ja mieszkam na drugim końcu miasta i za cholerę nie chcę tam musieć jeździć, więc życzę koleżance wiele zdrowia, mimo tego, że szkoła jest fajna, a uczeń przyjemny.



Perovo park. Miejsce kaźni nauczycielsko-dziecięcej

Potem w ramach akcji promocyjnej naszych szkół uczyłem w parku. Obawiałem się tego doświadczenia, bo o uczeniu w parkach krążą legendy – na lekcje może przyjść każdy, nigdy nie wiadomo, ile będzie się miało osób, a jak gruchnie deszcz, to takie są odwieczne prawa natury i katuj ich dalej. Niektórym podobno udało się mieć SETKĘ uczniów. Szczęśliwie dostałem dzieci w mej ulubionej grupie wiekowej. Ponieważ nawet najgorsza praca współcześnie fajnie się nazywa, w parku pomagała mi promotorka – jak bardzo fancy nazwano ludzi, którzy przynoszą nam nożyczki, papier, kredki i ołówki (daj Boże, żeby chociaż tyle mieli). Promotorka była studentką ekonomii, wiedza ta pozwoliła mi ustalić, ile im płać, bez pytania jej o to (hint: żałośnie mało). Miałem około 15 osób (ktoś się spóźnił, ktoś wyszedł przed końcem) i mniej więcej materiałów na tyle osób. Było cudownie miło, promotorka pomagała mi ze wszystkim, a po lekcji rodzice zadali pełno pytań. Może nawet ktoś kiedyś się do nas zapisze. Po ustaleniu tego, że jestem z Polski, jedna kobieta rozpyłyła się nad naszą piłkarską reprezentacją i wściekała na rosyjską. Omówiliśmy więc przebieg Euro 2016, to jakim zajebistym nauczycielem jestem i to, że jej dzieci są genialne. Uczenie w parku ma pewne minusy. Minusem

numer jeden jest to, że uczysz w parku. Na 30 minut przez rozpoczęciem lekcji miałem na trybunach dwóch meneli, którzy na nasz widok szczęśliwie się spakowali. Ich koordynacja ruchów z rzeczywistością pozwalała przedsięwziąć podejrzenie, że tego dnia już pili. Ustawiając rzeczy na scenie, znalazłem flaszkę. Temperatura zamykała 30 stopni. Poziom uczniów – od nieznajomości alfabetu po niezłe A1. Nie wiem, jakim cudem nie piszę, że to był dramat. Chyba dlatego, że wszyscy zaangażowani w to byli super mili, godzina zleciała mi dość szybko, a cała lekcja wyszła więcej niż dobrze. O godzinie 17 mogłem rozpocząć weekend. No tyle że musiałem przejechać z Perova do domu, ale nawet w metrze było jakoś pusto.

Spodziewałem się, że drugi tydzień nie będzie tak wyglądał. Niestety nie myliłem się. Poniedziałek – zastępstwo na poziomie C1. Przygotowałem się zajebiście. Nie wpadłem tylko na to, że dorośli na tym poziomie mają chujowe poczucie humoru, a właściwie żadnego. W efekcie gadałem dużo z nastolatkiem, który miał Lenina w klapie. Jak ktoś nosi Lenina, to wiemy, jaki ma światopogląd. Chociaż jak ktoś nosi Lenina w Rosji, to już nawet trudno zgadywać. Istnieje taka prawda, którą dostrzegam coraz lepiej z każdym rokiem: jak się chcesz nauczyć języka obcego, to musisz czytać. Nawet nie w tym języku, w jakimkolwiek, ale po prostu C1 to jest poziom, którego w pewnym sensie ludzie nie osiągają w swoim pierwszym języku, a marzy im się w drugim. No więc jeżeli dostajesz kartkę w stylu: „John był najlepiej wykwalifikowanym kandydatem”, potem znak zapytania, a potem koniec jest taki: „Jednak John nie dostał pracy”; i masz wyczarować dlaczego to się stało, to mówienie „bo go przejechał samochód” nie wyjmie mnie z butów. Bo jak potem dostajesz: „Mary obiecała, że będzie na imprezie”, znak zapytania i „Mary jednak nie przyszła”, to jeżeli wszystko, co jesteś w stanie wymyślić, to „Mary przejechał samochód” to wyjdzie nam ten speaking (na który alokowałem 10 minut) chujowo – i to delikatnie mówiąc. Jeżeli dostajesz trzy słowa i proszę o zrobienie z nich koherentnej historii, a znowu dostaję opowieści o tym, że kogoś przejechał samochód, to mam dosyć. Pozwoliłem sobie poinformować grupę, że nastolatki są bardziej kreatywne. Na końcu pani zaś mnie poinformowała, że moja lekcja była koszmarna. Ja miałem ochotę jej powiedzieć, że jak się nie ma nic do powiedzenia, to po co uczyć się innego języka, żeby też nie mieć w nim nic do powiedzenia? No ale mi nie wolno. Tak więc poniedziałek był zajebiście miły i cieszyłem się, że miałem dzbanek sangrii w lodówce.

We wtorek dali mi park, Taganka. Przynajmniej na mojej linii metra i dostałem Aligatora do pomocy. Szliśmy trochę jak na ścieżce, najpierw 90 minut z nastolatkami, potem 90 z dorosłymi. Po znalezieniu parku mieliśmy jeszcze w diabły czasu, więc poszliśmy do centrum handlowego. Istny Dagestan, cały market to były islam shopy, które oferowały wiadomo jak seksowne ubrania, do tego nic zimnego do picia (rtęć wyciągnęła się na ponad 30 stopni, więc przecież to świetna okazja, żeby napić się gorącej herbaty). Same lekcje w parku były super, na nastolatkach miałem dziewięć osób, w tym dwie dorosłe. To jak się tym ludziom chciało pracować... No przygotowałem tę lekcję dość ładnie, ale wyszła ze dwa razy lepiej, niż by wyszła na płatnym kursie. Ludzie się bili, żeby mówić, robili notatki z moich uwag, rzeczy niespotykane na co dzień. Dwie osoby tak się ubawiły, że spytały, czy mogą zostać na grupę dorosłą. Oczywiście, że się zgodziłem.

Na dorosłych przyszło ponad pięćdziesiąt osób, głównie w wieku też ponad pięćdziesiąt lat. 50 osób, ponad 30 stopni – przypomniały mi się Chiny. Nie są to warunki do uczenia, do tego co chwilę był jakiś hałas – a to kosiarka, a to dziecko na śpiewającym samochodziku, a to promocja z islam marketu. Szło ocipieć. Korzystając z doświadczenia, zrobiliśmy grupy kilkuosobowe i prowadziliśmy symultanicznie osiem lekcji. Efektywne to nie jest, no ale niektórzy coś tam porozmawiali, a inni nawet się nauczyli stopniowania przymiotników. Lepsze lekcje też w życiu miałem, ale w miarę się udało, że nie był to horror.



Jenot w ataku!

W środę mogłem znowu pojechać na Perovo. Solidnie ciepło, park i znani mi już uczniowie. Nie zabrzmi to skromnie, ale rozjechałem system. Rzadko wszystko tak się klei w lekcji, jak mi się kleiło tego dnia. Kilkanaście osób, różne poziomy, wszyscy pod wrażeniem. Zostałem gwiazdą Perova, a z rodzicami poprzehodziłem na „ty”. Całą drogę powrotną do metra promotorka pytała, co robić, żeby być takim zajebistym jak ja. Problem był tylko taki, że po godzinie zabawy byłem mokry, a miałem znowu cover na tym C1. Przebrałem się w kiblu, no ale prysznic wziąć nie było jak, więc czułem się głupio, wchodząc taki przepocony do sali.

Szczęśliwie, wypadł test. Ludzie spadli z wrażenia, gdy im powiedziałem, że będzie speaking. Jedna kobieta to zeznała, że jak trzy lata chodzi do naszej szkoły, to nigdy nie miała speakingu. No bo kurwa płacą ludziom tak se, więc większości nauczycieli nie chce się tego robić. Mnie się chce, a raczej nie chce, ale robię. Bo uważam, że skoro klienci nam płacą w diabły, to nie wypada mi nie traktować ich poważnie, niezależnie od tego, ile z tych pieniędzy widzę w mojej wypłacie. No a speaking jest na testach, więc dobrze byłoby, żeby pacjent w miarę wiedział, co tam od niego chcą.

Oczywiście pani, która miała najwięcej uwag i wpierdalała mi się w słowo, gdy mówiłem, co ich czeka na tym teście, nie zrozumiała tego, że skoro w poleceniu jest „wpisz nie więcej niż trzy słowa” to nie wpisujemy ich przynajmniej pięciu, a w paru miejscach nawet OŚMIU. Nie zrozumiała też, że Cambridge to nie ruska szkoła i skoro jest wypracowanie na 250 słów, to nie można napisać ponad 400, bo to znaczy, że nie umiesz pisać i redagować tekstu. Dorośli i wykształceni ludzie (np. bankierka i psycholog) nie wiedzą też, co to jest recenzja filmu lub książki – jedna osoba streściła całą książkę, a druga napisała list do znajomego. Więdnie się przy czymś takim.

Oczywiście dałem im za to w diabły punktów, bo mi średnio potrzebne, żeby się poszli skarżyć, że nauczyciel z Polski jest chujem, który się dopierdala, bo nie zna angielskiego. No ale jeżeli podejść do CAE lub CPE, to czekają ich niespodzianki, bo jak czytam recenzje całe życie, to nie widziałem takiej, która miałaby formę listu do przyjaciela. Tak więc jak na początku cieszyłem się, że mam zastępstwa na C1, bo coś ciekawego i na tym poziomie ludzie będą w pytę, to po dwóch sesjach cieszyłem się, że więcej nie mam. Znaczy, gdyby to była moja grupa na stałe i gdybym miał ich od początku, to by to tak nie wyglądało, że po trzech miesiącach ludzie mówią, że jeszcze w sumie nie pisali niczego i nie mają pojęcia, jak zrobić listening. Jednak wielką zasadą uczenia języka jest robienie pacjentom dobrze, więc wiele osób nie informuje uczniów o tym, że deko nie mają pojęcia i bredzą, no bo potem mogą być skargi. A jak dajesz ludziom 10/10 za debilizm, to są szczęśliwi i podbudowani, a bywa, że potem cię kochają.

W czwartek dostałem banał, dyżur. Na dyżurze siedzisz i czekasz, czy przyjdzie ktoś na testowanie. Przez 120 minut przewinęły się trzy osoby, każda zajęła jakieś pięć minut, więc najpierw poczytałem sobie Margaret Atwood, a potem porozmawiałem z rodakiem, który tu pracuje. Temat główny: współczesna literatura rosyjska. Rodak wiedział o tym o wiele więcej niż ja, więc zacząłem aż spisywać nazwiska polecanych pisarzy. Bardzo miło spędzony czas i dzień.

W piątek rano dostałem zsyłkę na Perovo. Znowu... Park. Ta sama grupa. Szedłem niemal z radością, pierwsze 30 minut lekcji było jeszcze lepsze niż poprzednia. Potem sprawa nieco siadła, ale gdy kończyłem o 17, to niektórzy uczniowie nie chcieli iść do domu, tylko jeszcze ze mną zostać. W takich momentach człowiek gratuluje sobie, że wybrał taką ścieżkę życiową. Jedna matka dała mi swego maila i poprosiła, żeby zostać znajomymi na fejsie. Inna przyszła z pytaniem: „are you from UK or USA?”. Prawda ją nieco zaskoczyła i chyba chciała dopytać, jak to możliwe, ale już nie była w stanie (a ja znowu nie biegam do ludzi z tym, że znam ruski, bo mam wystarczającą liczbę interakcji w tym języku ze znajomymi). No bo jak to, chłop z Polski uczy twe cenne dziecko, do tego dziecko ma ubaw, a i ty jesteś pod wrażeniem? Toż przecież każdy Brytyjczyk lub Amerykanin jest urodzonym nauczycielem, a gdzie ci jakiś pachół z Polski będzie gnoja uczył, do tego na pewno źle. Od 2014 roku istnieje organizacja mająca na celu eliminowanie dyskryminacji nauczycieli z krajów nienatynnych. Chyba podeślę im kawałek mojej wypłaty.

Z jednej strony, przez te dwa tygodnie oficjalnie pracowałem mniej niż w ciągu roku szkolnego. Z drugiej ta niepewność, dojazdy, kalejdoskop kursów, niemożność przygotowania niczego, jest to taka mordęga, że we wrześniu chyba pocałuję tablicę w mojej sali 412 i przytulę dość dobrze mi znane podręczniki.

[13.09.2016]

Jedną z rzeczy, która każdemu przybyszowi w Moskwie imponuje, jest moskiewskie metro. Do niedawna składało się na nie ponad dwieście stacji i ponad 300 kilometrów trasy. Legendy głoszą, że linię kołową wymyślił (powstań) Stalin (spocznij). Podobno pokazali mu schemat linii, Wódz popatrzył, postawił kubek z kawą, ten odbił się na planie i w ten pozawerbalny sposób konstruktorom przekazano, że tego właśnie w całym projekcie brakowało, tej kołowej linii. Na szczęście, geniusz narodu był pod ręką, żeby ją wykombinować i wesprzeć radziecką myśl budowniczą w ten magiczny sposób.



Linie ukończono w 1954, więc wiemy, kto nie zdążył się nią przejechać

[illegible]

124

10 września dołożono kolejną linię kołową, porządkowo ma numer czternasty. Słuchy o drugiej kołowce chodziły od lat. Pamiętam, że w zeszłym roku słyszałem, że jest zaplanowana na 2020 rok. Na wiosnę słyszałem coś o 2018. Jej układ i nazwy stacji sobie były i wisiały na planach metra jako „w planach”. Myślałem, że z racji boskiej sytuacji gospodarczej panującej w tym kraju powiszą tak następne kilkanaście lat. Ale myliłem się, 10 września otwarto znaczną część nowych stacji, o godzinie 14 mer Moskwy i Putin zainaugurowali nowe cudo na mapie stolicy. Daty nie wybrano przypadkowo, w tym roku jest to święto. Moskwa obchodzi okrągłe 869. urodziny. W zeszłym roku był darmowy Aerosmith. W tym roku za to jest nowa linia metra.



Nowy peron nowej linii

Trochę widać, że bardzo chciano to otworzyć akurat w tym dniu. Wsiadaliśmy na stacji Botanicheskiy Sad, na zewnątrz jeszcze króluje blacha falista i prowizorka. Oznakowanie robione na szybko, więc można się trochę pozastanawiać, czy to aby tu, czy może jednak tam. Przystanek najbliższy naszemu miejscu zamieszkania otwarty zostanie dopiero w grudniu (*inshallah*, bym tu dodał). Gdy wysiedliśmy z nowej linii, nie mieliśmy zielonego pojęcia, jak się dostać na „klasyczną” stację, musieliśmy pytać, bo oznakowanie brakuje.

Jednak są powody do mruczenia. Linia ta jest puszczona na powierzchni. Ma długość ponad 50 kilometrów. Jeżdżą na niej pachnące nowością pociągi Siemens, a w wagonach są udogodnienia takie jak toalety i gniazdka elektryczne (działają, przetestowane). Jest papier toaletowy i mydło. I ręczniki. No to już jest bardzo bizantyjski przepych, nie tylko jak na Rosję. Ma być Wi-Fi, pierwszego dnia nie działało, 12 września podobno już tak. Siedzenia obłędnie wygodne, są nawet miejsca dla inwalidów i do przewozu zwierząt, do tego półki na bagaż. Najszybciej jechało to 105 kilosa na godzinę, ale prędkościomierze nie są wyregulowane – czasem, stojąc w miejscu, pokazywało, że jedziemy, chwilę potem, że stoimy. Wszystko mówi i wyświetla po rosyjsku i angielsku. Jest cichutko, a standardowe metro jest tak głośne, że trudno jest rozmawiać. Tu można porozumiewać się szeptem. Byliśmy w grupie kilku osób

i zgodnie stwierdziliśmy, że nigdzie takiego cudu nie widzieliśmy, wliczając w to Chiny i Niemcy. Lepiej, pierwszy miesiąc jest „za darmo” – mając bilet na metro, można się przesiąść bezpłatnie i podjechać kawalek, a potem iść na inną stację metra i wsiąść znowu, a wszystko to na jednym bilecie. Ku memu wielkiemu zaskoczeniu, system działa!



Hurra, będzie można wcześniej być w pracy! W drodze do pracy można np. wysuszyć włosy

Nie mam nawet pojęcia, jaką obłądną fortunę to kosztowało. Podobno Moskwa pożera 40% budżetu krajowego. Gdy widzi się rosyjską wieś, to jest się skłonny zastanowić, czy aby nie 60%. Rosji udało się zrobić ze stolicy wizytówkę kraju. Ta nowa linia to kolejny dodatek do tego pięknego obrazka. Stacje są raczej bez charakteru i wszystkie wydają się być takie same, nie ma szans, że ktoś będzie po nich jeździł robić sobie pamiątkowe zdjęcia, ale na pierwszy rzut oka są funkcjonalne.

Jest kilka potencjalnych problemów: gdy zrobi się chłodniej, bezdomni mogą zacząć w tym mieszkać. Będzie pewnie ciepło, jest toaleta, prąd, a bezdomnych nie brakuje. Jednym z wielkich plusów moskiewskiego metra jest system biletowania. Pozostaje mieć nadzieję, że go nie zmienią i że na nowej linii będzie się jeździło tak samo jak na wszystkich innych. Jednak oferta „darmowego” przejazdu tylko przez miesiąc wydaje się sugerować, że mają inny pomysł. Wiele osób nie będzie też miało powodów, żeby używać tej linii, na pierwszy rzut oka południe wydaje się dość dyskryminowane. Przeliczyłem kilka tras, na których nowa linia mogłaby mi się potencjalnie przydać, ale wszędzie wychodzi dłużej niż klasycznie. Dlatego też obawiam się, że ekonomicznie może to się nigdy nie zwrócić. Pewnie też ktoś – czy to władza, czy to bohater lokalny po kilku piwach – wpadnie na jakiś pomysł, który nas zadziwi, przerazi i wprawi w zdumienie.

18 września będą wybory, więc czas na otwarcie inwestycji został wybrany raczej nieprzypadkowo. Bez metra Wołodii zdarzało się mieć 114% poparcia. Dzięki otwarciu nowej linii metra Edinaja Rassija może poprawić nawet ten imponujący wynik.

Nieważne, kto głosuje, ważne, kto liczy głosy

[16.09.2016]

18 września odbędą się w Rosji wybory parlamentarne. Będzie to prawdopodobnie najnudniejsze wydarzenie polityczne tego roku. Wyniki są przewidywalne tak bardzo jak to, że Kim Dzong Un pozostanie wodzem Korei Północnej. Emocje? Zerowe.



Oficjalne logo wyborów w Rosji



Clockwork Russia. Karuzela śmiechu, edycja kolejna

Kilka szczegółów technicznych:

Na karcie wyborczej będzie 14 partii, z tego do Dumy wejdą prawdopodobnie cztery – pozostała dziesiątka ma poparcie w sondażach nieprzekraczające 2%, a często nawet 1%. Wygra oczywiście partia pana prezydenta, czyli Jedna Rosja. Sondaże dają jej około 40% głosów, co w pewnym sensie jest słabym wynikiem – jeszcze kilka miesięcy temu mogli liczyć na 50% poparcia, a w poprzednich wyborach mieli ponad 49% głosów. Program partii Jedna Rosja? W wielkim skrócie: wszystko będzie rozwijało się tak, jak się rozwija, gwarantem tego jest Putin jako prezydent, a Jedna Rosja jako partia rządząca, z Dimą Miedwiediewem na czele. Sami plasują się w centrum, chociaż punkt o zmniejszaniu różnic między bogatymi i biednymi trochę ściąga ich na lewo (inną sprawą jest, co robią w tym temacie). Zakładając, że badania opinii publicznej nie są przekreślone, taktyka się sprawdza.

Jeżeli komuś umknęło: kurs rubla jest na dnie. Ceny rosną. W tym toku nie będzie waloryzacji emerytur, w zamian jednorazowo zostanie wypłacone 5000 rubli – jakieś 300 PLN, które musi emerytom wystarczyć na rok. Emeryci jednak bardzo mocno wspierają Wołodę. I w takich realiach partia rządząca nie ma najmniejszych problemów z utrzymaniem władzy. Czyż to nie bajeczny kraj? Ano tak, ale Krym, Syria, a sankcje to przecież nie ich wina, tylko świat się uwziął. Może też pomagać posiadanie telewizji. Nie bez komentarzy pozostaje to, że początkowo wybory były zaplanowane na grudzień. Przeniesienie ich na wrzesień jest pewną kombinacją: mieszkańcy dużych miast (mniej kochający partię rządzącą) mogą nie mieć głowy do zajmowania się tym – początek szkoły, końcówka wakacji, wyjazdy na dache. Co więcej, budżet Rosji nie ma się najlepiej i różne słuchy chodzą, choćby takie, że jeżeli sytuacja nie

ulegnie diametralnej zmianie, to w 2017 skończą się rezerwy budżetowe. Przyspieszenie terminu wyborów może nawet sugerować, że nie jest pewne, czy na 2016 starczy. A nawet jeżeli, to może się okazać, że trzeba wprowadzić poważne cięcia, lepiej więc mieć wybory za sobą, zanim się to zacznie robić, bo potem nawet 80% Putina może nie pomóc (ani długo nie potrwać).

Po poprzednich wyborach ludzie wyszli na ulice, bo sprawa była dość ewidentnie przekreślona. W tym roku raczej tak nie będzie, dopuszczono pewną liczbę kandydatów opozycji, szefem komisji wyborczej zrobiono znaną obrończynię praw człowieka. Jakby starali się pokazać, że nie muszą oszukiwać i kombinować, żeby wygrać.



„Mówisz wnuczku, że z Jednej Rosji?”

Drugie lub trzecie miejsce zdobędzie Liberalno-Demokratyczna Partia Rosji, czyli Żyrinowski, 70 lat. Szałowe 10-12%. Niech nazwa nikogo nie zmyli, to są populistyczni nacjonaści o lewicowym programie gospodarczym.

Drugie lub trzecie miejsce zdobędzie KPRF – Komunistyczna Partia Rosyjskiej Federacji, czyli Ziuganow, 72 lata na karku, od lat druga partia, po tych wyborach zapewne trzecia. Również koło 10%, ale zapewne poniżej. Tu nazwa nie myli, bo są to komuniści, kontynuatorzy takiej partii, która sprawowała władzę w Związku Radzieckim przez cały czas jego trwania.



Czas zmienić władzę! Czyli Dima w poniewierce

Na czwartym miejscu może wejść Sprawiedliwa Rosja (6,3% ostatnio, ale może się zdarzyć mniej), centrolewica, która oferuje socjalizm bez wypaczeń i bizantyjskiej radzieckiej biurokracji. Lider, Mironow, ma zakaz wjazdu do tzw. krajów Zachodu za wspieranie działań zbrojnych na Ukrainie.

Próg wynosi 3%, więc może np. Partia Emerytów, która ma 2,4%, rzutem na taśmę zdobędzie jakieś miejsca. 14% jeszcze nie wie, na kogo zgłasza, kolejne 14% nie wybiera się głosować. A sam wódz nakłania, żeby iść spełnić obowiązek demokratyczny.

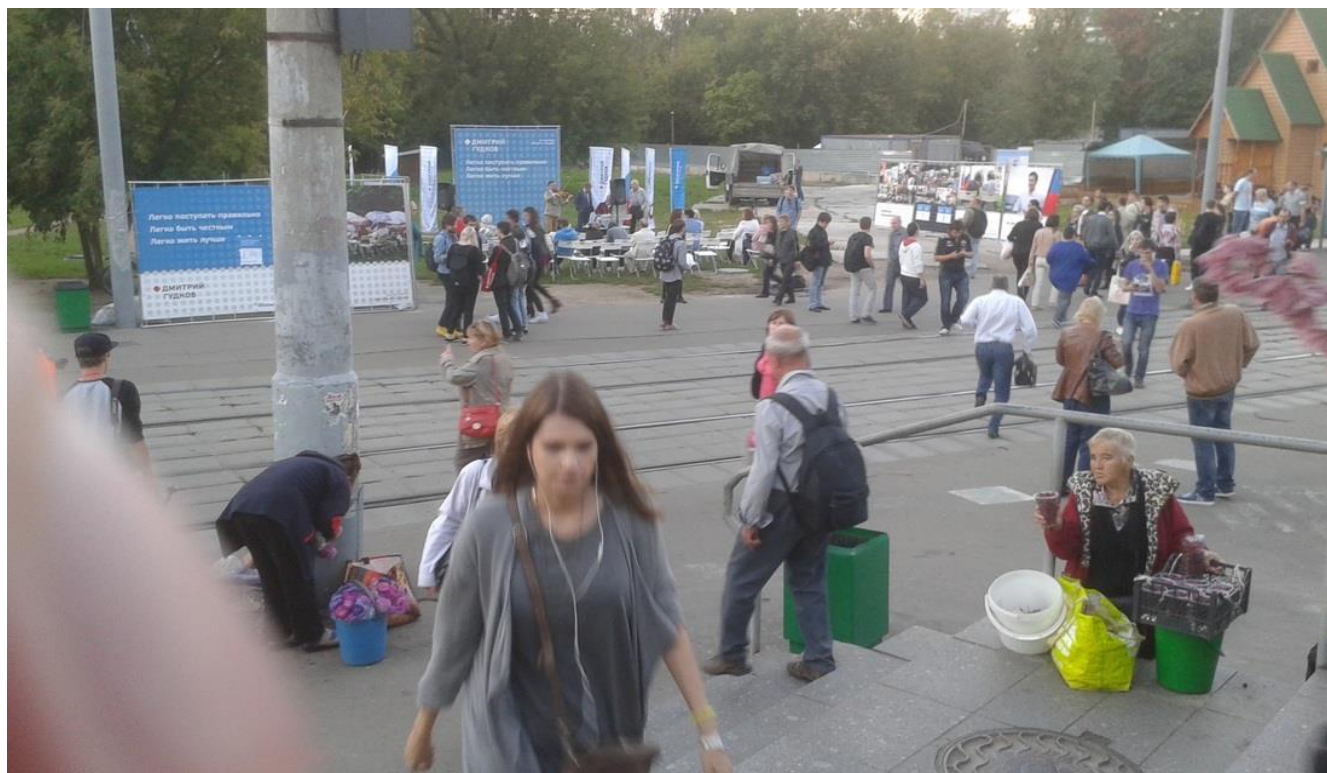
Przy plus minus takim układzie głosów, Jedna Rosja będzie miała taką większość, że nie będzie w ogóle musiała myśleć o opozycji. Co to znaczy? Prawdopodobnie nic. Z ciekawością będziemy patrzeć, czy waluta jakoś zareaguje. Z jednej strony wyniki potwierdzą, że naród z Putinem i że sytuacja jest stabilna. Jednak jeżeli okaże się, że nieco poszaleli z wynikami wyborów, to wówczas Rosja znowu da światu sygnał, że z demokracją im nie po drodze (pytanie, ile to świat obecnie obchodzi, bo większe newsy bywają z okręgowych lig piłkarskich). Przez poszalenie mam bardziej na myśli ordynarne dosypywanie głosów i wyniki w stylu 107% frekwencji. Cud ten świat zobaczył podczas wyborów prezydenckich w 2012 roku, kiedy to w Czeczenii – miejscu słynącym globalnie z wielkiej sympatii do Moskwy – jeden z okręgów tak się zmobilizował. Putin otrzymał 1482 głosy, a Ziuganow cały jeden. To, że dostęp do mediów przeciwnicy partii rządzącej mają utrudniony, jest standardem. Podobnie zaplecza finansowe partii to bardzo odmienne tematy.

Jak głosują ludzie? Nawet gdyby zrobiono tu wszystko przejrzyste niczym w Kanadzie, Jedna Rosja naprawdę wygrałaby wybory, pytanie, w jakim rozmiarze. Jak powiedział znajomy Rosjanin: jeżeli byśmy wybrali Żyrinowskiego, to zaraz będzie wojna z NATO. Ziuganow z kolei chciałby resuscytacji komunizmu, a mamy z tym systemem pewne doświadczenia, więc nie.

To na kogo człowiek ma głosować? Na ten plankton z poparciem 1%? Tenże kolega na wybory się nie wybiera. Jest koncepcja, że tak naprawdę wszystkie główne partie grają, jak Kreml zagra – a to puszcza Ziuganowa, który coś opowie o komunizmie i potrzebie jego budowania, a to Żyrinowskiego, który coś o wojnie, ludzie to słyszą i lgną do Jednej Rosji. No cóż, bywają chwile, że wychodzi, że to może być prawda i że istnienie kontrolowanej parlamentarnej opozycji służy budowaniu pozorów demokracji.

Inna Rosjanka powiedziała mi, że właściwie nic jej to wszystko nie obchodzi i że to strata czasu. Jak nie zagłosujesz, to nic się nie zmienia. Ta sama osoba powiedziała mi, że w Rosji nie jest do końca tak demokratycznie jak w Polsce, ale też nie ma takiego totalitaryzmu jak we Włoszech, gdzie od zawsze u władzy jest Berlusconi, który ma wszystkie telewizje. Trochę mi się nie chciało psuć jej tego obrazu info, że od 2011 boski Silvio nie jest premierem. Zapewne niektóre informacje docierają do Rosji z opóźnieniem, być może dla nich w Portugalii nadal jest Salazar.

To podejście może powiedzieć, że panuje marazm społeczny i katastrofa, ale to może nie takie złe, że kraj co kilka lat nie przechodzi wielkich reform edukacji, systemu emerytalnego i służby zdrowia, żeby za chwilę obywatelom powiedzieć, że właściwie mimo różnych wyrzeczeń dalej są w głębokiej dupie i że przepisujemy podręczniki historii, tylko skończymy zmieniać nazwy ulic. Rosjanie wybierają trochę podług hasła „jest chujowo, ale stabilnie, a gorzej też już było”. Zainteresowanie wyborami zadeklarowało 9% respondentów. 43% w ogóle się sprawą nie interesuje. Można narzekać na demokrację rosyjską, ale w czołowej demokracji świata wkrótce będzie wybór między ksenofobem a cwaniaczką. Można się pytać, czemu ludzie w Rosji nie wychodzą na ulice, ale jakoś znacznie rzadziej pyta się, czemu w USA są tacy spinegliwi.



Przygotowania do wiecu wyborczego, w prawym rogu potencjalny wyborca trudni się handlem.

Jest jednak pewien haczyk, na którym Kreml może się przejechać: połowa członków Dumy wybierana jest systemem większościowym. Nie jest to bardzo prawdopodobne, na pewno nie będą to jakieś pokaźne siły, ale dzięki systemowi parę mandatów może pójść w ręce opozycji. Jak to wygląda w czasie przedwyborczym? Przy stacjach metra są plakaty wyborcze, wolontariusze rozdają ulotki, a kandydaci zapraszają na spotkania. Najmniej widoczna jest partia rządząca. Wydaje się, że najaktywniejszą kampanię ma partia Jabłoko (solidny 1% poparcia). W naszym regionie startuje Dimitrij Gudkow, kiedyś Sprawiedliwa Rosja, a teraz Jabłoko. Tak się złożyło, że przez przypadek byliśmy na jego spotkaniu wyborczym. Wytrwaliśmy z 15 minut, opowiadał o sobie i o tym, że wielokrotnie był przeciwko działaniom Dumy. Jabłoko oficjalnie mówi o prawach LGBT, potrzebie zmian, ekologii i prawach człowieka. I ma 1% poparcia, być może dlatego cała reszta partii nie mówi o tych sprawach ani słowa.



Dobra zbierane w pocie czoła po okolicy

W ciągu kilkunastu dni zebraliśmy dość pokaźną kolekcję ulotek nakłaniających do głosowania na Gudkowa, zaczęło to być nieco absurdalne aż pewnego dnia dostaliśmy gazetę konkurencji. Wabiła tytułem „Kim pan jest, panie Gudkow?”. W środku opowieści o tym, że jest agentem USA, głosował przeciwko Krymowi, wyrzucony ze Sprawiedliwej Rosji, syn zdrajcy, jego brat ma na koncie prowadzenie firmy wymuszającej pieniądze, przyjaźni się z homoseksualistami, pedofilem, „patriota innego narodu”. Są dwa rosyjskie oskarżenia, które uwielbiam: jedno to, że ktoś jest narkomanem. To tak sobie rzucają w eter, osoba tak określana nie musi wcale być narkomanem ani nawet w ogóle używać. Drugie to „pobiera wynagrodzenie z zagranicy” – to najczęściej o Nawalnym widzę (Nawalnemu nie pozwolili zarejestrować partii, za to go pobili). Okazuje się, że Gudkow to już w ogóle kanalia, dziwne, że mu alkoholizmu nie wpisali, bo to też lubią dorzucać. Tę piękną ulotkę-bełkot wydało Sowierszenno Sekretno, 8 stron druku w kolorze, rozdawali to w okolicy przez cały tydzień. Ciekawe, skąd mają pieniądze, ale tu jestem pewien, że nie od zagranicy. Ta publikacja jasno pokazuje jedno: skoro ktoś publikuje osiem stron oskarżeń, to znaczy, że Gudkow jest dość mocny i może mu się udać sprawić niespodziankę w regionie Szczukino.

KPRF rozdaje czasopismo „Iskra”, na razie mamy dwa numery. Ono przynajmniej jest dość edukacyjne, w jednym numerze stały takie numerki (w rublach):

- 249200 – średnia zapłata w urzędach RF;
- 32122 – średnia krajowa;
- 112 000 000 000 – tyle ma 10 najbogatszych Rosjan;
- 47% Rosjan oszczędza na jedzeniu (paru obcokrajowców też);
- 600 000 000 000 wartość jest mieszkanie wicepremiera Igora Szuwałjowa. Metraż: 719 m²;
- 125000 moskwićzan oczekuje w kolejce na polepszenie warunków życia. Średni czas oczekiwania: 20 lat;
- 3700000 kosztowało jedno drzewo wykorzystane do remontu ulicy Twerskiej;
- 12425 – średnia emerytura w Rosji.

W środku program kandydata, co planuje zmienić, w której dzielnicy. Wygląda to dość rzeczowo. Jeden arkusz, czyli cztery strony, papier akceptowalny, ale nie szalowy. Naprawdę nieźle.

Bardziej komunistycznie-narodowościowo, kandydat Siergiei Baburin. 8 stron, dwa arkusze. Baburin wie, skąd startuje, wszystko jest personalizowane pod naszą dzielnicę i jej regiony. Czytelne, ładne, a na ostatniej stronie są dowcipy (straszne) i krzyżówka. Krzyżówka jest super, co lepsze hasła:

- 16 pionowo: największy kraj świata, który ma największe zasoby naturalne i największą przepaść między bogatymi a biednymi;
- 3 pionowo: piosenkarka może go stracić, obywatel nigdy;
- 13 poziomo – wrócił do Rosji (Krym, gdyby ktoś się zadumał).

Partia Rodina, kandydat Korotczenko. Przez wiele dni rozdawano jego ulotki po całej okolicy, Korotczenków mamy kilogramy, wałyły się po chodnikach i sklepach. Gdy pewnego dnia starsza pani zobaczyła, że biorę jego materiał propagandowy, powiedziała:

– *Dobrze, że młody człowiek jest patriotą i interesuje się przyszłością ojczyzny. Niech wie, na kogo głosować!*

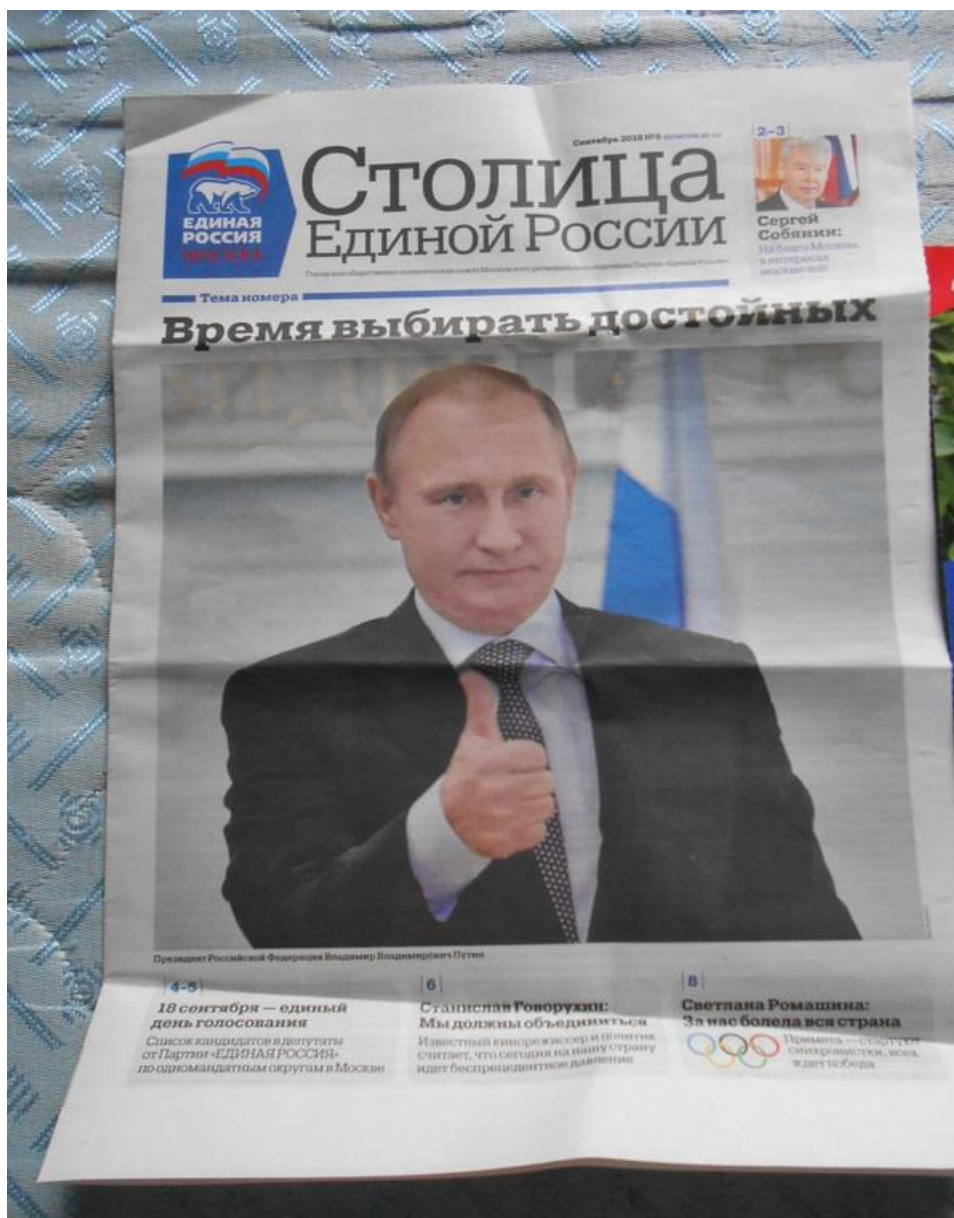
Jeżeli Korotczence nie pójdzie w wyborach, to może rozważyć karierę aktorską. Role cyborgów są wszystkie jego, nawet bez zdjęć próbnych.



Pólczłowiek, półmaszyna

Zafundowałem sobie dość masochistyczne doświadczenie i oglądałem dwie debaty telewizyjne. Jedna była o służbie zdrowia, druga o wojsku. Format raczej nudny, kandydaci z bodajże sześciu partii stali za mównicami w stylu Studia Yayo. Kolejno dostawali cztery minuty na przedstawienie swoich poglądów. Nie było żadnej debaty ani wymiany myśli, czasem ktoś coś krzyknął, ale jakoś tak bez przekonania. Przeważająca większość wypowiedzi była oderwana od konkretów, mniej więcej: głosujcie na nas, a my zrobimy, że wszystkim będzie dobrze - jedni, bo państwo za wszystko zapłaci, drudzy, bo ludziom się tak poprawi, że będą mogli sobie sami zapłacić. Było to tak ciekawe, że niemal z radością witałem reklamy. O jednym i drugim mówiono plus minus to samo. Stroje niektórych kandydatów zdradzały, że nie wydają zbyt wiele na stylistów. Co mnie początkowo nieco zdziwiło: nikt nie atakował Putina ani obecnej władzy. Potem jednak zdałem sobie sprawę, że skoro Wołodia ma poparcie w okolicach 80%, to przecież nie ma sensu się na niego rzucać, bo wiele się nie ugra i lepiej tematu nie dotykać. Za to przedstawiciele Jednej Rosji bardzo lubią podkreślać, że to partia pana prezydenta, czasem dodając, jakie to sukcesy już zapewnił krajowi. Ba, da się znaleźć niemało cytatów z wodza narodu, które są wykorzystywane przez jego ludzi. Prawo zabrania Putinowi na używanie wizerunku na rzecz jego partii, ale widocznie cytaty z autorem są w porządku. Gdzieś tam ktoś zająknął się, że obecnie jest taka sytuacja, że Rosja ma słaby obraz w świecie i że trzeba nad tym popracować, żeby przywrócić lepsze czasy. Nie było jednak żadnych pomysłów, skąd się ten obraz wziął.

Gdy znajoma Rosjanka dowiedziała się, że to oglądałem, to się poddusiła ze śmiechu. Powiedziała, że nie zna nikogo, kto by na to marnował życie, bo przecież to taki bełkot, że uszu szkoda. Zgodziłem się nie tylko przez grzeczność.



Odmłódź się o kilka dekad z botoksem i Photoshopem

W tym wszystkim cieszy nas jedno. Ilekroć mają miejsce wybory w Polsce, gapimy się nieco bezradnie, nieco z przerażeniem na karty wyborcze. Zastanawiamy się, co zrobić z tym uśmiechem od losu zwanym demokracją, który pozwala nam wybrać sobie oprawców fiskalno-ideologicznych na kolejne kilka lat. W Rosji mamy to szczęście, że nie musimy, bo przecież nie mamy prawa głosu. A nawet gdybyśmy mieli, też nie byłoby na kogo głosować. W końcu wnuk Stalina mieszka w Gruzji.

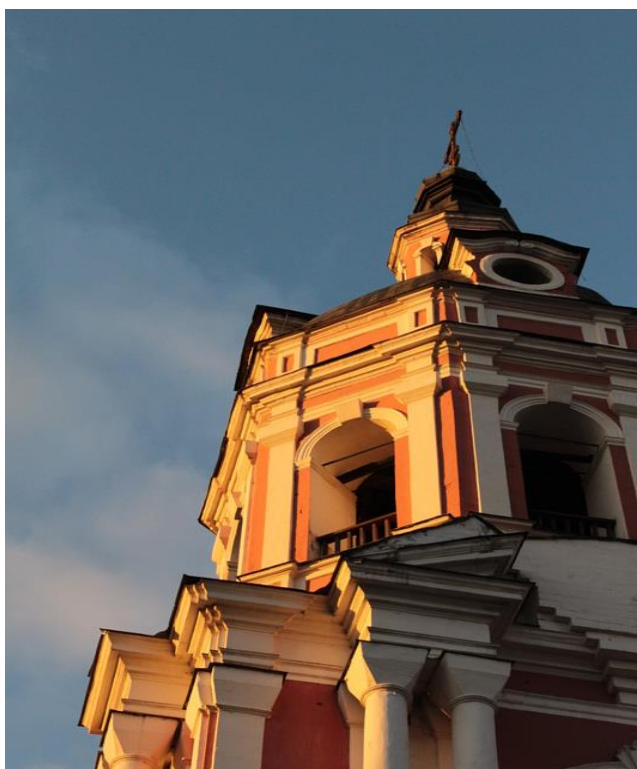
Przywitanie jesieni w monasterze

[25.09.2016]

Moskwa zajmuje jakieś obłądne kilometry kwadratowe i można w tym mieście znaleźć wszystko. Po roku życia tutaj nasza lista miejsc do odwiedzenia robi się coraz dłuższa. Trochę paradoksalne, ale jakoś tak się dzieje, że jadąc w jedno miejsce, odnajdujemy ze dwa kolejne. Są jednak cuda, które zajmują miejsce szczególne w naszych sercach, z różnych powodów.

Podczas moich pierwszych tygodni w Moskwie odwiedziłem miejsce, które polubiłem więcej niż bardzo. Monastyr Doński. Poszedłem tam, bo Solżenicyn wybrał sobie okoliczny cmentarz na miejsce pochówku. Solżenicyn jest dla mnie takim wodzem, że noszę koszulkę z nim, a *Archipelag GUŁag* uważam za wzór najlepszego pisania. W 2015 gnałem do monastyru Dońskiego na skrzydłach, a gdy znalazłem grób jednego z moich ulubionych pisarzy, to się poryczalem ze szczęścia.

W niemal rok później wyszło nam, że Aligator nigdy tam nie był. Monastyr Doński nie jest jakąś bardzo ukrytą perłą Moskwy, wszystkie przewodniki podają go jako jedną z atrakcji stolicy. Jednak większość turystów do niego nie trafia – jest położony kawałek od centrum, zasadniczo nie ma tam żadnej atrakcji na skalę UNESCO, flagowych zdjęć też się nie da zrobić. Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałem tam turystów. W sumie nawet gdy mieliśmy liczne odwiedziny, to tylko moja matka (za wiadomo czyją namową) tam dotarła – po prostu w Moskwie jest tyle miejsc wartych czasu odwiedzającego, że monastyr Doński nie łapie się nikomu na listę „warto”, bo mają Lenina, Kreml, Tretiakówkę i setki innych cudów.



Wieża bramy monastyru o zachodzie słońca

Wrzesień roku 2016 jest w Moskwie koszmarem. Zimno i pada. 23 dnia tegoż miesiąca włączono centralne ogrzewanie, a przez cały wcześniejszy tydzień cieszyliśmy się temperaturami poniżej 10 stopni. Tak jak wspinający się w Himalajach czekają na okno pogodowe, tak i my czekaliśmy. Jakimś cudem 24 września w sobotę pogoda okazała się być mało paskudna, a nawet zachęcająca. Pognaliśmy do monasteru. Niestety zbliżając się do niego, usłyszeliśmy dzwony zwiastujące rozpoczęcie nabożeństwa, tak więc, aby nie przeszkadzać zebranym wątłym niewiastom i dorodnym popom, podziwianie wnętrza musieliśmy ograniczyć do kilku minut. Na zewnątrz trwały zaś roboty budowlane, które skutecznie zagrodziły przejście do niektórych zabudowań klasztornych. Ponieważ przyszliśmy tam raczej w poszukiwaniu świętego spokoju, a nie odgłosów młota pneumatycznego, skierowaliśmy się na cmentarz. Skoro obraz jest wart więcej niż 1000 słów, to niech poniższe przemówią.



Gdyby odwiedzający mieli wątpliwości co do tego, gdzie się znajdują, to tabliczka o tym przypomni



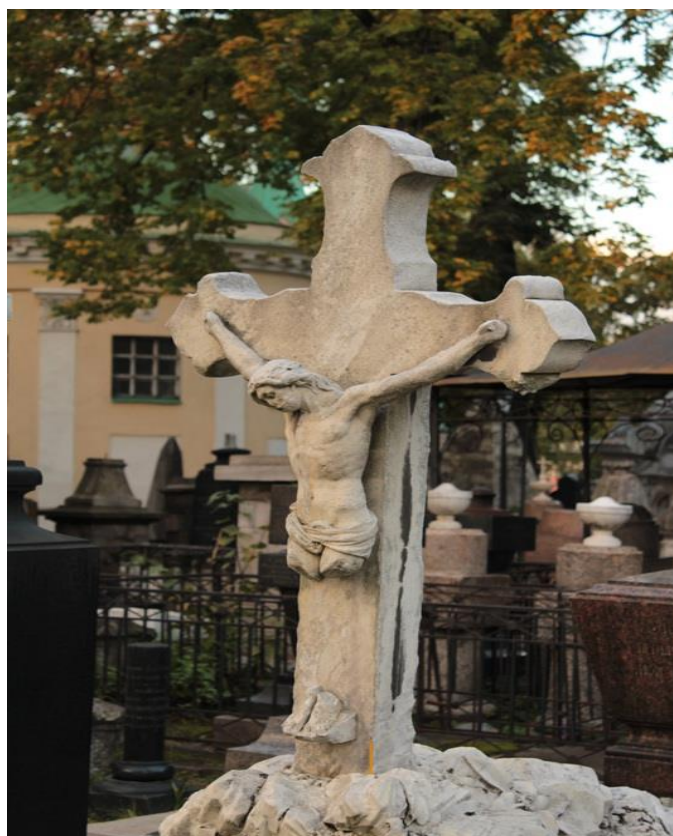
Opcja dla leniwych, czyli kapliczka przy wejściu



Ktoś tu najwyraźniej stracił głowę...



Posępna dama górująca nad grobami



Nóżki odpadły temu Jezuskowi!



Czyżby jakiś mały kawałek masonerii w monastyrze?



Kiedyś ludzie mieli styl...



Gwiazda cmentarza!



Jedna z wielu płaskorzeźb zdobiących mury klasztorne



*Baszty nie są w najlepszym stanie, ale w końcu piękno
też tkwi w ruinach*



Oprawa grobowa wyróżniająca się na tle reszty, czyli powrót do natury i tradycji



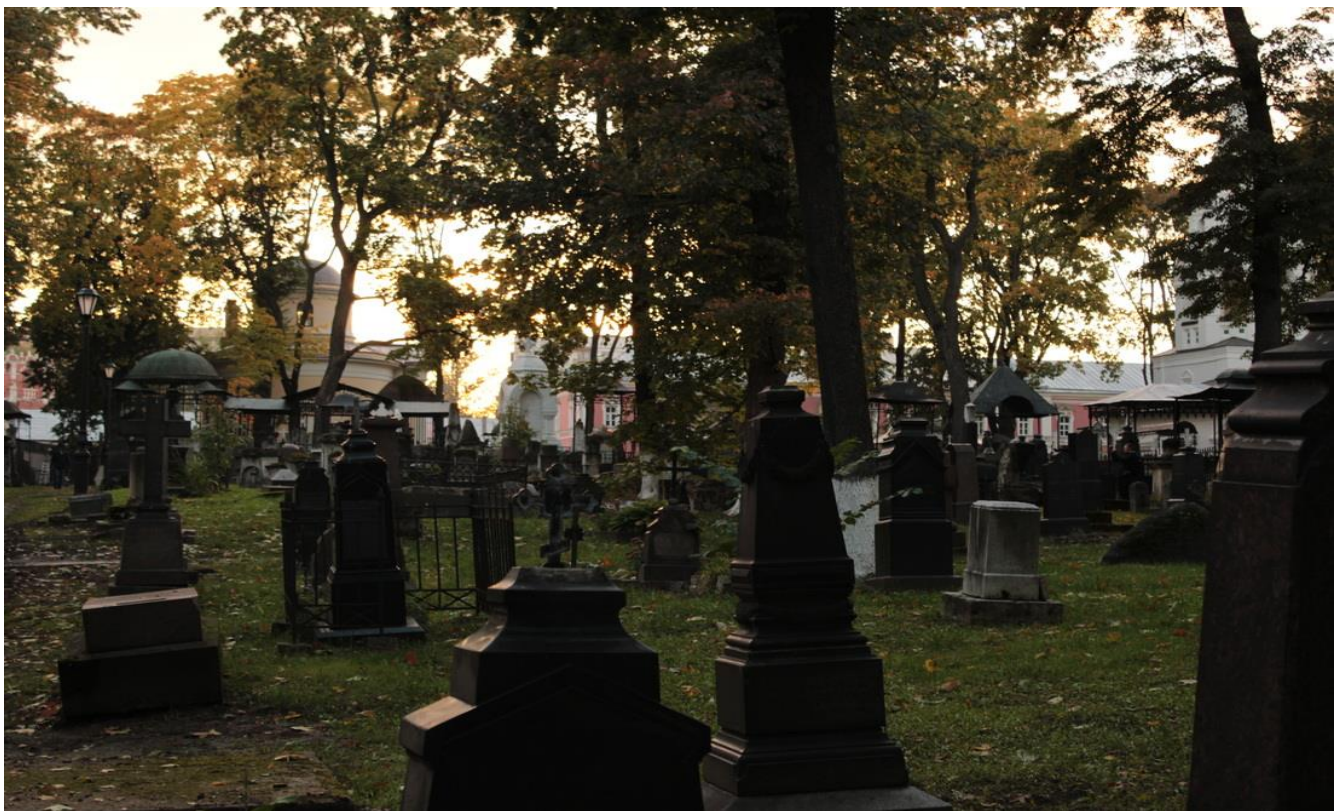
Wesoła czaszka!



Posępna dama z kolumną



Lecąca kura?



Do pełni szczęścia zabrakło tylko Rodziny Addamsów

Na lewo tank, na prawo tank

[19.10.2016]

– *Dlaczego ludzie idą w góry?*

– *Bo są.*

Tak jak ludzie gór nie widzą niczego dziwnego w takiej odpowiedzi na powyższe pytanie, tak i my, odkąd odkryliśmy istnienie muzeum czołgu T-34 na obrzeżach Moskwy, wiedzieliśmy, że udamy się tam właśnie z tego powodu. Oczywiście, że byliśmy świadomi, czego się spodziewać, ale grzechem byłoby nie zaliczyć takiego obiektu. W końcu nie będziemy mieszkali w Moskwie do końca świata, a zapewne w 2017 roku opuścimy to piękne miasto. Z tej okazji zrobiliśmy listę rzeczy, które musimy zobaczyć przed wyjazdem. Ma ona kilkadziesiąt pozycji i sukcesywnie, co weekend, staramy się zaliczyć któreś z nich. Tak też było 8 października, gdy nasz wybór padł na to jedyne w swoim rodzaju muzeum.

Obiekt ten kusił nas od dawna. Namawialiśmy nawet ludzi nas wizytujących, żeby jechać tam razem, ale jakoś się nie udało – wszyscy jakieś takie banalne muzea Puszkina czy inne Kremla, a nie kawałek wojskowej historii Związku Radzieckiego. Aligator nastawiony był sceptycznie (delikatnie mówiąc), ale nie poddawałem się. Niemal co tydzień sugerowałem, że moglibyśmy tam jechać. W październikowy sobotni poranek powitała nas tak koszmarna pogoda, że w końcu udało mi się: postanowiliśmy poświęcić dzień na muzeum czołgu T-34.



Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy jedziecie na Altufiewo

Dostanie się tam to nie taka prosta sprawa. Należy pojechać do bardzo północnej stacji metra Altufiewo. Po wyjściu z metra wita nas taka szara depresja i stada mrówkowców, że kusić może nas popełnienie samobójstwa. Obstawiam, że ludzie zabijali się z bardziej błahych powodów niż ujrzenie tego. Tu przygoda dopiero się zaczyna, bo trzeba znaleźć sobie autobus numer 401, który jedzie poza Moskwę. Kursuje on co 30 minut, więc oczywiście tyle czekaliśmy. Bilet 100 rubli, warunki w miarę cywilizowane. Niestety droga prowadząca do Dmitrowa cieszy się pewną popularnością. Stada ludzi kupują sobie tam mieszkania i domy, pracują w Moskwie, każdego dnia dojeżdżają i korkują ulicę. Potem pewnie opowiadają, jaka ta Moskwa to koszmar, bo nigdzie nie da się dostać poniżej dwóch godzin, no ale żyją w stolicy, sukces życiowy odnieśli. Wiedziałem o tym, że bywają tam korki, ale nie sądziłem, że w sobotnie wczesne popołudnie będzie dramat na dobre dwadzieścia minut stania w jednym miejscu. Widoki powalały.



Hej, młody junaku, smutek zwalcz i strach, Może na tym piachu za 30 lat, przebiegnie, być może, jasna, długa, prosta, szeroka jak morze Trasa Łazienkowska...

Wsiadając, powiedzieliśmy kierowcy, że prosimy, żeby wysadził nas w wiosce Szołochowo, przy muzeum czołgów. Oczywiście nieco sobie zapomniał, ale po interwencji udało się. Widzieliśmy, że dobrze trafiliśmy, bo szanse były raczej małe, że jakiemuś rolnikowi zostało parę czołgów w ogrodzie. Miejsca na muzeum nie wybrano przypadkiem, to stąd w 1941 roku ruszyły czołgi, by bronić Moskwy.



Kiedyś pola manewrów wojskowych, dzisiaj santechnika

Pewną zasadą, jaką rządzi się życie muzealne w Rosji, jest: im bardziej dupny obiekt, tym bardziej nieadekwatna cena za wstęp i restrykcyjna polityka dotycząca robienia zdjęć. Wiedząc, z jakiej rangi atrakcją mamy do czynienia, spodziewaliśmy się konieczności listownego wystąpienia do ministerstwa obrony narodowej, żeby dostać pozwolenie na zrobienie jednego zdjęcia w przedpokoju muzeum. Tu oczekiwało nas zaskoczenie: bilety po 100 rubli, a zdjęć można sobie było zrobić do woli i jeszcze trochę. Lepiej można było to zrozumieć po wejściu do wnętrza muzeum.



Mamusiu, jak tu ładnie!



Makieta pijanego czolgisty



Mokry sen radzieckich narodowców



Szkoda, że nie pokazali żadnej bielizny bardziej osobistego sortu...



Narodziny idei czołgu. Trochę szkoda, że nie abortowano jej przed narodzinami



„Panie dyrektorze, znalazłem takie fajne kamienie w ogródku, może je też wystawimy?”



Zabawki erotyczne narodowców

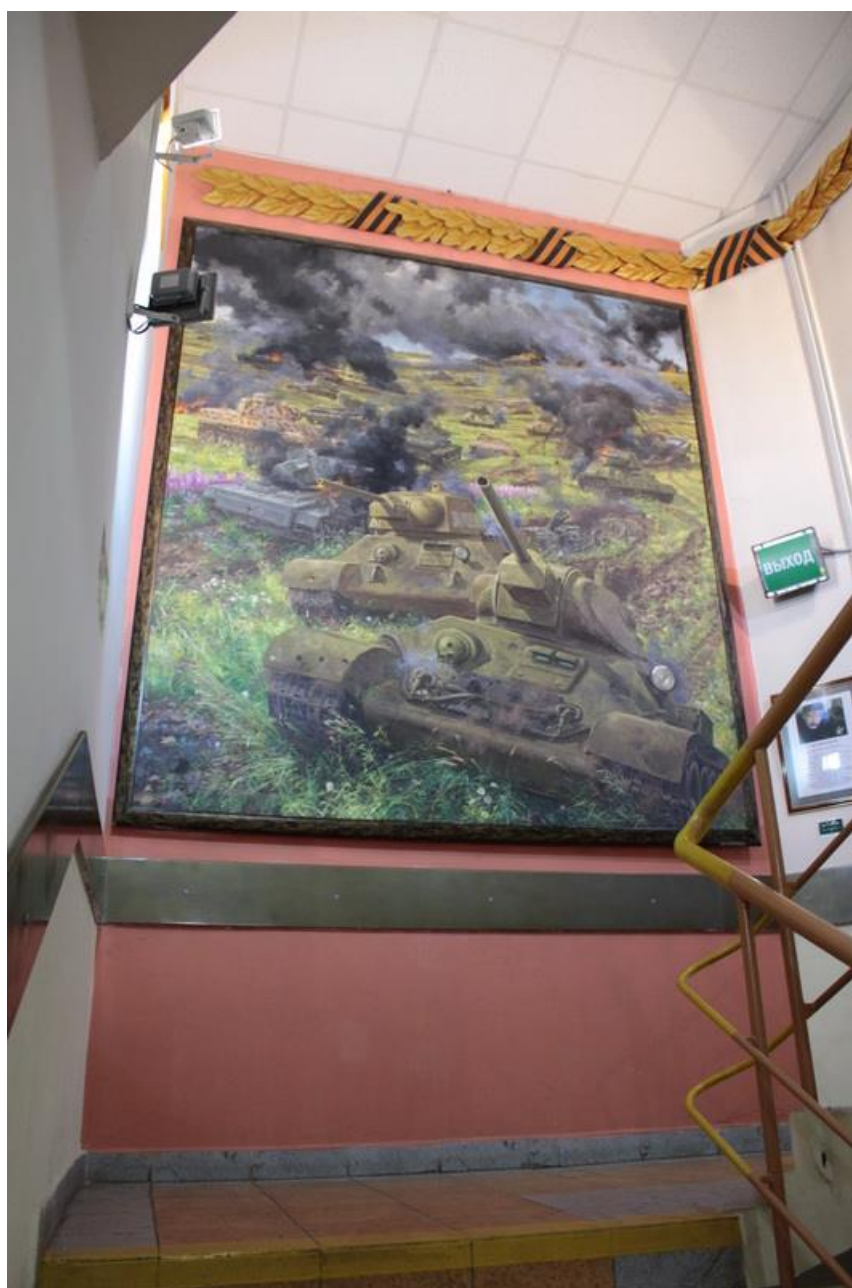


Patriotyczna pijana kura na gejowskiej grzędzie

Zebrano dość obłądną liczbę parafernaliów związanych z czołgami. Niby miał być T-34, ale ileż można o jednym? Dlatego były też inne modele. Niektóre eksponaty były dokładnie tym, czego się spodziewaliśmy – biografie konstruktorów, opowieści o tym, jak ten czołg wygrał wojnę, pamiątki, trochę osprzętu wojskowego. Były też mniej klasyczne zdobycze: jakiś zabłąkany Stalin, porcelanowe gadżety czołgowe. Kawalek jakby wyrwany z innej wystawy o tym, jak ważną rolę odegrały kobiety podczas obrony Moskwy. Zbiory zajmują dwa piętra, a na półpiętrze jest piękny przedstawiciel militarnego impresjonizmu.



Kobiety na czołgi!



Michał Anioł by się nie powstydził

Mimo sobotniego popołudnia, tłumów nie było. Oprócz nas przybyła druga para, tam pan wydawał się być żywo zainteresowany eksponatami, biegał od gablotki do gablotki i żywo opowiadał swojej partnerce, co też ciekawego wynalazł w czeluściach muzeum. Prawdopodobnie po drugiej gablotce podjęła decyzję o założeniu sobie konta na Tinderze. Przy czwartej, ustawienie się przy drodze, bo wszystko lepsze niż czołgi.



Co tobyłoby za muzeum bez dioramy?



Agresywny czołg atakuje pijanych przebierańców



A tu damy trochę karabinów. A co, stać nas!



Harmoszka. Czy trzeba dodawać coś więcej?



Ziemia. Ta ziemia. To znaczy tamta. Radziecka



Prawdopodobnie dzieło wnuczki pana dyrektora wykonane na zajęciach z plastyki

Prawdziwa perła skryła się przed wejściem do muzeum: dzwonnica z kawałków czołgu i łusek po nabojach. Na pierwszy rzut oka nie mieliśmy pomysłu, co to, potem dzięki opisom nam się rozjaśniło. Jak pięknie religia spotyka codzienność życia! Jeszcze rzut okiem na kapsułę pamięci poświęconą twórcom muzeum i trzeba było wracać.



Oczom ich ukazał się las... czołgów



Serce rośnie



Gdzie jest krzyż?! O tam!



Kto powiedział że sztuka sakralna nie może być awangardowa?



Kapsuła pamięci. Niestety o muzeum nie możemy zapomnieć...

Przystanku w stronę miasta za bardzo nie było. Czekać przy pasach, spotkaliśmy lokalnego emeryta. Na pytanie o opcje transportowe, użył dość niepokojącej frazy: transport będzie, „jeżeli Bóg pozwoli”. Szczęśliwie już kilka minut później pozwolił.

Samo muzeum nie do końca spełniło nasze oczekiwania: myśleliśmy, że będzie to absolutnie największa strata czasu, jaką można zaliczyć w tym mieście. Że będzie to obiekt tak absurdalny, że wysiadzie przy nim muzeum harmoszek. Że wszystko będzie chaotycznym nonsensem, bzdurą ociekającą prymitywnym patriotyzmem. Trochę tak jest, ale można było iść o wiele dalej. Bardzo mało jest o wyzwaniu i niesieniu wolności na czołgach. Umiarkowaną beznadzieję zbiorów muzealnych ubarwia nieco dojazd, a raczej czas, jaki może on zająć, pomaga nieco atrakcyjność oferowanych widoków. Muzeum czołgu T-34 jest złe, ale nie aż tak, żeby opłacało się je specjalnie odwiedzać.

Nowy rok będzie wspaniały!

[29.10.2016]

Co mają wspólnego ze sobą Putin, kwiaty ogrodowe, warzywa, prawosławni popowie, koty, Stalin, *Wilk i Zając*? Z całą tą bandą można sobie kupić kalendarze ścienne. Nie, że w jednym będą wszyscy, niestety, aż tak dobrze nie ma. Musimy zainwestować w kilka. Podczas wizyty braci i sióstr Polaków w zeszłym roku przeszliśmy obłędną ilość kiosków w poszukiwaniu kalendarza wydanego przez tygodnik „Zwjozdy i sawiety” („Gwiazdy i Porady”).



Przykładowe okładki periodyku, którego redaktorzy raczej nie dostaną w najbliższym czasie nagrody Pulitzera

Rynek prasowy od lat przeżywa kryzys, ale tygodnik „Zwjozdy i sawiety” daje sobie radę. Pewnie prędzej upadnie „Times” lub „Lancet” niż ten magazyn. Publikacja ta jest dokładnie tym, czego można by się spodziewać po tytule: stekiem bzdur z życia rosyjskich gwiazd (definiowanych dość szeroko), z dodatkiem porad, jak zrobić jakiś tam chinkał, znaleźć miłość życia albo zasadzić kwiatki w styczniu. Ktoś kiedyś uznał, że taka czytelnicza grupa docelowa potrzebuje czegoś ekstra na nowy rok. Kalendarza. Z panem prezydentem.



<3

Zastanawia, czy zrobiła to redakcja, czy może inspiracja przyszła z obozu władzy. Dlatego też „Zwjozdy i sawiety” wychodzą na przeciw ludzkim (a raczej rosyjskim) potrzebom i drukują coś, co w innej rzeczywistości skazałoby polityka na kabaretową rzeźnię. No może w Chinach lub Korei Północnej by przeszło.

28 października zrozumieliśmy, jaki błąd popełniliśmy rok temu: „Zwjozdy i sawiety” dają swój wspaiały kalendarz z solidnym wyprzedzeniem, szukanie go w grudniu jest pomyłką. W taki rarytas należy wyposażyć się już w październiku. Cena nie jest przesadnie wygórowana, żeby przejść przez rok 2017 z panem prezydentem, musimy wydać 60 rubli, marne 3,75 PLN. W zamian czeka nas dzika ekstaza i cały rok z Wołodią. Jest grubo. W paru miejscach zawiódł mnie mój rosyjski, ale co zrozumiałem bez bólu językowego, z bólem zdroworozsądkowym zamieszczam poniżej.

Styczeń

W dniu urodzin Jezusa życzę prawosławnym chrześcijanom szczęścia, pokoju i sukcesów. Wołodia religijno-refleksyjny. Strój stonowany, bordowy krawat i niebieska marynarka wzbudzają szacunek. Matrioszka zsiniała z zimna.



„A może zamiast tej świeczki podpalić brodę tego borsuka obok?”

Luty

Dla rodziców szczególnie ważne jest aby cały swój czas, całe swoje życie, poświęcić dzieciom, przekazać dziecku część swojej duszy.

Wołodia rodzicielski. Strój taki narciarski! Matrioszka dalej martwa z zimna.



Wołodia wysysający energię życiową 4-latka

Marzec (najpiękniejszy!)

Z kotkiem się przygarnęliśmy! Kocham zwierzęta. I najwidoczniej one to czują!

Lenin też lubił zdjęcia ze zwierzątkami. Wołodia ma chyba milion takich kurtek, ciągle w nich występuje.



Kot wygląda, jakby chciał uciec. Nie takie dziwne...

Kwiecień

Miałem dzień przechadzki! Przeszedłem po górach tylko 9 kilometrów i do tej pory wszystko mnie boli. (A dupa? Czy dupa też???).

Wołodia kowbojski na łonie natury. Matrioszka kontynuuje roztapianie się.



Jaszczur wspina się na drzewa!

Maj

Nasz wspólny dług to zachować pamięć o tych, którzy zginęli w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Wołodia refleksyjno-wspominkowo-wojenny, kwiaty w barwach wojenno-wspominkowych. Matrioszka prawie odtajała.



„Kiedy w końcu podadzą jedzenie, ile mam trzymać te badyle?”



I trujące kwiaty w tle!

Czerwiec (ale gównno!)

Odpoczynek w Rosji powinien być wygodny, ciekawy i niedrogi.

Wołodia rolniczy, odcinek pierwszy. Zasadniczo się zgadzam, ale jak już tak bardzo promujesz odpoczynek w Rosji, to może zrobicie jakieś info turystyczne, zniesiecie wizy, zatrudnicie ludzi, którzy mogą chociaż sprzedawać bilety po angielsku? Bo wiele osób chciało nas odwiedzić, ale w obliczu konieczności wydania około 100 dolarów na wizę i rejestrowania się, odpuścili. Językowo jest ciężko, nawet w Moskwie i Petersburgu, o jakimś Tambowie nie mówię. A czytelnicy „Zwjozd i sawietow” i tak są za biedni, żeby gdzieś jechać, więc pooglądają sobie Wołodię na wakacjach, i to im wystarczy. Matrioszka kwitnie.



Wołodia na traktory!

Lipiec

Włodzimierz Putin o amforach wyłowionych z Morza Azowskiego:

Ludzkości będzie ciekawie dowiedzieć się, jakież to mamy bogactwa! Myślę, że będą przyjeżdżać z całego świata! (mówilem ci już o wizach?)

Wołodia w stroju pletwonurka BALI. No i z amforą. Matrioszka kontynuuje wegetację.

Jeżeli ktoś nie żyje Wołodią, to info o tym wydarzeniu: Wołodia pojechał na wakacje nad Morze Azowskie. Wziął bety, zanurkował i wyłowił starożytne amfory. Przypadkiem byli tam fotoreporterzy. Naprawdę. W XXI wieku zrobiono coś takiego. Niektórzy wątpili, że on naprawdę jest taki zdolny. Jak mogli!



Fanki mdleją z wrażenia!

Sierpień (to jest chyba największe gówno...)

Wołodia, rolniczy, odcinek 2:

Bez chleba w ogóle nie da się żyć. I dobrze u nas mówią, że chleb to głowa wszystkiego. Tak było, tak jest, i tak na pewno będzie.

Zaskakuje ten kult chleba, jakieś 80% rosyjskich wypieków to bieda i syf. Najlepsze chleby są w prarosyjskich sklepach: Billa i Aszan. Matrioszka opalona.



Żeby tak z tego spadł...

Wrzesień

Wołodia lotniczo-ekologiczny:

Odczucia bardzo ciekawe, adrenalina szaleje! A ptaki przylatują do skrzydeł z prawej i z lewej. Wspaniałe dzieciątka!

Matrioszka zaczyna przekwitać.

To też była lepsza bzdura: Wołodia wsiadł w ten helikopterek, żeby pokazać żurawiom drogę, bo się pogubiły. Złośliwi mówili, że żuraw Alfa. Przypadkiem wszystko udokumentowano i ofocono. Ach ten Wołodia, dokąd nie pojedzie, to czyni świat lepszym, reporterzy uganiają się za nim, a on ze szlachetnym uśmiechem i wyrozumiałością pozwala się fotografować.



Reptilianin atakujący kurę



Wypieczka która nie ma nic wspólnego z typowymi wytworami rosyjskiego przemysłu piekarnianego

Październik

Wołodia na koniu. Treść mnie przerasta. To też była jakaś akcja ocieplania wizerunku. Dla mnie jest już rozgrzany do czerwoności! Matrioszka kontynuuje przekwitanie.



Wołodia na koń, narodowi lżej

Listopad

Zadanie polega na tym, żeby powiększyć ekonomiczne siły kraju, stworzyć armię, która jest w stanie zabezpieczyć suwerenność Rosji, szacunek partnerów i pokój.

Świetnie wam idzie, rubel jest tak atrakcyjną lokatą oszczędności, że wymieniam na bieżąco. A jeżeli ktoś by chciał podbić Rosję, to mu współczuję. Matrioszka dalej więdnie.



Botoks chyba trochę zelżał...



Matryoszka trzyma smocze kule?

Grudzień

Wołodia noworoczny, z zegarkiem (pewnie komuś ukradł...).

Przyjaciele! Wkrótce powitamy Nowy Rok. Ta chwila pomiędzy przeszłością a przyszłością jest nam znana od dziecka. Oczekujemy nowego roku z radością i nadzieją.

Matryoszka znowu zamarzła.



Niczym Kopciuszek na balu

Styczeń 2018 (BONUS!)

Rosja to kraj pokojowy i samowystarczalny. Niepotrzebne nam cudze terytoria i bogactwa. Ale w przypadku zagrożenia jesteśmy gotowi chwycić za broń, żeby bronić naszego bezpieczeństwa.



Badass

Jak na to popatrzeć, to ktoś może powiedzieć, że jakie czasy, taki Stalin. Mnie jednak bardziej przypomina to barachło z panem Jezusem, którym uszczęśliwiano mnie przez solidną część dzieciństwa. Wtedy były opowieści z życia Mesjasza; a to nauczanie w świątyni, a to jakiś spontaniczny cud. Rosja jest dość laicka, więc w zamian mają Putina z żurawiami i na traktorze. Dla kupujących „Zwjozdy i sawiety” wystarczy. Putin też dobrze wie, jaki jest elektorat i może mieć w dupie intelektualistów z Moskwy i Petersburga, bo ważniejsze jest mieć poparcie w Saratowie niż na Uniwersytecie Łomonosowa. Więc w jakimś Tambowie kupią ten kalendarz na poważnie, powieszą w kuchni lub salonie i będą się cieszyli jakiego mają fajnego wodza.

Nie możemy doczekać się końca grudnia! Od 1 stycznia będzie nam dane być prowadzonym przez najlepszego prezydenta świata i to przez cały rok!!!

Chodzić do pracy to dla nas święto!

[5.11.2016]

4 listopada jest w Rosji świętem narodowym. Tego dnia celebruje się to, że w 1612 wygonili Polaków z Kremla. Święto to jest z jednej strony nowe, z drugiej stare. Nowe, bo obchodzone od 2005 roku. Stare, bo obchodzono je od 1613 do 1917 roku. Potem mieli przerwę i cieszyli się z rewolucji październikowej. Ktoś jednak uznał, że trochę siara cieszyć się z okazji dokonań Lenina, z drugiej strony lud przywykł, że jest jakieś wolne i są pochody na początku listopada. Z tej okazji powołano do życia Dzień Jedności Narodowej, bo Rosja się zjednoczyła, żeby wygonić Polaków. O doniosłości tego święta niech przemówią liczby: aż 4% Rosjan wie, co też celebują w ten piękny, listopadowy dzień!

Nasz pracodawca wpadł na dość ekscentryczny pomysł: święta narodowe są naszymi dniami pracy. Z jednej strony, nie wypada narzekać, bo płacą nam podwójnie. Z drugiej, fajnie byłoby mieć jakiś długi weekend. W tym roku na to liczyliśmy, bo 4 listopada wypada w piątek. Akurat jest to najmniej obłożony dzień tygodnia, więc myśleliśmy, że nie będą piłować, żebyśmy pracowali.

Oczywiście myliliśmy się. Na kilka dni przed świętem pytano u administracji, czy wszystko będzie normalnie. Tak, tak! Me życie tak się złożyło, że co piątek rano biorę udział w szkoleniu. Jest ono dla mnie na tyle ważne, że sam za nie płacę, więc akurat dość mi zależy, żeby tam być i posłuchać sobie opowieści z mchu i paproci o uczeniu. W święto narodowe dostanie się do naszego centralnego biura wymagało specjalnych zdolności. Po pierwsze, zamknięto wiele wyjść z metra. Po drugie, zamknięto ulicę Twerską. Dzięki temu szedłem opłotkami i dotarłem do biura spóźniony kilka minut. Miałem wiele szczęścia, bo udało mi się wyjść z metra, a kilka minut później nie było już tej możliwości.

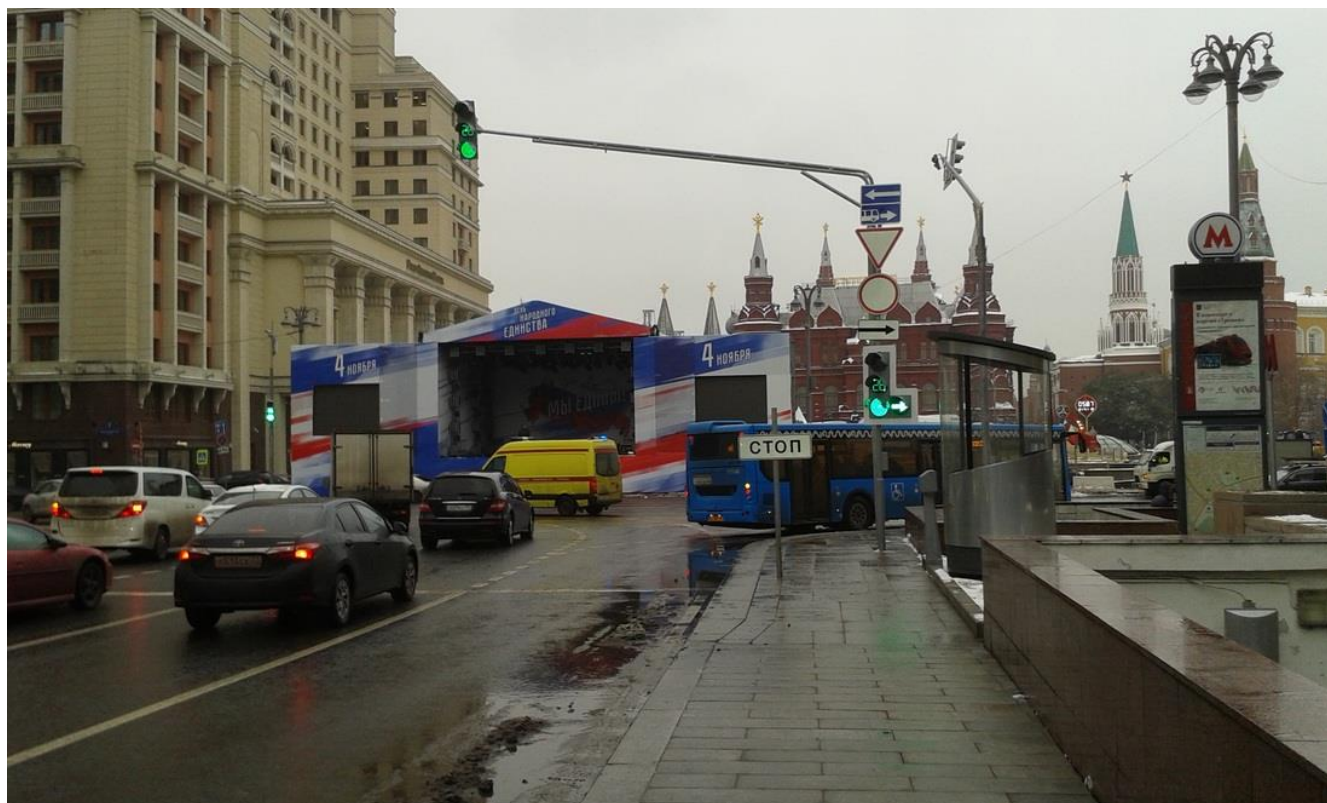
Mimo spóźnienia i tak byłem pierwszy. Ludzie przybywali przez następne 40 minut, a na zajęcia w sali obok to i godzinę. Kilku osobom nie udało się dotrzeć, bo zamknęli Twerską i nie dawali przez nią przejść. Jeżeli zna się zaułki, to da się nadłożyć drogi i przejść dookoła, niemniej jest to poważna wyprawa, z cyklu takich, co lepiej się w nie nie bawić. Przez kolejną godzinę słyszałem bluzgi w kilku językach dotyczące tego, jak fajnie się dojeżdża do biura w święto narodowe. Adresatem tych bluzgów było państwo rosyjskie. Ja swoje nawyklnałem, ale pod nieco innym kątem: to nie państwo rosyjskie wymyśliło, że musi zarabiać pieniądze w święto narodowe. To nie państwo rosyjskie uparło się, żeby mieć lekcje w coś w stylu święta niepodległości. Ba, państwo rosyjskie wymyśliło, że w takie dni się nie robi. Jeżeli niemal zawsze we wszystkie święta ulica Twerska jest zamknięta, to dlaczego założono, że w ten dzień nie będzie? Nie zajęło mi bardzo długo odkrywanie tego, że święta narodowe są horrorem komunikacyjnym, że wszędzie są stada ludzi i że lepiej siedzieć w domu lub jechać na zadupie, pod żadnym pozorem do centrum.

Władza tutaj kocha wyciągać ludzi na ulice, żeby sobie pokrzyczeli, że kochają Rosję. Co tam, że pogoda koszmarna, jedność narodowa pokonała Polaków, pokona i aurę. W metrze spotkałem pana z flagą z „Naród wspiera W.W. Putina”. Do łez rozbawił mnie emeryt z chorągiewką „110 rocznica wydarzeń 1905 roku”. Od 1905 do 2016 jest nieco więcej niż 110,

ale drobiazg. Podobnie jak to, że wydarzenia 1905 roku miały miejsce w styczniu, a nie w listopadzie. Może nie miał niczego bardziej adekwatnego, a chciał sobie pochodzić Twerską i pokrzyzczeć, to co? Miał przyjść z niczym? No więc przyszedł z rocznicą 1905 roku.



*Piękne logo święta. 4 listopada w jakimś Krasnojarsku.
Moskwa z lewej*



Scena, żeby miały gdzie dziać się sceny

Nie od dzisiaj wiadomo, że pieniądze odbierają rozum. Szkoda tylko, że z powodu obsesji zarabiania ucierpieli absolutnie wszyscy, ale nie nasz pracodawca, który to zapewne leżał na dupie w wyrze, kiedy stada pracowników próbowały jakoś dotrzeć do centralnych szkół. Trudno nawet ocenić, ileż to zarobiono na tym szalowym pomysle, za to ilość wkurwu, jaką widziałem 4 listopada, na pewno nie była tego warta.

W tym roku obchody nie ograniczyły się jedynie do centrum. Przy naszej stacji metra pochód mieli jacyś nacjonaści. Z hasłami „Jeden front – jedna Rosja” zbierali się do działania. Policja zamknęła wszystkie ulice, ich przyszło może czterdziestu, więcej mieli policyjnej ochrony niż uczestników marszu. Nawet toalet typu toi-toi było więcej niż nacjonalistów, którzy to wydawali się wpadać w dwie kategorie: za młodzi i za starzy żeby pracować.



Nie ma chleba, to przynajmniej są małe igrzyska



Biedny policjant musiał przyjść do pracy w święto...



Cerkiew, flagi narodowców i kantor pośrodku!

Uczenie w święta narodowe motywuje nas do wymyślania ciekawszych lekcji: w te dni miewałem frekwencję w stylu jeden na ośmiu uczniów. W efekcie siadasz sobie z nastolatkiem na 135 minut. Powodzenia! Po pierwszym takim doświadczeniu, kiedy to dwójka uczniów wychodziła na czworakach i życząc mi śmierci, nauczyłem się przygotowywać zajęcia na święta narodowe. Nie wolno robić luzu, bo przecież jak zrobisz luz, to ludzie będą nieszczęśliwi, że ciągnęli się na lekcję w ten specjalny dzień, żeby oglądać smoka Gogo i niczego się nie nauczyć. W efekcie pisałem z szesnastolatkami listy do Mikołaja, a z dorosłymi omawiałem różne modele tabletów.

Z pewnym smutkiem obserwujemy, że konkurencyjne szkoły marnują te cudowne szanse na wydarcie ludziom pieniędzy i nie uczą w święta narodowe zaś ich pracownicy mają wolne. Szczęśliwie, nasz pracodawca jest o krok przed innymi! My jednak coraz częściej myślimy o tym, żeby pozwolić mu kroczyć tą drogą bez nas.

[31.12.2016]

Moskiewskie metro to takie magiczne miejsce, w którym wszystkim się spieszy, wszyscy są spóźnieni, a przede wszystkim wszyscy są wkurwieni. Ludzie się pchają, form grzecznościowych nie uświadczysz, za to co chwilę ktoś pyta: „wysiadasz na następnym?”, co wcale nie znaczy zainteresowania destynacją współpasażera, a zachętę do przesunięcia się na bok. Prawdziwym horrorem są stacje takie jak Kievskaya, gdzie łączą się linie (czasem i trzy). Potoki pasażerów przelewają się z jednej stacji na drugą, a że metro budowano wiele lat, to dochodzą do tego przejścia niekoniecznie bardzo efektywnie zaplanowane. Złoty medal ode mnie idzie do przejścia z Łubianki na Kuznieckij Most, korzystam z tego koszmaru czasem i trzy razy w tygodniu, zawsze jest ludzki korek, nerwica i dramaty. Do tego jeszcze ktoś lubi pozebrać w przejściach, więc jeżeli ma się lepszy humor, to w trzy sekundy się go traci.

W metrze są ciągle remonty, więc jeszcze co jakiś czas dowiadujemy się, że „siewernyj westybul stacji zakrytyj”, czyli oczywiście potrzebne nam wejście nie działa, więc drałujemy, bywa, że i kilkaset metrów. Z drugiej strony, gdy w wakacje musiałem korzystać z krakowskiego MPK, to moja miłość do moskiewskiego systemu transportu wystrzeliła pod niebiosa. W Krakowie pokonanie dystansu w stylu ośmiu kilometrów może zająć ponad godzinę i kosztować ze dwa bilety. W Moskwie da się w tym czasie spokojnie przejechać ze czterdzieści kilometrów na jednym bilecie, a że w metrze jest darmowy internet (haczyk: trzeba mieć rosyjski numer telefonu), to podczas takiego przejazdu nawet da się załatwić coś ważnego. Podsumowując, moskiewskie metro jest najlepsze na świecie, tyle że przez większość czasu jest się tak wkurwionym, że się tego nie dostrzega.

30 grudnia miałem taki cudowny dzień pracy, że musiałem sobie pobiegać po mieście. Koło 17 przesiadałem się na stacji Białoruskaja, żeby jechać na Krasną Presnię. Humor miałem taki jak Dostojewski prowadzony na egzekucję. Oczywiście metro zamknęło mi drzwi dwa metry przed nosem. Wszystko przez to, że po drodze stali sobie turyści, którzy próbowali ustalić, czy są na tej stacji, co być chcą (z Białoruskiej jeździ Aeroexpress na lotnisko Szeremietiewo, więc nierzadko widzi się tam zagubionych ludzi z tobołami). No i zamiast stanąć sobie z boku, to stanęli na środku wejścia na peron. Odmieniłem w duszy kurwy przez chuje, sprawdziłem godzinę i wałęnałem tłustą dupę na ławce. W godzinach szczytu metro na najważniejszych liniach jeździ co jakieś dwie minuty, więc wiedziałem, że długo nie będę czekał. W końcu przyjechało, a ja spadłem z wrażenia.



Śnieżynka, czyli najpopularniejsze logo aktualnej pory roku

Widziałem ogłoszenia, że będzie jeździł jakiś noworoczny skład, ale mało mnie to obeszło, bo moje życie składa się ostatnio głównie z pracy i snu. Nie brakuje w metrze wagonów tematycznych. Rok kina, więc są kinowe, są upamiętniające wojnę, są upamiętniające konstruktorów metra. Jedne ciekawsze, inne mniej, jedne lepsze, inne gorsze. Nigdy jednak nie widziałem czegoś takiego.

Metro noworoczne. Rosjanie ogólnie mają w pompie Boże Narodzenie, ale Nowy Rok to najważniejsze święto świata, ważniejsze nawet od Wojny Ojczyźnianej. Ogląda się *Ironię Sudby*, czyli *Ironię losu* i chwala, że Barbara Brylska w tym grała, bo dzięki temu ma się punkty za bycie Polakiem. Poza tym się je (głównie sałatkę Oliwier, czyli prototyp sałatki ziemniaczanej) i chleje. Naprzeciw temu trendowi wyszło moskiewskie metro. *Ironii Sudby* nie dali, jadła też nie, ale zatroszczyli się o warstwę wizualną. Efekty cudowne!



Wszystko miga!



Dumny gil pozdrawia mieszkańców i turystów

Cały wkurw mi przeszedł. Wszyscy pasażerowie przeszli w tryb robienia zdjęć. Zamiast się przepychać i piłować ryja, ludzie stali się dla siebie mili i „przepraszam, chciałbym przejść”, „ale ładne śnieżynki!”. W miejsce „gdzie, kurwa, z tymi siatami?”, pojawiło się „ja pani pomogę, ja się przesunę, żeby pani zdjęcie wyszło”. Metamorfoza zaszła w trzy sekundy. Żal mi było, że jechałem tym składem tylko jedną stację. Absurd na kółkach, ale za to jak cudowny! Autor pomysłu powinien dostać jakąś nagrodę, bo udało mu się niemożliwe: z metra zazwyczaj chce się jak najszybciej wyjść. Z tego jednego składu nie chciał wychodzić nikt.



Barokowy przepych!



Takie samo szczęście spotkało Aligatora. A nawet lepsze, bo w jej wagonie był Dziadek Mróz ze Snieguroczką, którzy składali pasażerom życzenia

W takich chwilach zaczyna się wierzyć, że jedno z haseł reklamowych stolicy: „Moskwa, najlepsze miasto świata” nie jest bardzo przegięte. Poza metrem szaleństwa nadchodzącego święta widać było wszędzie. Sklepy udekorowały witryny, a kolejki osiągały rozmiary znane z socjalizmu. Ludzie na potęgę kupowali szampany i alkohole luksusowe. Wódka wydaje cieszyć się mniejszym zainteresowaniem, klasa średnia najczęściej zaopatruje się w whisky. Litrami.



Kawałek absurdu na naszym podwórku, czyli redaktor Jenot kontrolujący sąsiedzką dekorację

Cały ostatni tydzień przed Nowym Rokiem to ciężkie imprezy. Jedna z naszych szkół dzieli piętro z inżynierami. Miejmy nadzieję, że w środę nie projektowali niczego ważnego, bo libacja zaczęła się o 14, a koło 18 słyszeliśmy, że zaprawdę było grubo. Tak było chyba wszędzie, pewnego wieczoru na parkingu ujrzeć można było piękny obrazek: pan pił piwo przed wsiadaniem do auta. Zapewne chciał w ten sposób zamaskować wcześniejsze picie wódki. W jednym ze sklepów spotkałem obsługę w takim stanie, że odpuściłem zakupy (dodajmy, że był to sklep z piwem, więc daleko po napitki nie mieli). Człowiek z aktówką pod pachą i w garniturze tropiący węża po całej szerokości chodnika to widok właściwie codzienny w ostatnich chwilach roku.

Fachowo taka pijatyka zwie się „korporatyw” (ciekawe jak się zwało za poprzedniego systemu, bo nie uwierzę, że nie było libacji). Korporatyw to okazja dla pracodawców, żeby podziękować pracownikom za cały rok pracy. Często zaprasza się wszystkich do restauracji, podobno da się dostać nagrody nie tylko finansowe, ale nawet i dodatkowe dni urlopu. Jak powiedziała współpracowniczka: to okazja dla szefa, żeby pokazać pracownikom, że ich docenia. W wielu miejscach korporatywy są wyczekiwane tygodniami.

Oczywiście my oszczędzamy i u nas korporatywu nie było, a o premiach czy dniach urlopu nawet nie żartuję. Dla mojej współpracowniczki, która jest tu dopiero od paru miesięcy, był to szok i pierwsze zetknięcie się z miejscem, które korporatywu nie organizuje. Dla nas był to mniejszy szok, bo już tu trochę jesteśmy, więc nie zdziwiliśmy się, że zamiast korporatywu mogliśmy sobie popracować.

I tak jak w zeszłym roku, tak i w tym frekwencja na zajęciach była raczej niska. Na ostatniej lekcji roku 2016 miałem jednego ucznia. Sześciolatek Sasza niemal płakał, gdy zorientował się, że mamy się dla siebie na całe 90 minut, za to jego babcia była zachwycona, że Aleksander będzie mógł się ze mną tyle pouczyć w trybie 1-2-1 (one to one). Po 60 minutach Sasza błagał mnie, żeby mu odpuścić wycinanie choinek i bałwanków, bo on ma dosyć i chce na dachę. Gdy już skończyłem tę mordęgę, niemal zemdlałem ze szczęścia. Bo 31 grudnia rozpoczyna trwające cały tydzień wolne, w wielu przypadkach połączone z pijaństwem. Dla wielu Rosjan już ten ostatni tydzień jest takim miłym czasem, w którym do pracy chodzi się z przyjemnością, bo wiedzą, że będzie libacja i zero presji. Patrząc po obsłudze sklepów i służbach porządkowych, w ostatnie dni roku 2016 naprawdę pracowali głównie imigranci z Azji Środkowej. No i my.



Scena rodzajowa: Jolka, dwóch przybyszów z Azji Środkowej biegnących zrobić sobie fotę pod jolką, emerytka ignorująca jolkę



Dekoracja jednego z biedamarketów



Demoniczny bałwan...

Na samą imprezę udaliśmy się do znajomych. Wcześniej przeszliśmy przez centrum, ale na Twerską nie bardzo mogliśmy wejść, bo sprawdzali toboły i nie można było mieć alkoholu, a że zarówno my, jak i nasza koleżanka posiadaliśmy szampany, więc nie weszliśmy. Rosjanie rozpoczynają balety dość późno, nas zaproszono na 23. Od 21 do 22:30 łaziliśmy po centrum i szukaliśmy jakiejś sensownej knajpy. Temperatura w okolicach zera, w efekcie z dachów co jakiś czas spadały wielkie płaty śniegu. Przeważająca większość lokali była zamknięta, a jak już było coś otwartego, to miało biletowany wstęp. W końcu udało nam się usiąść w filii sieci Dorogaja, ja piereszwonju... („Kochanie, zadzwonię...”). Nie jest to moja ulubiona sieć, z piwami szalu nie ma, za to ceny iście bizantyjskie. Lany Heineken kosztuje 340 rubli. Szczęśliwie od jakiegoś czasu mają cydr, po 380 RUB (tak, piwo w knajpie w Moskwie kosztuje jakieś 20 PLN i to jest „normalna” cena). Urzekła nas ochrona, jak i w Polsce, przeważająca większość ochroniarzy w Moskwie to chujowe buce, z którymi nie chcesz mieć do czynienia. Jakimś cudem w tym lokalu ochrona była cudownie miła, żartowała z nami, panowie próbowali sił z językiem angielskim, życzyliśmy sobie wszyscy szczęśliwego Nowego Roku. Jak nie Rosja...

W metrze pustki, trochę krańcowo pijanych osób, ale ogólnie cudowna atmosfera, wszyscy się uśmiechali, nikt się nie pchał. Gdyby tak było każdego dnia... Chociaż wtedy bym nie doceniał tych nielicznych świąt kiedy to moskwiczenie stają się bardziej ludzcy. Sam się zresztą zaliczam do tej grupy, bo po paru miesiącach pracy tutaj opanowałem technikę bycia niemiłym dla świata podczas jeżdżenia metrem. Inaczej można by oszaleć, a tak ktoś popchnie mnie, ja popchnę kogoś. Ktoś mnie opierdoli za plecak, ja kogoś za stanie w przejściu, naprawdę fajnym doświadczeniem jest komunikacja w stolicy największego kraju świata. Jednak 31 grudnia wszyscy wszystkich przepuszczali, a poza tym było pusto. Gdy szukaliśmy mieszkania koleżanki, to jacyś ludzie bardzo chcieli nam pomóc, że może to tamten budynek, a może tamten, bo tam jest taka numeracja, a tam taka. Jaja, doprawdy jaja.

Sama impreza noworoczna była cudownie spokojna, składała się z importowanych piw i szampana. W składzie dwójka Polaków, jedna Czeszka i paru rosyjskich Buriatów życzyliśmy sobie wiadomych rzeczy. Uparliśmy się, że musimy oglądnąć Putina i trochę się dziwnie patrzyli, gdy żywiołowo reagowaliśmy na przemowę Wodza. Przyznam, że naprawdę niezłe przemówienia mu piszą, jego życzenia były bardzo neutralne, do tego sprawiły, że poczuliśmy się cholernie dumni, że mieszkamy w kraju rządzonym przez jednego z reptilian.



To on, to on! Jaszczur z kosmosu przemawia!

Potem zaś nasi Buriaci wyznali nam, że kochają karcianą grę *Wybuchające koty*. Tak, zgodnie z tytułem, chodzi o wysadzanie w powietrze kotów innych graczy. I tak jak kolega Buriat cały wieczór siedział raczej cicho, to jak tylko zaczęły się kotjata, to się rozkręcił.



*Normalni ludzie o 3 nad ranem w Nowy Rok
grają w rozbieranego pokera...*

Koło 4 rano zebraliśmy się do domu. Moskwa totalnie wymarła, wszędzie pustki, w oddali fajerwerki, ale w zasięgu wzroku martwa cisza. Dopijając jakiś pożegnalny cydr, usiadłem w metrze. Stwierdziłem, że prawdziwymi bohaterami tego dnia są pracownicy metra. Z okazji Nowego Roku wszystkie linie działały całą dobę.

W Polsce Nowy Rok kończy okres świąteczny. W Rosji zaczyna, do pracy wracamy 9 stycznia. Nie mamy słów, żeby powiedzieć, jak bardzo nam potrzebne te parę dni wolnego. Przy okazji stwierdzamy, że wolimy wersję rosyjską. Zapewne dlatego wszyscy tu tak kochają Nowy Rok. My również. Rozpoczynamy tydzień kąpania aligatorów w piwie i polewania jenotów szampanem!

Smętarz dla poetów, wypas dla wariatów

[6.02.2017]

Jeżeli za poprzedniego systemu jakaś słynna osoba opuszczała ten łez padół, wówczas przychodził trudny czas na decyzję: gdzie go (rzadziej ją) pochować. Największe gwiazdy były składane przy murze kremlowskim. Na drugim miejscu był cmentarz przy klasztorze Nowodziewiczym. Potem był cmentarz Wagańkowski. Z tej trójcy największy jest ten ostatni. Pozostaje on też najbardziej w użyciu, pod mury Kremla już się raczej nikt nie załapie (nawet Wołodia, jego decyzją budują panteon narodowy pod Moskwą, jest tam już Kałasznikow), na Nowodziewiczym też jest bardzo gęsto, ale Wagańkowski to miejsce klasy krakowskiego cmentarza Rakowickiego. Jest parę znanych osób, ale znacznie więcej „normalnych” ludzi (biorąc pod uwagę, że nekropolia zajmuje 50 hektarów, to nie takie dziwne).

Nasze zainteresowanie tym obiektem wzrosło po ustaleniu, że spoczywają tam przynajmniej trzy bardzo ważne postaci: Jesienin, Okudźawa i Wysocki. Pewnego niedzielnego dnia wzuliśmy onuce i pojechaliśmy nawet nie bardzo daleko. Jeszcze zanim dotarliśmy na Wagańkowski, odkryliśmy, że po drugiej stronie ulicy jest cmentarz ormiański. Groby, które można tam znaleźć, są wielce intrygujące i nawiązujące do tradycji portretów nagrobnych w stylu raczej przerażającym.



To ptak? To samolot? To Superman?



Ta figura jest przynajmniej ciekawa...



Ta również jest ciekawa, ale jakby trochę inaczej...

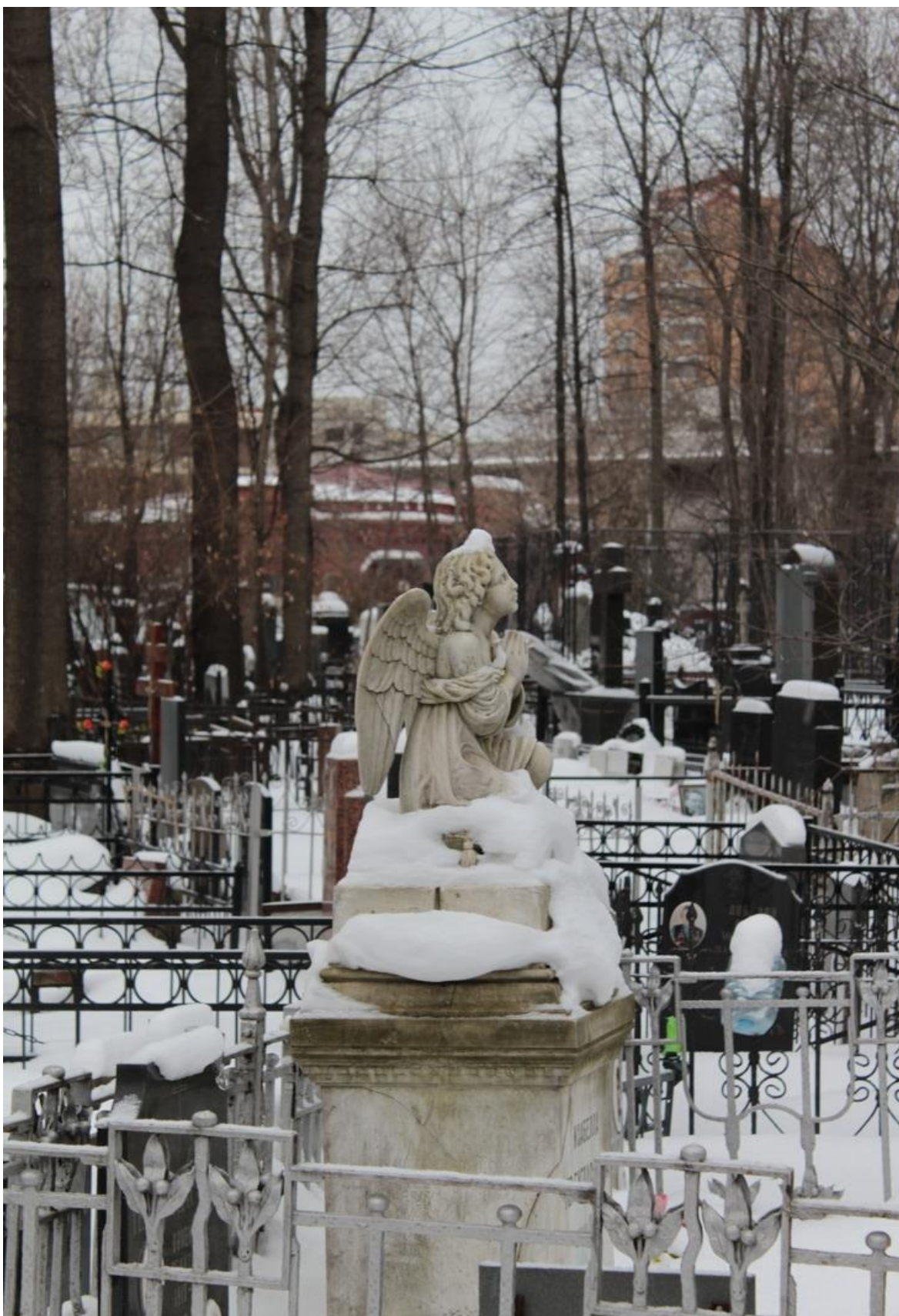


Autostrady, samochody... Czy ten pan był rajdowcem?

Wzruszył nas też sklep z pamiątkami, gdzie można było zaopatrzyć się w dość nacjonalistyczne memorabilia, oczywiście związane nie z Rosją, a byłą republiką radziecką. Współcześnie już nie tak łatwo znaleźć taki unikat jak płytę CD pełną zdjęć jpg, zwłaszcza, że nie były to zdjęcia z paniami, a z najpiękniejszymi zakątkami Armenii i Karabachu. Kolejek po to nie było.



Na szczęście było też trochę ciekawszych rzeźb funeralnych



W Rosji panuje tajemnicze uwielbienie dla płotów...

Na samym Wagańkowskim interesowały nas miejsca pochówku trzech osób. Na pierwszym miejscu był Jesienin. Wersja mainstreamowa mówi o tym, że po latach ciężkiego picia i depresji, 28 grudnia 1925 roku Jesienin powiesił się w hotelu Internacjonal (Angleterre, jak go zwano przed rewolucją, a w sumie i po) w Leningradzie. Wersja mniej oficjalna głosi, że poetę zamordowały służby specjalne, a trumnę tuż po pogrzebie zalano betonem, aby nikt nigdy nie mógł przeprowadzić sekcji zwłok.



Tak miał wyglądać idol nastolatek tuż po śmierci...



A tak na swoim pogrzebie...

Znaleźliśmy plan nekropolii i ledwo zaczęliśmy go analizować, przyszedł do nas pan, którego wygląd dobrze przypominał nam, że niedziela jest po sobocie:

– *Chętnie państwa oprowadzę, znam tu niesamowicie ciekawe miejsca, takie, których sami nie znajdziecie.*

– *Dziękujemy.*

– *Sami nie znajdziecie, a to piękne miejsca.*

– *Dziękujemy.*

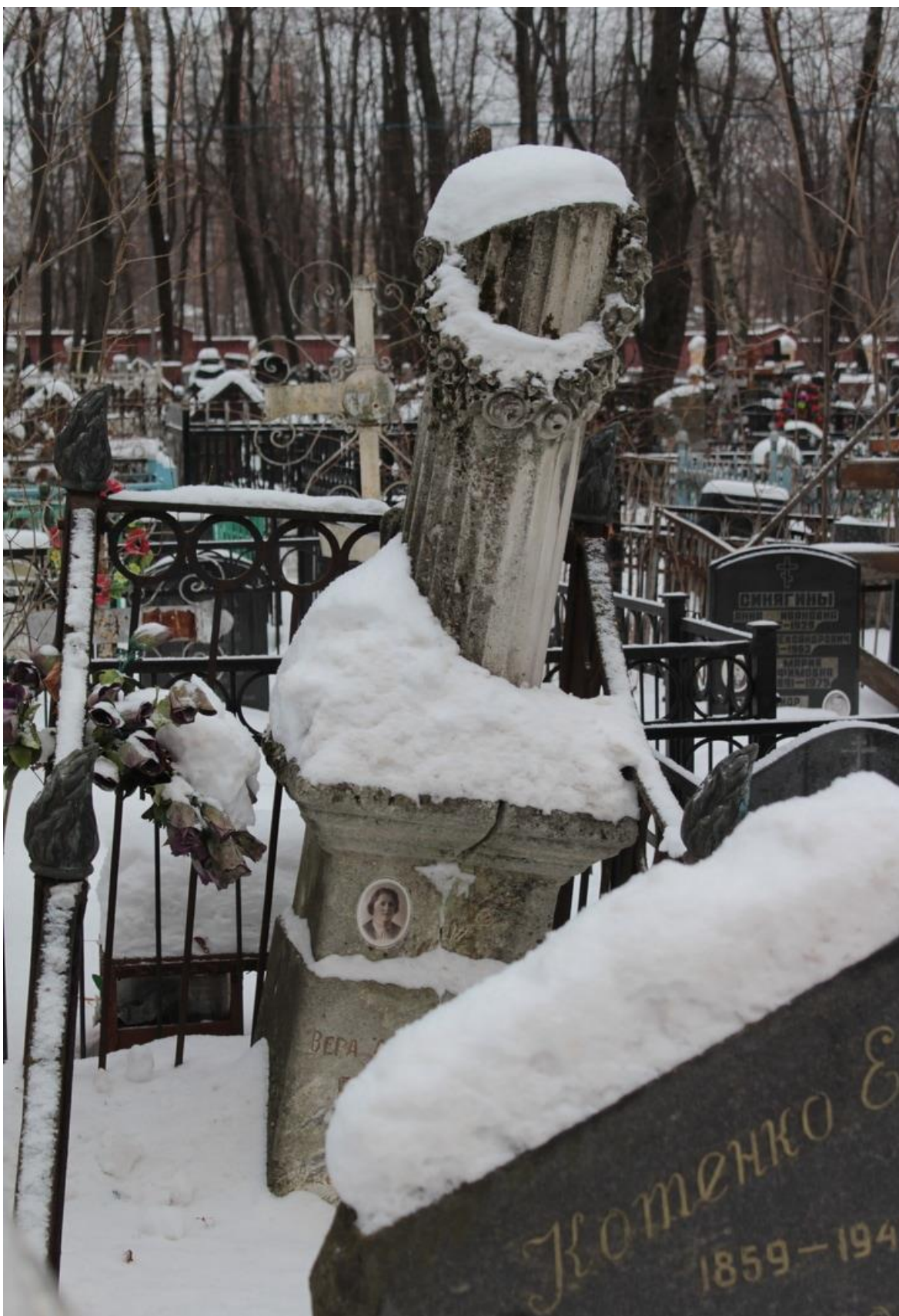
Jeszcze nie dotarliśmy do Siergiusza, a trafiliśmy na pana, którego stan sugerował, iż w jego czasoprzestrzeni niedzielny poranek to piątkowy wieczór.

– *Aaa, wiem, Jesienina szukacie! A czy wiecie, że w roku 1926 na grób Jesienina przysłała młoda kobieta, usiadła, popaliła i się zastrzeliła? Pochowali ją tu obok. A wiecie, że tam leży kolega Jesienina, który wiedział wszystko o jego zabójstwie, więc też zginął w latach 30.? Ha, a myślicie, że to prawdziwy grób? A gdzie tam, to zbudowali w 1986, wcześniej był tu prosty krzyż.*



Grób-falszywka

Całą tę wiedzę pan sprzedał nam, nie wyjmując papierosa z ust i w tempie takim, że musiał zakładać, że naszym pierwszym językiem jest rosyjski. Chciał nam pokazać cały cmentarz, ale za jedyne 50 rubli udało mi się podziękować mu za usługi. Przyznam, że trochę się łamałem, te opowieści o Jesieninie były świetne. Gdyby miał jeszcze kilka takich, to można byłoby się przejść wspólnie. Problemem było tylko to, że pan nie miał cennika, ale widziałem, że 50 rubli za krótką opowieść znacznie przewyższyło jego oczekiwania. Oczywiście było też pierońsko zimno, jak to w styczniu w Moskwie, co sprawiało, że dłuższy spacer po cmentarzu nieco nas przerażał.



Starsze nagrobki miały pewną klasę...



Szkoda że tradycja emaliowanych wizerunków nie zachowała się...



To się nazywa skromność!



Urokliwy chaos. I płoty



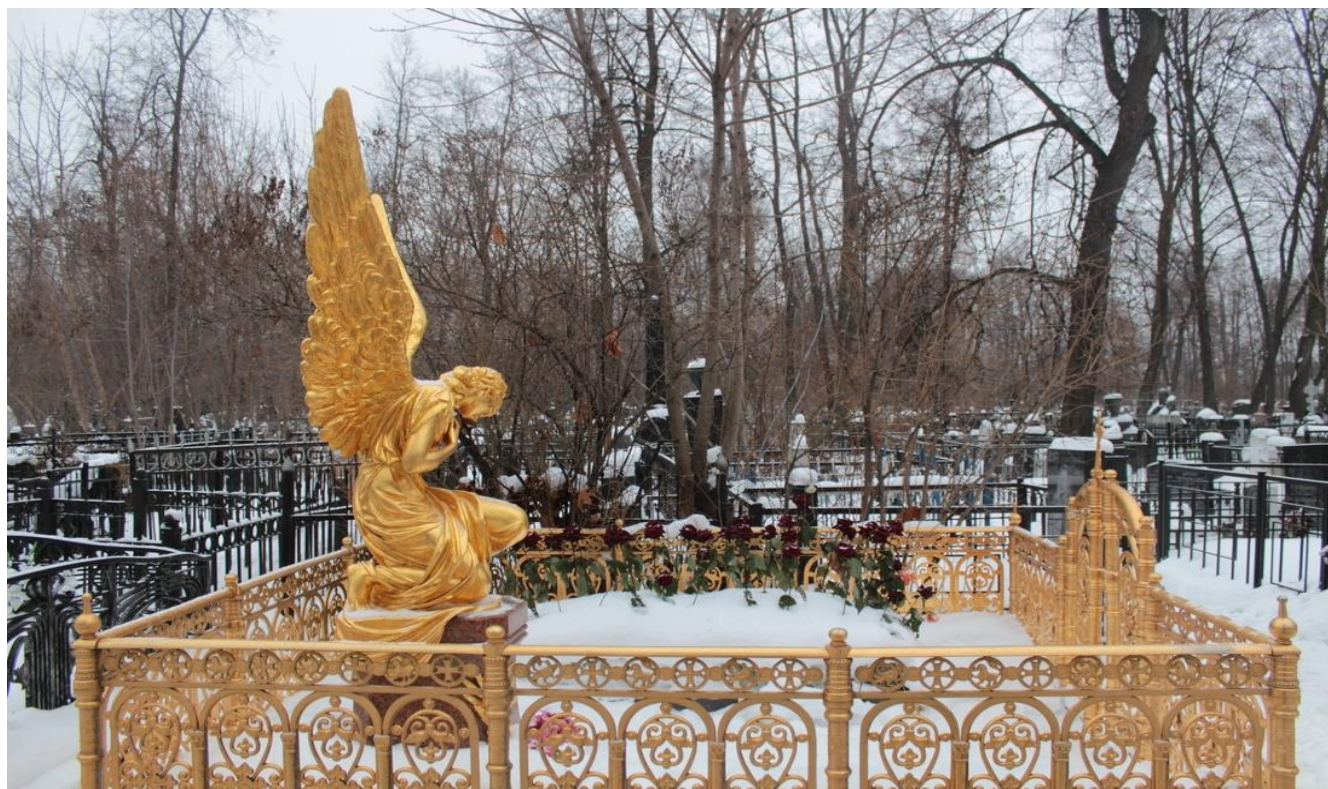
A także kot cmentarny jedzący mięsko. Nawet nie chcemy wiedzieć, skąd je miał

Poszliśmy szukać Okudźawy i Wysockiego. Gdzieś między grobami natrafiliśmy na matkę lub babcię z dzieckiem. Mieli siaty pełne jedzenia, z nich wypadały produkty żywnościowe, a dziecko je kopowało, zaś piastunka zbierała. Wyglądało to jak z bardzo dziwnego horroru. Niby dziady i tradycje karmienia zmarłych, ale jakaś lokalna Jogobella na nagrobku?

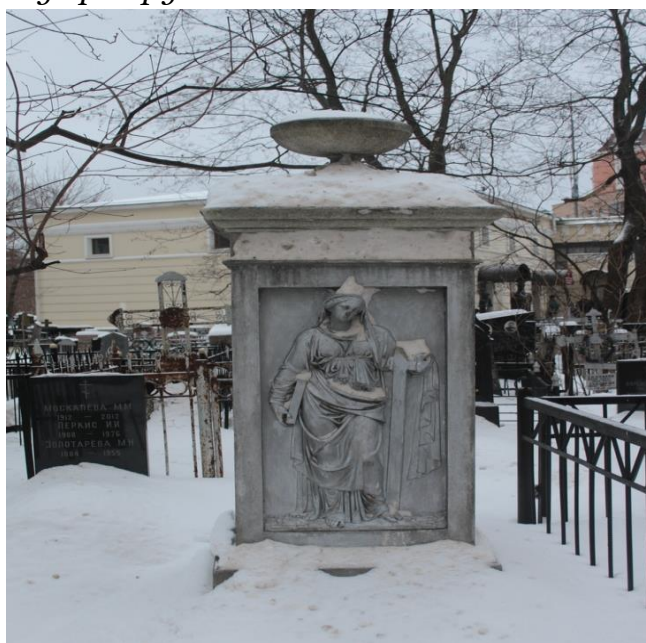


Kamień. Tym razem nie z Zielonej Góry, a własności Okudźawy

Długo jednak o tym nie myśleliśmy, bo koło Okudźawy był kolejny pan, który chciał nas oprowadzić i przeszedł z nami kawałek, opowiadając, że zna miejsca, których sami nie znajdziemy. My na to sami znaleźliśmy jeszcze tylko Wysockiego i uciekliśmy. Niby są teorie, że i Wysocki nie do końca umarł naturalnie, ale jednak, nie jest to aż taka historia jak Jesienin, a 1980 to nie był 1925. Zanim dotarliśmy do Wysockiego mogliśmy prześledzić ewolucję wizerunku anioła na grobach...



Anioł w stylu bizantyjskiego przepychu



Anioł klasycystyczny



Anioł neo-naiwny?



A oczom ich ukazał się... Wysocki w tumanie

Nasi niedoszli przewodnicy mieli rację w sprawie miejsc, do których nie udało nam się dotrzeć: nie znaleźliśmy ofiar paniki na Chodyncy, co jest takim historycznym ekwiwalentem opowieści o promocji crocsów w Lidlu, ale na skalę rosyjską. 30 maja 1896 na ówczesnym Podmoskwiu odbywały się uroczystości związane z koronacją Mikołaja II. Na Polu Chodyńskim zebrało się jakieś pół miliona poddanych, których skuszono opowieścią o tym, że za udział

w celebracjach dostaną jedzenie, a nawet piwo, pamiątkowy kubek i złotą monetę. Poszły plotki, że nie wystarczy dla wszystkich, ludzie się rzucili i w efekcie zadeptali 1389 osób. Nie chiano psuć humoru nowemu władcy, więc opowiedziano mu o tym z pewnym opóźnieniem, co go przesadnie nie wzruszyło i na bal wieczorem sobie poszedł. Wydawałoby się, że znalezienie mogił 1389 osób będzie nieco łatwiejsze niż paru poetów, ale w tym wypadku postanowiliśmy uznać, że panowie mieli rację i że jest to jedno z miejsc, którego samemu znaleźć nam się nie uda.

Krótki komiks o Cmentarzu Wagańkowskim w Moskwie



Przygody cmentarne zainspirowały Aligatora do wykonania powyższego dzieła

Gdy już prawie wychodziliśmy, za rękę chwyciło mnie dziecko. To, które wcześniej rozkładało jogurty na grobie.

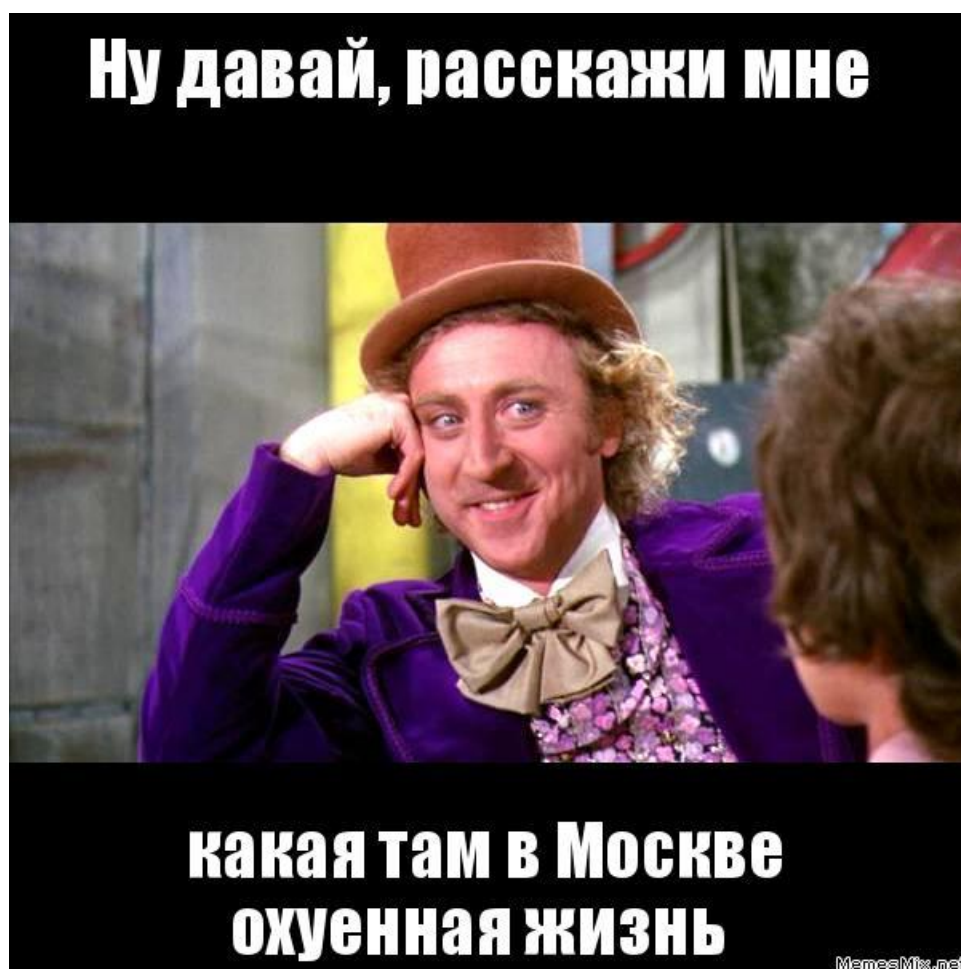
– *Dieduszka!* – krzyknęło.

– *Zostaw dieduszkę* – poradziła jego opiekunka.

Gdy potem staliśmy na świetle, podeszli do mnie z serią pytań związanych z komunikacją miejską. Nawet byłem w stanie udzielić kilka słów odpowiedzi. Uciekaliśmy potem od nich bardzo zdecydowanym krokiem.

Przy Kremlu jest oczywiście więcej żołnierskiej ochrony niż zwiedzających. Na Nowodziewiczym spotyka się wycieczki turystyczne i przewodników z parasolkami. Wagańkowski jest zdecydowanie bardziej autentyczny. Intryguje nas, jakich rozmiarów są dramaty rozgrywające się tam wiosną, chociaż może to mróz przyciąga tych nieco mniej banalnych ludzi, którzy dorabiają jako przewodnicy. Lub przynoszą ze sobą zakupy spożywcze, by je potem spontanicznie porzucić.

[28.06.2017]



„No dalej, powiedz mi, jakie w tej Moskwie chujowe życie!”

Mógłbym się znęcać nad Rosją i Rosjanami niemal bez końca. Po doświadczeniu pracy w Rosji jesteśmy kopalniami historii o tym, jak legendarna dusza rosyjska przekłada się na realia pracownicze i społeczne. Na przykład tak, że gdy podczas zebrania wstawali obcokrajowcy i mówili o tym, że coś jest nie do przyjęcia, to Rosjanie uciszali ich i odpowiadali, że tak nie wolno, bo przecież jak się pracodawca zdenerwuje, to może zwolnić. Dla ludzi, którzy mieli jakieś doświadczenie życiowe, nie była to przerażająca groźba, ale dla krajowców jakiegokolwiek wystąpienie przeciwko zwierzchnictwu, czy to rozumianemu jako pracodawca, czy jako Kreml, to misja samobójcza, a nawet bardziej grzech. To jeden z powodów, dlaczego wiele rzeczy w Rosji wygląda jak wygląda.

Nie wiem, czy Rosjanie są w stanie poskarżyć się na cokolwiek – pewnego popołudnia byliśmy na *Balu wampirów*. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu, policzono nam za szatnię – bo kurtka nie miała wieszaka/haczyka/pętelki i musieli nam wydzierżawić wieszak. Kosztowało to 50 rubli, ale jeżeli człowiek kupił bilety za 2000 rubli, to chyba mógł naiwnie mieć nadzieję,

że wliczono w to koszty szatni, w tym nawet i arendę wieszaka. Już po spektaklu zrobiłem cyrk, wezwałem jedną panią, ona drugą, wymieniliśmy poglądy nt. tego, czy można kasować za wynajem wieszaka. Jedynym wyjaśnieniem, jakie usłyszałem, było to, że oni są teatrem komercyjnym, a jeżeli zachciewa mi się darmowej szatni, to powinienem iść do państwowego. W końcu udało mi się ich przerazić: powiedziałem, że podpierdolę ich, bo nie wydali mi paragonu fiskalnego na wynajem wieszaka. Menadżerka pobladła i pognąła wypisać mi PIÓREM WIECZNYM wielki paragon, że pobrali od nas 50 rubli za arendę wieszaka. Powiedziałem jej, że wydanie paragonu trzy godziny po pobraniu pieniędzy jest dowcipem. Zapytałem, ile takich kwitów wystawili przez całe popołudnie. Oczywiście poza tym moim, wywalczonym w pocie czoła, zero. Pożegnałem się z obsługą dość chłodno, informując, że podpierdolę ich do władz. Skoro w wielu sklepach w Rosji wiszą kartki, że jeżeli nie dostałeś fiskalnego, to zakupy masz za darmo. Zapewne podobna zasada obowiązuje też sektor usług, zresztą paragony dają wszyscy i wszędzie.

Gdy następnego dnia opowiedziałem o tym współpracownikom, dowiedziałem się, że faktycznie, szatnia powinna być za darmo. No ale po co robić dramat? Przecież 50 rubli to niewiele. Oczywiście tłumaczenie, że nie chodzi o tę zawrotną sumę, tylko o schemat ruchania widza, nie chwyciło. Poprosiłem o namiary do jakiegoś rosyjskiego urzędu, który by się tym zainteresował. Cztery dorosłe osoby nie były w stanie wykombinować niczego takiego, a na moje sugestie skorzystania z wyszukiwarki Yandex, przekonywały mnie, że nie ma po co, właściwie dawały mi do zrozumienia, że takie coś, to chamskie pieniactwo. Już czekałem aż się ściępną na te 50 rubli, bo nie mogły wyjść rozumieniem ponad pojmowanie tego jako dramatu człowieka walczącego o jakieś trzy złote.

Takich cudów znalazłbym jeszcze немало, głównie dotyczących tematów jakości obsługi klienta i norm społecznych. Jednak nie chcę się jedynie znęcać nad matuszką Rosją. Być może jest to rodzaj syndromu sztokholmskiego, aczkolwiek w Chinach takowego nie rozwinęliśmy. Bardziej jednak obstawiałbym to, jaki jest obraz Rosji w polskich (i nie tylko) mediach. Początkowo baliśmy się odezwać do siebie po polsku, bo przecież nacjonaści zabijają. Powrót po zmroku, to pewnie walki uliczne będą. Policjant? Jak nie zaraz będzie chciał pieniędzy. Przez ponad półtora roku życia i pracy w Moskwie nie spotkało nas nic z tej listy. Gadaliśmy po polsku, rosyjsku, a nasi znajomi po włosku i francusku. Nigdy nikt nie spotkał się z żadną agresją. Największe dramaty przestępcze to skoszenie dwóm osobom portfeli w barze. Możecie domyślić się, czy osoby te były trzeźwe i pilnowały swoich rzeczy, czy też rzuciły swoje bety w kąt lokalu i pobiegly flirtować z barmankami. Przemocy (wobec obcokrajowców) żadnej nie widzieliśmy, wrzasków nocnych nie uświadczyliśmy (tylko kiedy sąsiad z bloku lał swoją żonę...). W zamian przeżyliśmy pełno przyjemnych rzeczy.

Rozpoczynając pracowniczo, po stronie plusów byli nasi przełożeni naukowci. Ludzie, z którymi omawiało się kursy, debatowało nad różnymi problemami i którzy obserwowali nasze lekcje. Mieliśmy dość dużo szczęścia, opieka naukowa trafiła nam się bardzo przyjemna, racjonalna, uczciwa i spokojna. Gdybyśmy chcieli, to nie widzielibyśmy ich w ogóle, ale często chętnie ucinaliśmy sobie pogawędki, czy to zawodowe, czy życiowe. Było to wszystko rozwojowe, zwłaszcza na początku, w drugim roku zdarzały się już powtórki tematów, ale wcześniej nierzadko chłoniliśmy z otwartymi ustami. Bycie obserwowanym i otrzymywanie rzetelnych komentarzy na temat swojej pracy pomagało nam w podwyższaniu standardów. Zyskiwali

na tym nasi uczniowie, w jakimś sensie też my – w końcu przyjemniej prowadzi się lekcję, w której A spotyka B, a potem daje C, niż dziki chaos, w którym zagubieni są uczniowie, metodologia i sens, a najbardziej prowadzący. Jest pewną nagrodą dowiedzenie się od dziesięciolatka, że u niego w szkole nie ma takich fajnych nauczycieli. Że to super, że się nie krzyczy i na wszystkie pytania od razu odpowiada. Również rodzice, dziękujący za to, że ich dzieci piszą wszystkie testy najlepiej z klasy, dokładali się do tego, że praca nie była tylko torturą. Nie zawsze było tak różowo, ale wyjechaliśmy z Rosji jako nauczyciele o wiele bardziej profesjonalni, otrząskani z kilkoma systemami egzaminacyjnymi, podręcznikami i uczniami. Mówiąc o tych, zawsze trafiała nam się jedna cudowna grupa, dla której lepiło się najlepsze lekcje świata i gdzie człowiek chodził z przyjemnością. Dopóki nie musieliśmy zmagać się z administracją, a mogliśmy zajmować pracą, ogólnie nie było nam bardzo źle



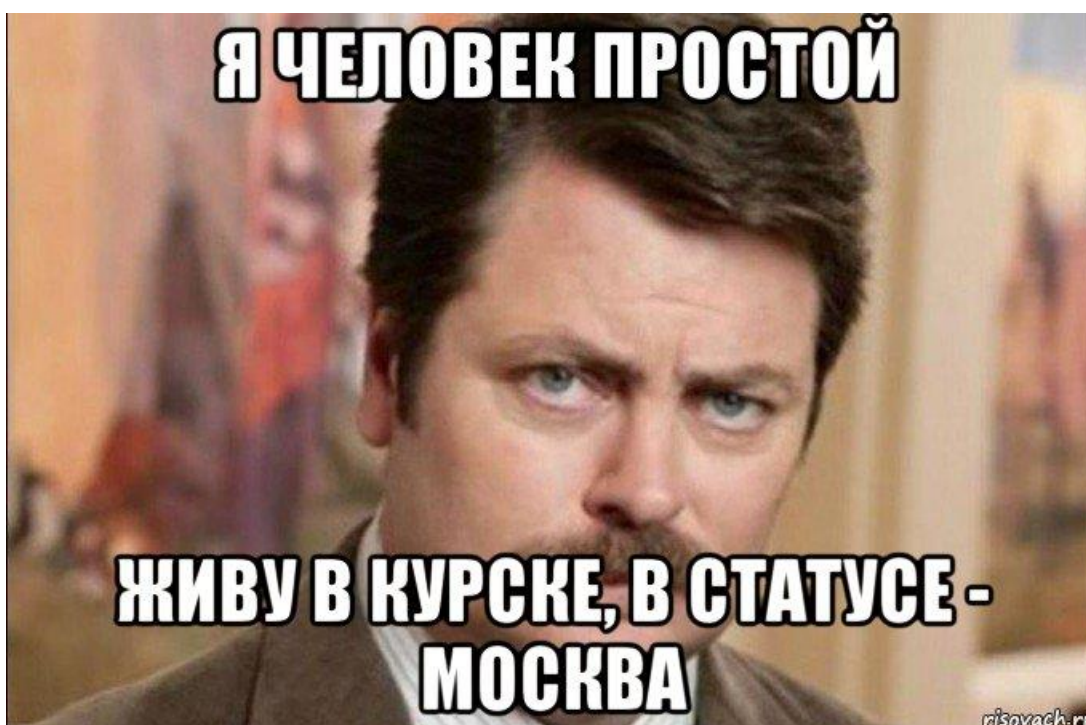
Patola taka przereklamowana :(

W Moskwie zawsze coś się działo – czy to w środku mroźnej zimy, czy w palące miesiące letnie. Nigdy nie mieliśmy problemów, co ze sobą zrobić. Kino, balet, wystawy muzealne, spotkania z ludźmi zarówno z pracy, jak i spoza niej. O ile podróżniczo wiele nam się nie udało osiągnąć, o tyle Moskwę poznaliśmy niegorzej, chociaż i tak zawsze mieliśmy poczucie, że wielu miejsc nie widzieliśmy. Na początku drugiego roku zrobiliśmy dość długą listę atrakcji stolicy. Udało nam się zrealizować ją w jakichś 80%, po prostu nie wystarczyło nam weekendów, a chwilami sił, żeby wyrąbać wszystkie muzea. Cierpiełem też okrutnie z racji bycia na liście mailingowej stowarzyszenia Memoriał, które co tydzień organizowało spotkania i wycieczki. Niestety zazwyczaj nie mogłem się na nie udać, ale wiedziałem, że gdyby doszło do magicznego zjawiska, że miałbym jakiś nadmiar czasu wolnego, to było co z nim zrobić.



W 2015 się z nich śmiałem, żeby teraz samemu powielać propagandę

Rozwijając nieco temat towarzyski – przybywało nam znajomych, zarówno międzynarodowych, co mogło wydarzyć się wszędzie, nawet w Korei Północnej, ale też Rosjan, co nie mogło wydarzyć się poza Rosją, stanem Nowy Jork i paroma innymi miejscami obfitującymi w wiadomą diasporę. Rosjanie nie mają opinii najbardziej otwartych ludzi świata, ale udało nam się kilka razy przejść z kimś na wyższy etap znajomości. Początkowo baliśmy się, że będziemy mieli ciężko jako Polacy – jak nie Katyń, to Smoleńsk. Niestety nigdy nie spotkaliśmy się z przejawami prymitywnego nacjonalizmu ze strony Rosjan. Nawet nie tyle, my nawet nigdy odczuliśmy niechęci ze strony Rosjan – może się dobrze maskowali, ale nie sądzę. Po uzyskaniu informacji, że jesteśmy z Polski, zazwyczaj rozpoczynali opowieści o tym, że kiedyś tam byli, że babcia była Polką, stary stacjonował w Legnicy, albo że Lewandowski. Tak jak w Polsce wszyscy robią wszystko, żeby się od tej Rosji odciąć, tak Rosjanie robili wszystko, żeby wykazać pokrewieństwo z naszym krajem. Po życiu w Rosji lubimy Rosjan trzy razy bardziej niż kiedyś. Może niekoniecznie Putina i Ławrowa, ale zebraliśmy wystarczającą liczbę znajomych, żeby obsadzić nimi stanowiska w średnich rozmiarów spółce państwowej.

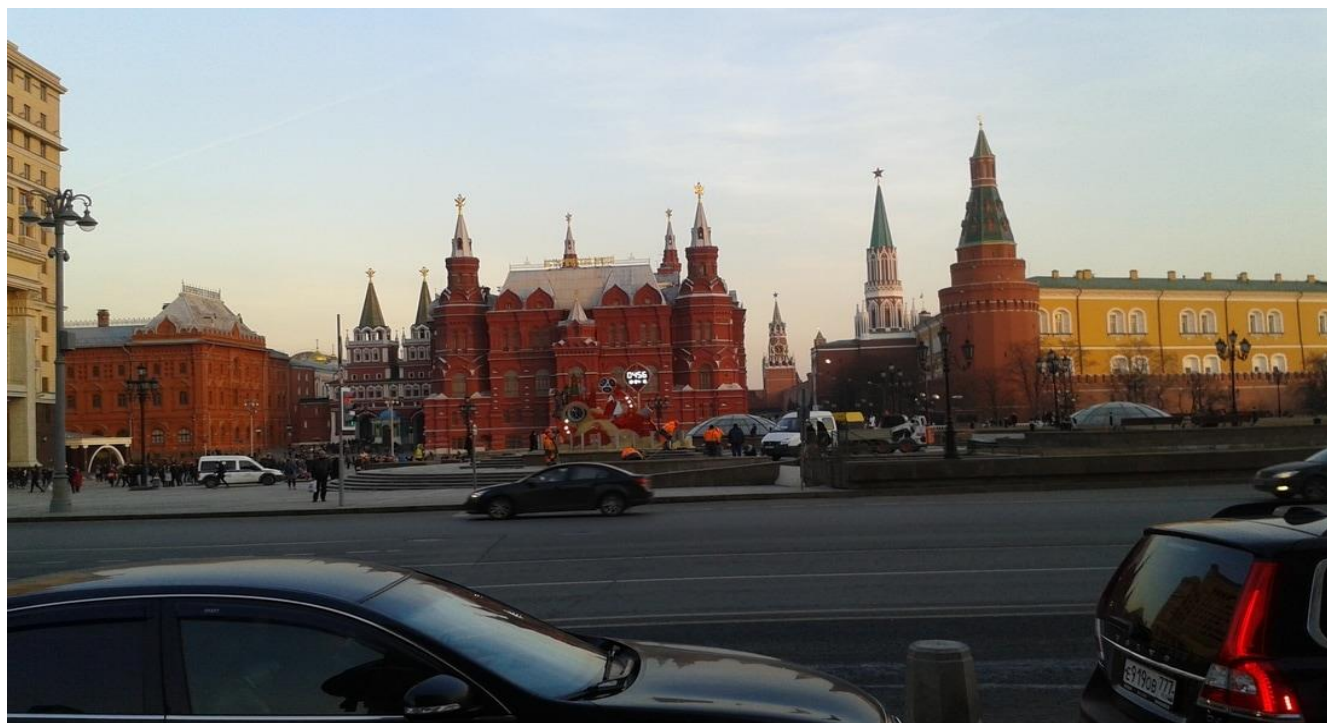


Ja człowiek prosty, mieszkam w Kursku, w statusie: Moskwa

Uwielbiamy wiele rzeczy, a jedną z nich jest wysłuchiwanie antyrosyjskich treści z ust rodaków. Nic tak nas nie rozkręca jak opowieść o „ruskiej swołoczy”, o tym, że „to prymitywy”, że „to nie Europa”. Czasem nawet niektórzy oratorzy oczekują, że przyznamy im rację. Jako obywatele Polski przeraża nas to, że nasza ojczyzna zastygła w jakimś niebycie między Wschodem a Zachodem, cudownie się przy tym pozbywając osłon socjalnych i powodów do dumy. W zamian udało nam się nie zbudować społeczeństwa konsumpcjonistycznego – bo przeważająca większość jego członków okazała się być zbyt biedna na kupno czegokolwiek ponad produkty utrzymujące przy życiu, ale też obywatelskiego, bo poziomy zaufania są śmiechu warte. Ostatecznie mamy kompleks niższości wobec społeczeństw Zachodu i bucowaty kompleks wyższości wobec Wschodu. Dzięki temu lubi nas raczej niewiele osób, tak też trzeba potrafić umieć! Chwalę niebiosy, że dane było mi pożyć na wschód od Polski i zobaczyć sobie, jak to wygląda z ich strony. Mimo życia w Rosji nie jestem przeświadczony o tym, że jest to najgorszy kraj świata. Widziałem w życiu kilka innych, widziałem Woroneż (i to jest dopiero argument!) i jeszcze nie przekonałem się do końca, że polska organizacja społeczeństwa jest lepsza, a relacje między ludźmi bardzo się różnią. A na pewno nie do poziomu, który pozwalałby patrzeć na Moskwę z wyższością.

Gdy Solżenicyn otrzymał Nobla, mógł sobie po niego jechać. Nie pojechał, wysłał swój wykład. Bo bał się, że go potem nie wpuszczą do ZSRR, do tego nieziemskiego raj. Dopiero chwilę później odprawili go, właściwie na kopach. Facet wcześniej siedział w GUŁagu, i to nie piętnaście minut, ale uparł się nie ryzykować wyjazdem z ZSRR. Gdy tylko system gruchnął, Solżenicyn wrócił do swojej ojczyzny, która trochę inaczej się nazywała. Dziką miłością raczej jej nie kochał nigdy, ale żyć poza nią nie chciał. Pozwala to człowiekowi pomyśleć, że Aleksander Isajewicz nie był zdrowy na umyśle.

Pewnego wieczoru wracałem po jakiejś średnio podniecającej lekcji i jeszcze mniej ekstatycznym tygodniu pracy. Metro, piątek wieczór, ścisk i dramat, tylko kilka stacji, ale dłużej się jak sam chuj. Jakiś pijany menel wpadł na mnie, jakaś kobieta z dzieckiem się przepchała, a głos z megafonu ogłosił, że *sliedusza stancja*. Wtedy nagle coś we mnie jęknęło. Nadchodzi taki moment, że człowiek jakoś zaczyna rozumieć tę kretyńską miłość Rosjan do swojego kraju, tego, że jakoś odpuszcza się Wołodię, Lenina i to, ile wynosi emerytura. Nie jest to racjonalne i nie jest to uczucie, które da się wyjaśnić, ale dopada niemal każdego dłużej przebywającego w Moskwie. Przechodzi się na drugą stronę mocy. To nie znaczy, że błoto nie wścieka, że przestaje się przeklinać studzienki kanalizacyjne. Po prostu zaczyna się traktować tę Moskwę jak matka upośledzone dziecko. Cudów nie będzie, jak dorośnie, ale niech już takie będzie, lepsze takie niż żadne.



Ostatnie zdjęcie zrobione podczas jenociego pobytu w najwspanialszym mieście świata

Nie wiemy jak. Nie wiemy gdzie. Nie wiemy kiedy, ale gdzieś, kiedyś, jakoś Moskwa-Rosja nas ugrała. Jeżeli kiedyś kopiejka się odwróci, jeżeli kiedyś dostaniemy wystarczająco ciekawą pracę, to z radością wrócimy. A do tego dnia będziemy z zainteresowaniem obserwować, co się dzieje w najlepszym mieście świata.



Nie da się tak po prostu wziąć i wyjechać z Moskwy